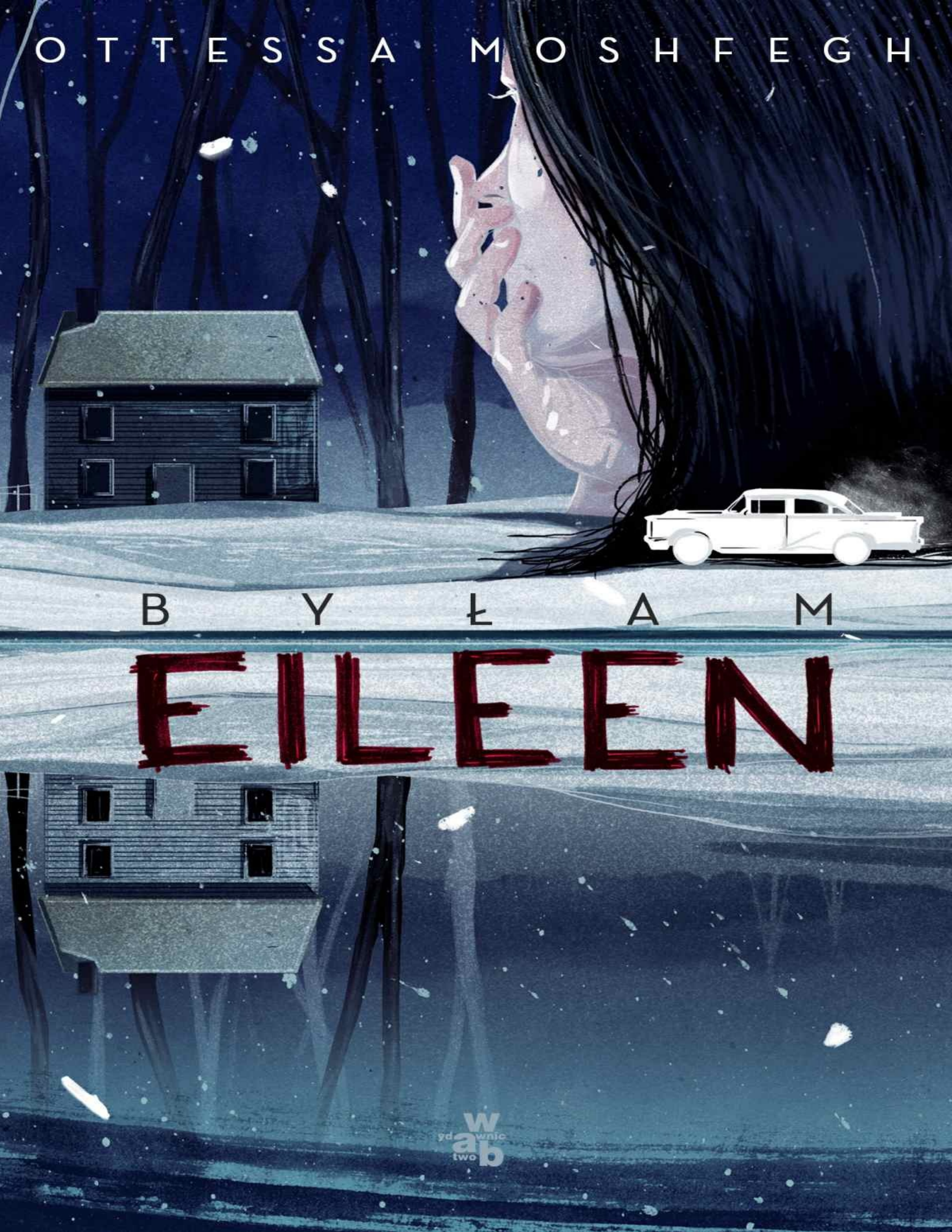
OTTESSA MOSHFEGH
BYŁAM
EILEEN

Ottessa Moshfegh

BYŁAM EILEEN

przełożyła Teresa Tyszowiecka-Tarkowska

Tytuł oryginału: *Eileen*
Copyright © 2015 by Ottessa Moshfegh
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI
Copyright © for the Polish translation by Teresa Tyszowiecka-Tarkowska, MMXVI
Wydanie I
Warszawa, MMXVI

Spis treści

1964

Piątek

Sobota

Niedziela

Poniedziałek

Wtorek

Środa

Wigilia

Zakończenie

1964

Na oko nie różniłam się niczym od dziewcząt, jakie spotyka się w autobusie, pogrążonych w lekturze książek w płóciennej bibliotecznej oprawie – przyrodniczych, geograficznych; byłam jasną szatynką i czasem nosiłam na włosach siatkę. Nie rzucałam się w oczy. Pamięć podsuwa mi szarą myszkę z pospolitą burą torebką w ręku albo z paczką orzeszków ziemnych, które obraca w palcach, nie zdejmując rękawiczek, patrząc w okno i cmokając z dezaprobatą. Poranne słońce oświetla delikatny puszek na twarzy, który próbuję maskować prasowanym pudrem, zbyt jasnym dla mojej bladej karnacji. Byłam chuda, koścista, ruchy miałam kanciaste, nieporadne, chodziłam sztywno, jakbym kij połknęła. Twarz miałam usianą kraterami po trądziku, które odbierały wszelki urok czy choćby krztynę oryginalności, jaka mogła drzemać pod chłodną, obojętną maską mieszkanki Nowej Anglii. W okularach mogłabym uchodzić za intelektualistkę, ale na przeszkodzie stał mój temperament. Wyglądałam, owszem, na kogoś, kto chętnie przesiaduje zamknięty w czterech ścianach, szuka ukojenia w ciszy, wodząc wzrokiem w zadumie po stronicach książek, półkach, ciężkich zasłonach, kto koncentruje się w pełni na tym, co ma przed oczami – lekturze, biurku, drzewie za oknem, rozmówcy – ale tak naprawdę nie znosiłam ciszy, nie znosiłam bezruchu, złościło mnie wszystko. Zwykle byłam wściekła i niezadowolona. Gdy próbowałam nad tym panować, mój zły humor i nieprzystosowanie tylko się pogłębiały. Czułam się jak jakaś Joanna d'Arc czy Hamlet, który przez pomyłkę przyszedł na świat w ciele kogoś, kto jest nikim, anonimowym cieniem. Byłam nie tym, kim powinnam. Byłam Eileen.

I nawet mając dwadzieścia cztery lata – pięćdziesiąt lat temu – byłam bardzo pruderyjna. Oto ja wtedy: ciężka wełniana spódnica za kolana, grube pończochy, bluzka zawsze dopięta pod samą szyję. Nie oglądano się za mną na ulicy. Właściwie nie miałam żadnych poważniejszych mankamentów urody. Byłam młoda, niebrzydka, choć trochę nijaka. Jednak we własnym mniemaniu wyglądałam koszmarnie: brzydka, odrażająca, niedorobiona. W tej sytuacji zwracanie uwagi na siebie wydawało się szczytem głupoty. Rzadko nosiłam biżuterię, nie używałam perfum, nigdy nie malowałam paznokci. Czasem zakładałam pierścionek z małym rubinem, który odziedziczyłam po matce.

Moje życie w wydaniu młodej gniewnej skończyło się w ostatnich dniach

grudnia, w nękanym mroźną zimą mieście, w którym się urodziłam i wychowałam. Przed każdym domem w ogródku piętrzyły się zaspy sięgające parapetów okien na parterze. W dzień śnieg topniał na wierzchu, a breja z jezdni spływała do rynsztoka i nagle duch wstępował w człowieka, który zaczynał wierzyć, że życie może być przyjemne, a słońce w końcu zawsze wyjdzie zza chmur. Jednak po południu, po zachodzie słońca, na śniegu krzepła skorupa lodu tak gruba, że w nocy nie pękała nawet pod ciężarem rosłego mężczyzny. Co rano od ganku do ulicy sypałam z wiadra wąską ścieżkę soli. Z daszku nad drzwiami frontowymi zwisały sople; przechodząc pod nim, lubiłam wyobrażać sobie, że przebijają moją pierś z chrzęstem, jak kule, albo rozrywają mi mózg na strzępy. Chodnik odśnieżali nasi sąsiedzi, ludzie, którym mój ojciec nie ufał, bo byli luteranami, a nie, jak my, katolikami. Ale ojciec nie ufał nikomu. Jak wielu nałogowych alkoholików miał paranoję. Nasi sąsiedzi, luteranie, na Boże Narodzenie postawili nam przed drzwiami biały wiklinowy kosz z woskowanymi jabłkami owiniętymi w celofan, bombonierką i butelką sherry. Całość wieńczył bilecik „Wesołych świąt".

Czy wiedzieli, co się dzieje w domu, kiedy jestem w pracy? Był to dwupiętrowy, drewniany budynek w kolonialnym stylu, pokryty łuszczącą się czerwoną farbą. Wyobrażam sobie ojca, jak sączy tamtą świąteczną sherry, przypalając ogryzek cygara od piekarnika. Żałosny widok. Na co dzień pił dżin, rzadziej piwo. Jak już wspomniałam, był pijakiem, dzięki czemu był prosty w obsłudze. Łatwo się odwracało jego uwagę, gdy się denerwował, łatwo dawał się udobruchać: po prostu wkładałam mu butelkę w rękę i wychodziłam z pokoju. Naturalnie jego alkoholizm źle na mnie działał. Byłam spięta, poirytowana, co jest typowym symptomem u osób, które mieszkają pod jednym dachem z alkoholikiem. Ta historia jest historią, jakich wiele. Później mieszkałam z niejednym alkoholikiem, dzięki czemu nauczyłam się, że na nic się zdaje zamartwianie się, pytanie: „dlaczego", zarzynanie się, żeby im pomóc. Są, jacy są, na dobre i na złe. Teraz mieszkam sama i jestem zadowolona, ba, szczęśliwa. Jestem za stara, żeby się troszczyć o cudze życie. I szkoda mi już czasu, żeby wybiegać myślą w przyszłość i martwić się na zapas. Ale kiedy byłam młoda, martwiłam się nieustannie, głównie o ojca – ile mu jeszcze lat zostało, co może mu strzelić do głowy, co zastanę, gdy wrócę wieczorem do domu.

A nie był to przytulny domek. Po śmierci matki nie zrobiliśmy gruntownych porządków ani nie porozdawaliśmy jej rzeczy, a ponieważ nie było teraz komu sprzątać, brudny, zakurzony, straszliwie zagracony dom

pękał w szwach od bezużytecznych gadżetów. Mimo to wiało w nim pustką. Przypominał pustostan, którego poprzedni lokatorzy uciekli nocą, jak jacyś Żydzi albo Cyganie. Gabinet, salon i pokoje na górze stały prawie nieużywane. Wszystko zostało, jak było, porastając kurzem: rozłożona gazeta latami leżała na oparciu kanapy, zdechłe mrówki przyschły do patery z cukierkami. Klimat rudery w wysiedlonej osadzie na pustyni, na której przeprowadzano próby jądrowe.

Spałam na strychu, na łóżku polowym, które ojciec dziesięć lat wcześniej kupił na wyprawę kamperem; nigdy nie doszła do skutku. Zimny, zakurzony strych był miejscem, w którym szukałam azylu, kiedy matka zachorowała, bo źle się spało w pokoju dziecięcym sąsiadującym z jej sypialnią. Przez całą noc płakała i jęczała, wzywała mnie.

Z dołu nie docierały prawie żadne dźwięki. Ojciec wstawił do kuchni fotel z gabinetu i sypiał na nim. To był taki typ fotela, w którym za pociągnięciem dźwigni oparcie odchylało się całkiem do tyłu – swego czasu nowinka techniczna. Ale dźwignia zepsuła się i zardzewiała w pozycji rozłożonej. Reszta domu była jak ten fotel – brudna, zrupieciała, zastygła w bezruchu.

Pamiętam, że tamtej zimy cieszyłam się z wczesnych zachodów słońca. Ciemność niosła dla mnie ukojenie. Za to ojciec bał się mroku. Niestety, nie była to bynajmniej urocza słabostka. W nocy zapalał piekarnik i kuchenkę i pił, wpatrując się w buzujące niebieskie płomienie. Mówił, że zawsze mu zimno, mimo to stale chodził rozebrany. Tamtego wieczoru – od którego zacznę tę opowieść – zastałam go siedzącego boso na schodach i pijącego sherry z wygasłym cygarem w dłoni.

– Biedna Eileen – mruknął sarkastycznie, kiedy stanęłam w drzwiach.

Pogardzał mną bezbrzeżnie, uważał za żałosną i nieatrakcyjną, czego przede mną bynajmniej nie taił. Gdyby moje ówczesne marzenia miały moc sprawczą, pewnego pięknego dnia znalazłabym go pod schodami ze skręconym karkiem, ale jeszcze żywego. „Czas najwyższy” – zbyłabym jego śmiertelne drgawki maksymalnie zblazowanym tonem. Tak więc nienawidziłam go, zdecydowanie, mimo to byłam bardzo posłuszna. W domu było nas tylko dwoje – tato i ja. Owszem, mam siostrę – żyje, o ile wiem, ale nie rozmawiamy ze sobą od ponad pięćdziesięciu lat.

Ojciec nie był szczególnie wysoki, za to barczysty, miał długie nogi i czuło się w nim coś władczego. Rzednące siwe włosy układały się w zawadiacki czub. Z perspektywy czasu widzę, że podobnie jak chłopcy z więzienia, w którym pracowałam, tłamsił w sobie wrażliwość i gniew. Na jego twarzy – twarzy starca – malował się grymas czujności, sceptycyzmu i wiecznej

dezaprobaty. Ręce mu się trzęsły, nawet kiedy solidnie popił. Stale się drapał po podbródku – krwistym, nalanym, obwisłym. Tarł go dobrotliwie, jakby czochrał po głowie niesfornego malca. Mówił, że w życiu żałuje jednego: że nie udało mu się zapuścić porządnej brody – jakby to było świadome zaniechanie. Taki już był – zgorzkniały, arogancki, nielogiczny. Nie sądzę, żeby naprawdę kochał swoje dzieci. Obrączka, którą nosił latami po śmierci mamy, sugerowała, że może chociaż ją darzył uczuciem. Ale przypuszczam, że nie był zdolny do prawdziwej miłości. Z natury był okrutny. Do dziś potrafię mu wybaczyć, jeśli tylko przypomnę sobie, jakie cięgi obrywał w dzieciństwie od rodziców. Nie jest to metoda elegancka, ale skuteczna.

Gwoli wyjaśnienia: to nie jest opowieść o tym, jaki mój ojciec był koszmarny. Nie mam najmniejszego zamiaru rozliczać go z jego okrucieństwa. Ale pamiętam tamten dzień, kiedy na schodach odwrócił się za mną z takim wyrazem twarzy, jakby rzygać mu się chciało na mój widok. Stałam na półpiętrze, patrząc na niego z góry.

– Wracaj na dół – zaskrzeczał. – Masz jechać do Lardnera. – Lardner to monopolowy na drugim końcu miasta. Pusta butelka po sherry wypadła mu z ręki i toczyła się, podskakując, po schodach.

Teraz jestem bardzo zrównoważona, można powiedzieć wręcz stoicka, ale wtedy łatwo wpadałam w szał. Ojciec wiecznie traktował mnie jak jakieś popychadło, a ja nie umiałam powiedzieć nie.

– Dobrze – odparłam potulnie.

Ojciec kaszlnął i pyknął dymem z ogryzka cygara.

Kiedy byłam rozbita, myślenie o sobie przynosiło mi ulgę. Prawdę mówiąc, miałam obsesję na punkcie własnego wyglądu. W moich małych zielonych oczach próżno by szukać – zwłaszcza wtedy – błysku dobroci. Nie należę do osób, które usiłują uszczęśliwiać bliźnich, choćby dlatego, że nie umiem stawiać na swoim. Widząc tamtą mnie – z włosami spiętymi klamerką, w płaszczu mysiego koloru – wzięlibyście mnie za drugoplanową postać w tej opowieści: sumienną, przewidywalną, wtórną i nieciekawą. Wyglądałam jak poczciwa uboga krewna z prowincji i chyba wolałabym być nią niż sobą. Dość często przeklinałam i dostawałam ataków szału, a tamtego dnia przyładowałam z buta w drzwi łazienki tak mocno, że mało nie wypadły z zawiasów.

Spowijała mnie otoczka apatii, stoicyzmu i tumiwisizmu, podczas gdy tak naprawdę kipiałam ze złości, a w głowie miałam szaleńczy natłok myśli, głównie morderczych. Obnosiłam się ze zbolałą, bezbarwną miną, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Moje lektury nie dotyczyły prowadzenia domu

i ogródka. Lubiłam czytać o wszelkich okropnościach. Pamiętam, jak wybierałam jedną z najgrubszych książek w bibliotece publicznej – kompendium medycyny starożytnego Egiptu – aby zgłębiać upiorną praktykę wyciągania mózgu zmarłego przez nos.

Lubiłam wyobrażać sobie mój mózg zwinięty w czaszce w kłębek. Fantazje, że własny mózg można rozplątać, wyprostować i tym sposobem przywrócić mu spokój i zdrowie, niosły ukojenie. Miałam poczucie, że w moim mózgu coś zostało wadliwie zainstalowane, a problem jest na tyle skomplikowany, że jedynym remedium pozostaje lobotomia – mój mózg wymagał przeglądu generalnego, wymiany starego życia na nowe. Stawiałam samej sobie dramatyczne diagnozy. Oprócz książek gustowałam w lekturze „National Geographic". Prenumerata pocztowa miesięcznika to był prawdziwy luksus, dzięki któremu czułam się kimś wyjątkowym. Z zapartym tchem chłonęłam artykuły poświęcone wierzeniom ludów pierwotnych. Fascynowały mnie ich krwawe rytuały, ofiary z ludzi, morze bezsensownego cierpienia. Wiem, że to brzmi jak wyznanie degeneratki. Ale nie sądzę, żebym cierpiała na wrodzony brak serca. Gdybym przyszła na świat w innej rodzinie, miałabym szansę wyrosnąć na osobę o normalnych emocjach i zachowaniach.

W gruncie rzeczy byłam masochistką. W jakimś stopniu odpowiadało mi, że ojciec mną dyrygował. Owszem, wściekałam się, nienawidziłam go, to oczywiste, ale ta złość nadawała mojemu życiu szczyptę sensu, a jazda do monopolowego zabijała czas. Życie jawiło mi się jako niekończąca się próba przechytrzenia zegara.

Wychodząc z łazienki, starałam się wyglądać na słabą i zmęczoną. Ojciec pokasływał niecierpliwie. Wzdychając z rezygnacją, wzięłam monety z jego wyciągniętej dłoni. Z powrotem zapięłam płaszcz. Czułam ulgę, że mam dokąd iść, mam na wieczór jakąś alternatywę dla krążenia po strychu albo przyglądania się, jak ojciec pije. Nie trzeba było mnie namawiać do wyjścia z domu.

Gdybym wychodząc, mocno trzasnęła drzwiami, na co miałam szczerą ochotę, mógłby się odłamać któryś z sopli nad gankiem. Wyobrażałam sobie, jak wbija się przez nasadę karku i przeszywa mi serce. Z kolei gdybym odchyliła głowę do tyłu, mógłby przebić mi gardło i rozharatać komorę klatki piersiowej – chętnie wyobrażałam sobie to ze wszystkimi szczegółami – przejść przez trzewia, by wreszcie wbić się, jak kryształowy sztylet, w części intymne. Tak w tamtej epoce wyobrażałam sobie mapę anatomiczną mojego ciała – mózg był kłębkiem przędzy, tułów pustym naczyniem, a części intymne ziemią niczyją. Jednak zamknęłam drzwi ostrożnie, bo wcale nie

chciałam umrzeć.

Odkąd ojciec nie był już zdolny siąść za kierownicą, jeździłam jego starym dodge'em. Uwielbiałam ten samochód, olbrzymi czterodrzwiowy coronet – zieleń mat – z odrapaną i powgniataną maską. Podłoga przerdzewiała na wylot od soli, którą posypywano u nas jezdnie w zimie. W schowku przy kierownicy trzymałam zamarzniętą mysz polną, którą tamtej zimy znalazłam zwiniętą w kłębek na ganku. Podniosłam ją za ogon i zakręciłam nią w powietrzu, a potem wrzuciłam do schowka, dokładając do niedziałającej latarki, mapy drogowej Nowej Anglii i garstki zaśniedziałych miedziaków. Tamtej zimy co jakiś czas zaglądałam do mojej myszy, by sprawdzić, czy mimo mrozu nie pojawią się jakieś oznaki rozkładu. Prawdopodobnie dawało mi to poczucie władzy. Mysz była moją maskotką, talizmanem na szczęście.

Testowałam temperaturę na zewnątrz, wystawiając język tak długo, aż mróz zaczął mnie szczypać. Tamtej nocy musiało być sporo poniżej zera. Sam oddech sprawiał mi ból. Ale ja wolałam mróz od upałów. W lecie byłam niespokojna i rozbita. Dostawałam wysypki od słońca, musiałam wylegiwać się w zimnej wodzie. Przy moim biurku w więzieniu zawzięcie wachlowałam się papierowym wachlarzem. Nie znosiłam pocić się przy ludziach. Wszelkie przejawy cielesności napawały mnie obrzydzeniem. Nie słuchałam Beatlesów, nie oglądałam programów Eda Sullivana. Nie interesowała mnie w ogóle masowa rozrywka. Wolałam czytać o starożytnych dziejach, odległych krainach. Wszelkie informacje o aktualnych wydarzeniach i bieżących trendach uprzytomniały mi boleśnie moją izolację. Odcinając się z własnej woli od wszelkich nowinek, z ofiary zamieniałam się w sprawcę.

Wracając do samochodu: mdliło mnie podczas jazdy. Czułam, że coś jest nie tak z rurą wydechową, ale w tamtych czasach uporanie się z usterką podobnego kalibru przerastało moje możliwości. Uznałam, że mimo mrozu powinnam uchylić okno. W swoim mniemaniu byłam bardzo dzielna, tak naprawdę jednak bałam się, że jeśli zacznę narzekać na samochód, ojciec mi go odbierze. Tylko samochód trzymał mnie przy życiu. Był moją ucieczką. Ojciec, zanim przeszedł na emeryturę, w wolne dni zabierał nas na przejażdżkę. Jeździł po mieście jak wariat – parkował na chodnikach, z wizgiem ścinał zakręty, w środku nocy kończyła mu się benzyna, zdarzało mu się przytrzeć bokiem o cysternę z mlekiem, biurowiec AMP i tym podobne. W tamtych czasach wszyscy jeździli po pijaku, ale ojciec stanowczo przeginał. Ja byłam rozsądnym kierowcą. Nigdy nie przekraczałam dozwolonej prędkości, nie przejeżdżałam na czerwonym świetle. Po zmroku lubiłam prowadzić powoli, ledwie wciskając gaz, i patrzeć, jak miasto sunie

za oknem, niczym film. Zawsze wyobrażałam sobie, że inni mieszkają w nieporównanie ładniejszych domach, z błyszczącymi meblami i eleganckim kominkiem, na którym wywieszano skarpetę dla Świętego Mikołaja. Ciasteczka w spiżarni, elektryczna kosiarka w garażu. W tamtych czasach chętnie wyobrażałam sobie, że inni mają lepiej niż ja. Zwłaszcza jeden ganek w sąsiedztwie działał na mnie przygnębiająco. Stała na nim biała ławeczka, z podłogi wystawała metalowa skrobaczka do czyszczenia butów ze śniegu, o kształcie podobnym do odwróconej łyżwy, a na drzwiach wisiał wianuszek ostrokrzewu. Miasto miało pewien staroświecki urok. Każdy, kto mieszkał kiedyś w Nowej Anglii, zna tę wyjątkową głębię nocnej ciszy okrytych śniegiem nadmorskich miast. Po zachodzie słońca zmierzch nie tyle dogasał, ile wycofywał się w głąb oceanu, jakby wsysany przez odmęty.

Do końca życia nie zapomnę brzęczenia dzwonków nad drzwiami monopolowego – dźwięku, który witał mnie co wieczór. Alkohole Lardnera. Uwielbiałam ten sklep. Wnętrze było ciepłe i schludne, mogłam przechadzać się między rzędami półek do woli, udając, że czegoś szukam. Naturalnie wiedziałam, gdzie przechowują dżin: w środkowej alejce po prawej, idąc w stronę kasy, metr, dwa od czarnej ściany i tylko na dwóch półkach: bee-feater na górnej i seagram's na dolnej. Sprzedawca, pan Lewis, był tak uprzejmy i wesoły, jakby się w życiu nie domyślał, czemu służą moje zakupy. Tamtego wieczoru po wyjściu ze sklepu położyłam butelki na przednim siedzeniu. Dziwna rzecz, że alkohol nigdy nie zamarza. W całym dodge'u mróz się nie imał tylko dżinu. Dygocąc z zimna, przekręciłam kluczyk w stacyjce i powoli ruszyłam z powrotem. Pamiętam, że wracałam do domu dłuższą, bardziej malowniczą trasą.

Zastałam ojca w kuchni, na fotelu. Później nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, tamten wieczór był tylko datą rozpoczęcia tej historii. Postawiłam butelki na podłodze w zasięgu ręki ojca, zgniotłam w ręku papierową torbę i cisnęłam na kupę śmieci przy drzwiach do ogródka na tyłach. Weszłam na strych. Poczytałam „National Geographic", a potem zgasiłam światło i dzień był odfajkowany.

Teraz, gdy już poznaliście mnie trochę, pozwólcie, że się wam przedstawię. Nazywam się Eileen Dunlop. Miałam wtedy dwadzieścia cztery lata i zarabiałam pięćdziesiąt siedem dolarów tygodniowo, pełniąc funkcję, można powiedzieć, sekretarki w prywatnym zakładzie poprawczym dla nastoletnich chłopców. Z perspektywy lat widzę, że instytucja ta była niczym innym jak więzieniem dla małoletnich. Na potrzeby tej historii nazwałam to miejsce Moorehead. Wiele lat później mieszkałam w mieszkaniu, którego

właścicielem był skończony psychopata Delvin Moorehead. Uznałam, że jest jak najbardziej stosownym patronem tamtej instytucji.

Za tydzień miałam uciec na zawsze z domu. A oto historia mojej ucieczki.

Piątek

Piątek był wyznaczany przez mdlący odór ryb wędrujący ze stołówki w piwnicy przez lodowate sypialnie chłopców, po korytarzach wyłożonych linoleum, aż do sekretariatu bez okien, w którym upływały moje dni. Smród był tak intensywny, że czułam go nawet na parkingu, kiedy o poranku dotarłam do Moorehead. Przed wejściem do budynku zawsze zamykałam torebkę w bagażniku. Wprawdzie w pokoju socjalnym za kancelarią mieliśmy szafki, ale nie ufałam personelowi. Ojciec ostrzegł mnie, gdy podejmowałam pracę w zakładzie jako naiwna dwudziestojednolatka, że w więzieniach najgroźniejsi są nie kryminaliści, tylko pracownicy służb więziennych. Nie mylił się. To była bodaj najcenniejsza wskazówka, jakiej udzielił mi w życiu.

Miałam ze sobą lunch złożony z puszki tuńczyka i zawiniętych w folię dwóch kromek chleba z masłem. Był piątek, a ja, na przekór wszystkiemu, ani myślałam skończyć w piekle. Zmusiłam się, żeby z uśmiechem kiwnąć głową obu moim współpracownicom; były to wstrętne babska w średnim wieku, ze skorupą lakieru na włosach, które ledwie raczyły podnieść na mnie oczy znad swoich romansideł, chyba że dyrektor kręcił się w pobliżu. Ich biurka były zasłane żółtymi foliami po cukierkach toffi, które trzymały w czarkach ze sztucznego kryształu na rogach swoich biurek. Choć obie były antypatyczne, nie umywały się do prawdziwie odrażających osobników, jacy przewinęli się przez moje życie. Jako że pracowałam w sekretariacie na dziennej zmianie, nie było w sumie najgorzej. Praca za biurkiem oznaczała, że rzadko miałam do czynienia z jednym z czterech czy pięciu prawdziwych wieprzów, oficerów wychowawczych, których zadaniem było sprowadzanie na drogę cnoty młodych pensjonariuszy Moorehead. Jak kaprale w wojsku lali pałkami od tyłu po nogach snujących się apatycznie chłopców bądź znienacka zakładali im zza pleców nelsona. Kiedy czułam, że robi się gorąco, starałam się nie patrzeć w tamtą stronę. Zwykle wpatrywałam się w zegar.

Nocni strażnicy kończyli zmianę o ósmej, kiedy ja zaczynałam pracę, nie miałam więc okazji ich poznać, choć pamiętam ich znużone twarze – jeden był skończonym durniem, drugi łysiejącym weteranem wojennym z palcami pożółkłymi od tytoniu. Obaj nie odegrali w tej historii żadnej roli. Ale jeden z dziennych strażników był niesamowicie przystojny. Miał wielkie oczy, a do tego, mimo młodzieńczej delikatności rysów, zdecydowany profil. Spowijała go aura nieokreślonej melancholii, która działała na mnie piorunująco.

Wypomadowane włosy zaczesywał w zadzierzysty czub. Randy. Lubiłam przyglądać mu się zza biurka. Z ciężkim pękiem kluczy u pasa urzędował w korytarzu łączącym sekretariat z resztą obiektu, ubrany, jak wszyscy strażnicy, w sztywny szary kombinezon i wyglansowane na błysk buty motocyklisty. Miał zwyczaj siedzieć na krześle półdupkiem, z szeroko rozstawionymi nogami, dzięki czemu prezentował swoje krocze jak na tacy. Zdawałam sobie sprawę, że nie jestem w jego typie, i bolało mnie to, choć nie chciałam się do tego przed sobą przyznać. Posądzałam go, że gustuje w długonogich blondynach o wydatnych ustach. Co dzień przez wiele godzin obserwowałam grę jego bicepsa, gdy przerzucał strony komiksu. Kiedy próbuję teraz przywołać w pamięci jego obraz, widzę, jak dłubie w zębach wykałaczką. W jego wydaniu ta czynność była piękna – czysta poezja. Spytałam go kiedyś, zdając sobie sprawę, że zachowuję się jak idiotka, czy zimą nie jest mu za zimno w krótkich rękawach. Wzruszył tylko ramionami. Cicha woda brzegi rwie, pocieszałam się, starając się nie zemdleć z wrażenia. Choć nie miałam u niego szans, fantazjowałam wytrwale, że pewnego dnia szyba na strychu zagrzechoce od żwiru, przed domem będzie czekał motocykl z rozgrzanym silnikiem i za chwilę rzucimy to cholerne miasto w diabły, na co często miałam ochotę.

Nie piłam kawy, bo wprawiała mnie w dygot, mimo to co rusz wędrowałam do narożnika, gdzie na stoliku stał dzbanek z kawą, a nad blatem wisiało lustro. Przeglądanie się w nim uspokajało mnie, choć nie cierpiałam swojej twarzy. Tak właśnie wygląda życie osób mających obsesję na punkcie własnego wyglądu. Do dzisiaj wierzyć mi się nie chce, ile lat zmarnowałam, zadręczając się mankamentami mojej urody.

Wyjęłam śpioch z kącika oka i przyrządziłam sobie filiżankę śmietanki z dodatkiem cukru i mleka w proszku, które trzymałam w szufladzie. Nikt nawet okiem nie mrugnął na tę dziwną kombinację. W sekretariacie traktowano mnie jak powietrze. Dwie zgorzkniałe nudziary trzymały tylko ze sobą. Podejrzewałam, że są lesbijkami. Tego rodzaju sugestie w tamtych latach robiły się coraz bardziej popularne, a mieszkańcy miast stale mieli się na baczności przed atakiem „utajonych homoseksualistów". Choć moje podejrzenia napawały mnie lekką pogardą do obu pań, jednak współczułam im też, wyobrażając sobie, jak wracają wieczorem do domu, do swoich obrzydliwych mężów, samotne, rozgoryczone. Niemniej kiedy myślałam o tym, jak w rozpiętych bluzkach gmerają sobie w biustonoszach, rozkładając nogi, chciało mi się rzygać.

W jednej z książek w bibliotece publicznej znalazłam zdjęcia masek

pośmiertnych Lincolna, Beethovena, Isaaca Newtona. Każdy, kto kiedykolwiek widział oblicze nieboszczyka, wie, że ludzie nigdy nie umierają z pogodnym uśmiechem na twarzy. Jednak te zdjęcia mnie zainspirowały i ćwiczyłam pilnie przed lustrem, rozluźniając twarz i starając się nadać jej wyraz łagodnej niewzruszoności, jaka gościła na gipsowych odlewach rysów sławnych mężów. Wspominam o tym dlatego, że właśnie takie oblicze prezentowałam w pracy – własną maskę pośmiertną. Byłam bardzo młoda i nadwrażliwa, do czego za żadne skarby nie chciałam się przyznać. Przywdziewałam zbroję, która oddzielała mnie od świata więzienia Moorehead. Nie miałam wyjścia. Dręczył mnie wstyd, byłam nieszczęśliwa, ale nigdy nie zdarzało mi się biec do umywalni, żeby się wypłakać. Później tego samego ranka, kiedy dostarczałam pocztę do gabinetu dyrektorskiego położonego obok pomieszczeń, w których chłopcy uczyli się i spędzali czas wolny, minęłam strażnika o nazwisku Mulvaney, Mulroony czy może Mahoney, który wykręcał ucho klęczącemu przed nim chłopaczkowi.

– Myślisz, że jesteś Bóg wie kim? – grzmiał. – Spójrz na podłogę! Jesteś mniej wart niż ten syf między kaflami. – Palnął chłopaka w głowę tak, że tamten poleciał twarzą na jego buty, wielkie, okute z przodu metalem, który pozwalał, jakby co, skopać więźnia na śmierć. – Liż! – rozkazał.

Widząc, że chłopiec otwiera usta, odwróciłam wzrok.

Sekretarka dyrektora była monstrualną grubaską o stalowym spojrzeniu – trudno było uwierzyć, że oddycha, a jej serce bije. Jej maska pośmiertna prezentowała się imponująco. Czasem tylko podnosiła palec do ust, żeby go zwilżyć koniuszkiem bladoliliowego języka – jedyna oznaka życia. Machinalnie przewertowała stertę kopert, którą dostała ode mnie, i zapatrzyła się gdzieś w bok. Postałam jeszcze z minutę czy dwie, udając, że liczę dni w kalendarzu ściennym obok jej biurka.

– Pięć dni do Gwiazdki – rzuciłam od niechcenia.

– No i chwała Najwyższemu – odparła.

Ilekroć myślę o Moorehead z jego zakrawającą na kpinę dewizą *parens patriae*, skóra mi cierpnie. Wychowankowie Moorehead to byli młodzi chłopcy, nieomal dzieci. Bałam się ich, bo czułam, że mnie nie lubią, nie podobam się im z wyglądu. Próbowałam ignorować ich, jako dzikusów i tępaków. Niektórzy byli już dorośli, przystojni i wysocy. Oni też mnie pociągali, jak Randy.

Kiedy z powrotem usiadłam przy biurku, nie brakło mi tematów do rozmyślań. Był rok 1964 i wokół działo się bardzo wiele. Stale coś się rozpadało albo rodziło, ale ja najczęściej trawiłam własne nieszczęścia,

porządkując długopisy w kubku czy wykreślając kolejny dzień z kalendarza. Wskazówka minutowa zegara zadrgała, po czym skoczyła desperacko do przodu, jak samobójca w przepaść, by nagle zastygnąć w locie. Moje myśli błądziły wokół Randy'ego. Kiedy w piątek przyszła wypłata, złożyłam czek i wsunęłam za stanik, który skrywał niewiele – dwa twarde wzgórki pod bielizną, bluzką i żakietem z wełenki. Wciąż dręczył mnie typowy dla okresu pokwitania lęk, że moje ciało widać przez ubranie. Nie przypuszczam, żeby ktoś snuł fantazje erotyczne na mój temat, ilekroć jednak czyjś wzrok powędrował w dół, drżałam, że przygląda się moim okolicom intymnym, próbując rozszyfrować dziwaczny labirynt fałd i zagłębień ciasno zwiniętych u styku nóg. Wciąż byłam, naturalnie, dziewicą.

Powściągliwość raczej wyszła mi na dobre, oszczędzając trudnego życia, jakie przypadło w udziale mojej siostrze. Była starsza ode mnie i co jak co, ale dziewicą nie była. Mieszkała kilka miasteczek dalej z człowiekiem, który nie był jej mężem – moja matka uważała ją za kurwę. Myślę, że Joanie była miłą dziewczyną, jednak pod młodzieńczą powierzchownością skrywała mroczne żądze. Opowiadała mi kiedyś, jak Cliff, jej chłopak, lubił jej wylizać rano. Śmiała się, widząc konsternację na mojej twarzy, która zdrętwiała i oblała się rumieńcem, gdy załapałam, o co chodzi.

– Nie śmieszy cię to? Nie uważasz, że to cudowne? – pytała, chichocząc.

Jasne, że zazdrościłam jej jak nie wiem co, mimo to nie zdecydowałam się puścić. Tak naprawdę nie pragnęłam tego, co było jej udziałem. Mężczyźni, chłopcy, perspektywa parzenia się z którymś z nich, to wszystko wydawało mi się śmieszne. W głębi duszy marzyłam o miłości bez słów. Ale nawet tego się bałam. Kręcił mnie Randy i paru innych, ale nigdy między nami do niczego nie doszło. Ach, te moje nieszczęsne okolice intymne, opakowane jak niemowlę w pieluchę – w bawełniane majty i wrzynający się pasek do pończoch po mamie. Używałam szminki nie po to, żeby wyglądać modnie, tylko dlatego, że moje gołe wargi były koloru sutków. Choć miałam dwadzieścia cztery lata, w odróżnieniu od innych młodych kobiet nie było we mnie cienia ambicji, żeby rozbudzać w samcach fantazje na temat mojego ciała.

Tamtego dnia w naszym więzieniu mieliśmy uroczystość z okazji przejścia na emeryturę doktora Frye'a, starszego pana odpowiedzialnego za faszerowanie środkami uspokajającymi chłopców przez kilka dziesiątków lat, jakie przepracował jako psychiatra w tej instytucji. Musiał mieć koło osiemdziesiątki. Teraz sama jestem stara, ale w młodości starzy ludzie nie wzruszali mnie zbytnio. Czułam, że sama ich obecność mnie osłabia. Guzik

mnie obchodziło odejście doktora Frye'a. Kiedy kartka pożegnalna dotarła do mojego biurka, podpisałam ją starannie dziecinnym pismem, wywijając komicznie nadgarstkiem: „Żegnaj". Pamiętam, że na odwrocie był rysunek piórkiem przedstawiający kowboja jadącego w dal, ku zachodzącemu słońcu. Jezu. Przez lata spędzone w Moorehead doktor Frye co jakiś czas przychodził przyjrzeć się odwiedzinom, które na co dzień były w mojej gestii; widziałam, jak staje w drzwiach pokoju widzeń, kiwając głową, klekocząc sztuczną szczęką i mamrocząc. Parę razy zauważyłam, jak się wtrącał, celując długim drżącym palcem w jednego z chłopców, żeby się nie garbił, odpowiadał na pytanie, przeprosił i tym podobne. Ani razu nie powiedział mi „dzień dobry" czy „witam, panno Dunlop". Traktował mnie jak powietrze, jak jakiś mebel. Po lunchu – o ile pamiętam puszka z tuńczykiem pozostała nietknięta w szafce – wezwano pracowników do stołówki, żeby przy kawie i cieście pożegnać na zawsze doktora Frye'a, ale nie chciało mi się iść. Siedziałam przy biurku, gapiąc się bezmyślnie w zegar. Nagle zaczęło mnie swędzieć w majtkach, a ponieważ w pokoju nie było nikogo, wsadziłam rękę pod spódnicę, żeby się podrapać, co nie było łatwym zadaniem, zważywszy na to, że moje okolice intymne były szczelnie opakowane. W tej sytuacji nie pozostawało mi nic innego, jak wsunąć rękę pod spódnicę i pasek do pończoch, a potem do majtek. Kiedy już się poskrobałam, powąchałam palce – ze zwykłej ciekawości. Później, pod koniec dnia, tę samą nieumytą dłoń podałam doktorowi Frye'owi, życząc mu pogodnej emerytury.

Nie powiem, żeby praca w Moorehead była szczególnie bezpieczna, ale zdecydowanie podtrzymywała moją izolację od świata. Nie wychodziłam dużo z domu. Miasto, w którym mieszkałam i dorastałam – nazwę je X-ville – nie miało torów kolejowych, a więc tak zwanej lepszej i gorszej strony. Jednak nad morzem leżały uboższe dzielnice, zamieszkane przez robotników i wszelkiej maści element. Nieczęsto zdarzało mi się przejeżdżać obok ruder i ogródków, w których zabawki walały się wśród śmieci. Widok przechodniów, wyglądających na gniewnych lub apatycznych i wypranych z nadziei, napawał mnie lękiem i wstydliwą satysfakcją, że nie jestem aż takim nędzarzem jak oni. Z kolei jednak schludne, wysadzane drzewami uliczki w mojej dzielnicy i domy zadbane w duchu rodzinnej miłości i obywatelskiej dumy były dla mnie jak wyrzut, że sama jestem taka niechlujna, ponura i bez wyrazu. Nie wiedziałam, że oprócz mnie na świecie istnieje więcej tak zwanych nieprzystosowanych istot. W dodatku, jak wielu młodych inteligentnych odludków, wyobrażałam sobie, że jestem jedyną osobą na świecie, która zauważa niezwykłość samego istnienia, egzystencji na

dziwnej planecie Ziemia. Oglądając *Strefę mroku*, wyczuwałam ten sam klimat mrocznego szaleństwa, jakie ogarniało mnie w X-ville. Dotkliwie dokuczała mi samotność.

Boston z jego cegłą i bluszczem napawał mnie nadzieją, że gdzieś istnieje lepsze życie, a młodzi ludzie robią to, na co mają ochotę. Wolność była na wyciągnięcie ręki. Byłam w tym mieście tylko raz, pojechałam z mamą, już umierającą, do doktora, który nie mógł jej wyleczyć, ale za to przepisał środek rzekomo gwarantujący, że będzie się czuła, jak to określił, „komfortowo". W tamtej epoce podobna wyprawa wydawała mi się szczytem luksusu. Fakt, że miałam dwadzieścia cztery lata. Byłam dorosła, mogłam jechać, gdzie mi się podoba. Tamtego lata, w trakcie jednego z dłuższych ciągów ojca, wybrałam się na przejażdżkę nad morze. Skończyła mi się benzyna i tkwiłam na wiejskiej drodze, raptem godzinę od domu, dopóki jakaś starsza pani nie zatrzymała się i nie podwiozła mnie na stację. Dała mi dolara i poradziła, żeby „następnym razem staranniej przygotować się do drogi". W trakcie jazdy jej podwójny podbródek kolebał się dostojnie. Mieszkała na wsi i wzbudzała mój szacunek. Właśnie wtedy zaczęłam snuć plany ucieczki, wmawiając sobie coraz usilniej, że remedium na moją bolączkę – a było nią mieszkanie w X-ville – stanowi Nowy Jork.

Kiedy w radiu leciało *Hello, Dolly!*, czułam, że jeśli udam się na Manhattan i stać mnie będzie na pokój w byle pensjonacie, życie ułoży się samo, bez specjalnych starań z mojej strony. To był mit rozpowszechniony w tamtych czasach, teraz zresztą też.

Oczywiście były to mrzonki, ja jednak hołubiłam je ufnie. Zaczęłam odkładać pieniądze, które chowałam na strychu. Do moich obowiązków należało noszenie emerytury ojca z wydziału policji w X-ville do miejskiego banku, gdzie kasjerzy zwracali się do mnie per „pani Dunlop", jak do mojej matki, zakładałam więc, że nie powinnam mieć trudności z wyczyszczeniem naszego rodzinnego konta, jeśli poproszę o kopertę z banknotami studolarowymi, łżąc, że wydam je na zakup nowego samochodu.

Nigdy nie przyznawałam się przed sobą, że chciałabym wyjechać z X-ville w towarzystwie. Ale czasami, kiedy byłam bardzo zdołowana – łatwo poddawałam się czarnej rozpaczy – kiedy miałam ochotę zjechać z mostu do rzeki, a szczególnie pewnego poranka, kiedy czułam nieodparty impuls, żeby walić pięścią w drzwi samochodu, czułam, że sprawiłoby mi niesłychaną ulgę, gdybym mogła choć raz położyć się na kozetce doktora Frye'a i wyznać, jak upadła gwiazda, że moje życie jest po prostu nieznośne, choć po prawdzie było całkiem znośne. Jakoś je przecież znosiłam. Tak czy owak, tamta młoda

Eileen nigdy nie położyłaby się w obecności mężczyzny, jeśli nie liczyć ojca, bo jej drobne piersi nieuchronnie sterczałyby na sztorc. Choć byłam niska i szczupła, czułam się niezdarną grubaską. Kiedy szłam korytarzem, czułam, jak moje piersi i biodra kołyszą się wyzywająco. Wydawałam się sobie monstrualnie wielka i odrażająca. Miałam obsesję na tym punkcie. Moje urojenia były źródłem cierpienia i niepokoju. Teraz śmieję się z tego, ale wtedy przeżywałam męczarnie.

W więzieniu, rzecz jasna, nikogo nie obchodziły ani moje katusze, ani moje piersi. Kiedy mama umarła i przyszłam do pracy w Moorehead, pani Stephens i pani Murray trzymały się na odległość. Żadnych kondolencji czy choćby współczujących spojrzeń. W życiu nie spotkałam kobiet tak dalece wyzutych z cech macierzyńskich; choćby dlatego doskonale nadawały się na posadę w zakładzie karnym. O dziwo jednak nie były surowe i rygorystyczne, przeciwnie – rozlazłe, prymitywne i flejtuchowate. Nie wątpię, że nudziły się na równi ze mną, ale nałogowo pochłaniały słodycze i powieścidła z najniższej półki, bez skrępowania oblizywały palce po pączkach, bekały, wzdychały, stękały. Do dziś pamiętam, jak wyobrażałam je sobie leżące na waleta, wdychające swoje smrody i liżące się językami lepkimi od toffi. Te fantazje dobrze mi robiły, może dlatego, że napełniały mnie poczuciem wyższości. Kiedy odbierały telefony, potrafiły ściskać nos w palcach, żeby mówić wysokim, afektowanym głosem. Myślę, że robiły to tylko dla hecy, chyba że istniał inny powód, który wyleciał mi z pamięci. Tak czy owak, ich maniery pozostawiały wiele do życzenia.

– Eileen, podaj mi kartotekę tego nowego gnojka, tego, no, jak mu tam – mówiła pani Murray.

– Tego ze świerzbem? – dopytywała pani Stephens, stukając cukierkiem o zęby i śliniąc się lekko. – Brown, Todd. Słowo daję, z roku na rok przywożą tu coraz brzydszych i bardziej tępych.

– Uważaj na słowa, Norris. Eileen jeszcze gotowa pewnego dnia chajtnąć się z którymś.

– Naprawdę, Eileen? Latka lecą?

Pani Stephens zawsze przechwalała się swoją córką, wysoką dziewczyną z zasznurowanymi ustami, która chodziła do tej samej szkoły co ja. Wyszła za mąż za trenera bejsbolu w jakimś liceum i wyjechała do Baltimore.

– Też kiedyś będziesz stara jak my – mówiła pani Stephens.

– Masz sweter tył do przodu, Eileen – zwróciła mi uwagę pani Murray.

Naciągnęłam dekolt, żeby zobaczyć, czy to prawda.

– A może zresztą nie. Jesteś płaska jak deska i nie widać, gdzie przód,

a gdzie tył.

Mogły tak bez końca. Koszmar.

Podejrzewam, że byłam równie niewychowana jak one. Zwykle byłam ponura, obojętna i nieprzyjazna albo napięta, podniecona i zrzędliwa.

– Ha, ha – odparłam. – Płaska jak deska, to ja, wypisz wymaluj.

Nigdy nie wiedziałam, jak reagować, a już na pewno nie potrafiłam stanąć we własnej obronie. Byłam milkliwym dzieckiem, które ssąc kciuk, wypchnęło sobie górne jedynki, na szczęście nieznacznie. Mimo to uważałam, że mam ohydne końskie zęby, więc starałam się jak najrzadziej uśmiechać, a jeśli już, to nie odsłaniać góry, co wymagało nieugiętej woli, czujności i opanowania. Nie uwierzylibyście, ile czasu poświęciłam na wytrenowanie górnej wargi. W moim odczuciu wnętrze ust zaliczało się do części intymnych, a odsłanianie wnęki pełnej wilgotnych fałd jest równie nieprzystojne jak rozkładanie nóg. Żucie gumy nie było wtedy rozpowszechnione tak jak teraz i uchodziło za dziecięcą rozrywkę, więc trzymałam butelkę płynu do ust w schowku i płukałam je często, połykając, gdy wyglądało na to, że w drodze do damskiej umywalni będę musiała z kimś rozmawiać. Bałam się, że ktoś może podejrzewać mnie o nieświeży oddech czy w ogóle o jakiekolwiek procesy fizjologiczne. Sam fakt, że muszę oddychać, napawał mnie wstydem. Nie miałam lekko.

Oprócz płynu do ust trzymałam w szafce flaszkę wermutu i torebkę miętowych czekoladek, które regularnie kradłam w miejscowej drogerii. Kradłam umiejętnie, upychając zdobycz w rękawy. Maska pośmiertna oszczędziła mi kłopotów, ukrywając strach i euforię przed obsługą sklepu, której moja postać kręcąca się wokół półek ze słodyczami na pewno wydawała się podejrzana. Przed rozpoczęciem pory widzeń musiałam zawsze pociągnąć solidnie z flaszki i zagryźć garścią miętowych czekoladek. Nawet po kilku latach pracy rozstrajała mnie perspektywa konfrontacji z załamanymi matkami naszych podopiecznych. W ramach nudnych obowiązków musiałam dopilnować, żeby odwiedzający krewni się zarejestrowali, a następnie usadzić ich na pomarańczowych plastikowych krzesłach na korytarzu. W Moorehead obowiązywał kretyński regulamin, zgodnie z którym dwie wizyty nie mogły odbywać się jednocześnie. Może po prostu niewielka placówka cierpiała na brak personelu. Tak czy owak, przekładało się to na tortury dla matek, które czekały wiele godzin, płacząc, przestępując z nogi na nogę, smarkając w chustki i złorzecząc. Żeby sobie ulżyć, wymyślałam absurdalne ankiety, które odbijałam na powielaczu i rozdawałam na podkładkach z klipsem szczególnie niespokojnym matkom.

Liczyłam na to, że obowiązek wypełnienia ankiety podniesie ich poczucie własnej wartości, stworzy złudzenie, że ich życie i poglądy są ważne i interesujące. Wymyślałam pytania w rodzaju: „Jak często dolewasz benzyny do baku?” lub „Jak wyobrażasz sobie siebie za dziesięć lat?”. „Czy lubisz telewizję? Jeśli tak, to które programy?”. Matki zwykle z wdzięcznością przyjmowały jakiekolwiek zajęcie, choć udawały, że się wzbraniają. Kiedy pytały, czemu to służy, mówiłam, że to „badania rządowe” i jeśli chcą zachować anonimowość, mogą pominąć rubrykę z nazwiskiem. Nigdy nie korzystały z tej opcji. Podpisywały się znacznie wyraźniej niż przy rejestracji. Serce ściskało się od ich naiwnych odpowiedzi: „W każdy piątek”. „Będę zdrowa, szczęśliwa, a moim dzieciom będzie się dobrze wiodło”. „Jerry Lewis”.

Do moich obowiązków należał nadzór nad kartoteką, w której przechowywano świadectwa szkolne, opinie i inne dokumenty osadzonych w Moorehead. Wyjeżdżali stąd, kiedy odsiedzieli wyrok albo skończyli osiemnaście lat. Najmłodszy chłopiec, jakiego tam widziałam, miał dziewięć i pół roku. Dyrektor lubił straszyć większych chłopców – wysokich albo tęgich, albo i to, i to – a już zwłaszcza niesubordynowanych, że ich przeniesie przed terminem do więzienia dla mężczyzn.

– Narzekasz, młody człowieku, na ciężkie życie u nas? W więzieniu stanowym po jednym dniu lizałbyś się z ran przez miesiąc.

Mnie chłopcy z Moorehead nie wydawali się tacy straszni, zważywszy na warunki. Każdy na ich miejscu byłby krnąbrny i sfrustrowany. Nie wolno im było zachowywać się odpowiednio do wieku – tańczyć, śpiewać, żywo gestykulować, mówić głośno, słuchać muzyki, kłaść się bez pozwolenia. Nigdy nie rozmawiałam z żadnym z nich, ale wiedziałam o nich wszystko. Lubiłam przeglądać ich kartoteki zawierające opisy przestępstw, raporty policyjne, zeznania samych młodych winowajców. Pamiętam, że jeden dźgnął piórem w ucho taksówkarza. Tylko nieliczni pochodzili z samego X-ville, większość z okolic – śmietanka młodocianych złodziei, wandali, gwałcicieli, kidnaperów, podpalaczy i morderców ze stanu Massachusetts. Nie brakowało wśród nich sierot i włóczęgów, którzy chcieli uchodzić za twardzieli – chodzili ze swadą, zamaszystym krokiem. Chłopcy z normalnych rodzin, słabsi, grzeczniejsi i mniej przebojowi, snuli się lękliwie pod ścianami. Wolałam zawadiaków, pociągali mnie bardziej, poza tym ich przestępstwa były normalniejsze. To chłopcy z przyzwoitych domów odpowiadali za najbardziej zboczone, wynaturzone zbrodnie – uduszenie młodszej siostrzyczki, podpalenie psa sąsiadów, otrucie księdza. To było frapujące,

choć po paru latach mi spowszedniało.

Tamto piątkowe popołudnie utkwiło mi w pamięci jako dzień, w którym młoda dziewczyna przyjechała w odwiedziny do sprawcy przestępstwa, którego była ofiarą – domyślałam się, że ją zgwałcił. Śliczna, na pozór beztroska, a w tamtych czasach każda atrakcyjna dziewczyna była w moich oczach puszczalską dupodajką, kurwiszonem bądź zdzirą. Naturalnie tego typu wizyty były surowo zakazane. Odwiedzać osadzonych mogli tylko krewni, tak zwani bliscy. Poinformowałam o tym dziewczynę, ale uparcie domagała się widzenia. Najpierw była bardzo spokojna, jakby próbowała coś wykombinować. Zaskoczona własnym tupetem, z maską pośmiertną na twarzy spytałam, czy należy do bliskich chłopca. Czy mam rozumieć, że są zaręczeni, dodałam. Szlag ją trafił, puściła wiązkę przekleństw w stronę zapłakanych matek z ankietami i rąbnęła rejestrem wizyt o podłogę. Sama nie wiem, czemu zachowałam się tak bezdusznie. Pewnie jej zazdrościłam. Nikt nigdy nie próbował mnie zgwałcić, ale byłam święcie przekonana, że stracę cnotę pod przymusem. Oczywiście liczyłam na to, że będę gwałcona wyłącznie przez wrażliwych, delikatnych i przystojnych mężczyzn, durzących się we mnie potajemnie – najlepiej przez Randy'ego. Po wyjściu dziewczyny w wolnej chwili przejrzałam kartotekę jej gwałciciela. Ze zdjęcia spoglądał czarny wyrostek, pryszczaty i apatyczny. Litania jego wykroczeń obejmowała kradzież prania ze sznura sąsiadki, palenie marihuany i demolkę samochodu. Mogło być gorzej.

Do moich obowiązków w godzinach odwiedzin należało również informowanie strażników, którego chłopca mają przyprowadzić. Dwaj strażnicy, którzy szczególnie utkwili mi w pamięci, to, naturalnie, Randy i James. Podejrzewam, że James był niedorozwinięty. Albo nerwowo chory. Nadpobudliwy, wiecznie się pocił, w obecności bliźnich przeżywał tortury. Szczególnie się męczył, gdy musiał kontaktować się z więźniami lub stawić czoło płaczącym matkom. Kiedy był sam, popadał w upiorne odrętwienie, sflaczały jak nadwerężona proca. Kiedy miał dyżur na korytarzu, godzinami siedział bez ruchu, gotów wystrzelić jak z katapulty na każde wezwanie. Teraz widzę w tym idiotyczne trwonienie roboczogodzin, skoro w głębi korytarza siedział drugi strażnik, pilnujący drzwi do oddziału rekreacyjnego więzienia, jak nazywano pomieszczenia, w których chłopcy spędzali wolny czas, śpiąc, chodząc w kółko, czytając Biblię czy co tam jeszcze im wpadło do głowy.

Kolejny idiotyzm – niedawno sobie przypomniałam – to obowiązek rewizji osobistej odwiedzających kobiet. Zadanie to spadało na mnie, zapewne

z braku strażniczek. Obmacywałam zatem matki po biodrach i rękach, nie przykładając się zbytnio, a na koniec klepałam je po plecach. To były najbardziej intymne chwile mojego ówczesnego życia – oklepywanie smutnych kobiet. Randy zwykle był przy tym z racji tego, że pełnił wartę przy drzwiach pokoju widzeń, więc rewidując te kobiety, często wyobrażałam sobie, że dotykam Randy'ego, który, jak one, ledwie rejestrował moją obecność. Nieszczęsne kobiety, uległe, zgnębione, nigdy nie stawiały oporu. Jak się łatwo domyślić, żadna z tych kulawych rewizji nie ujawniła próby przemytu noża, pistoletu czy fiolki z trucizną w kieszeni spódnicy którejś z tych biedaczek. Strażnicy też nie poświęcali im większej uwagi. Mężczyźni rzadko przyjeżdżali w odwiedziny; prawdopodobnie kolidowały z ich godzinami pracy, podejrzewam jednak, że większość chłopców w Moorehead po prostu nie miała ojca, co zresztą mogło być źródłem ich kłopotów z prawem. W sumie dość ponure to wszystko.

Jedynym jasnym akcentem mrocznych godzin odwiedzin była obecność Randy'ego. Do dziś pamiętam charakterystyczną woń jego potu, ostrą, ale nie przykrą. Ach, te stare dobre zapachy… Dawniej ludzie pachnieli ładniej niż teraz, bez dwóch zdań. Z wiekiem mój wzrok osłabł, ale węch mam wciąż w pełni sprawny. Do dziś zdarza mi się wyjść z pokoju albo odsunąć, kiedy ktoś w pobliżu śmierdzi. Nie mam na myśli woni potu ani brudu, lecz ten szczególny, nienaturalny, gryzący odór osobników, którzy tuszują swoje wrogie zamiary kremami i perfumami. Lepiej nie ufać mocno wypachnionym osobnikom. To drapieżniki podobne psom, które tarzają się w odchodach przedstawicieli własnego gatunku. Zwyrodnialcy. Choć byłam przeczulona na punkcie swojego zapachu – czy nie czuć ode mnie potem, czy niesmak w ustach nie wskazuje aby na nieświeży oddech – nigdy nie używałam perfum i zawsze wolałam bezzapachowe mydła i płyny do ciała. Nic tak nie zwraca uwagi na przykry zapach jak rozmaite pachnidła, które próbują go zatuszować. Ponieważ mieszkałam sama z ojcem, do moich obowiązków – niepisanych, ale też rzadko wypełnianych – należało pranie. Brudne ubrania ojca wydzielały nieznośny fetor. Często zbierało mi się na wymioty, dławiłam się. Śmierdział serwatką, mdlącą, ostro zaprawioną dżinem. Do dziś żołądek podjeżdża mi do gardła.

Randy pachniał inaczej – jego pot był słony jak morska bryza, ciepły, dosadny. Lubiłam tę woń. Pachniał jak człowiek uczciwy. Pani Stephens mówiła mi, że wszyscy strażnicy zostali do nas skierowani z urzędu pracy w więzieniu rejonowym, co wskazywałoby, że są byłymi więźniami. Wszyscy nosili tatuaże, nawet James miał jeden, swastykę, jeśli mnie pamięć nie myli.

Tatuaż Randy'ego przedstawiał niewyraźną podobiznę kobiety – łudziłam się, że to jego matka. Niedługo po podjęciu pracy w Moorehead, w godzinach porannych, kiedy obie panie z sekretariatu szykowały wielkanocne dekoracje, przejrzałam w kartotece teczkę pracowniczą Randy'ego, a w niej wykaz jego młodzieńczych wykroczeń: przestępstwo na tle seksualnym i włamanie z bezprawnym wkroczeniem na teren. Jako nastolatek odsiadywał wyrok w Moorehead, co dodawało mu w moich oczach uroku.

Naturalnie spędziłam wiele godzin, głowiąc się, kto mógł być obiektem jego przestępstwa na tle seksualnym. Domyślałam się, że była to jakaś małolata, która podpadła rodzicom, wracając późno do domu, albo zaszła w ciążę. Randy nie robił wrażenia brutalnego, ale parę razy widziałam, jak używa siły, żeby okiełznać chłopców. Wyobrażałam go sobie jako zwycięzcę na ringu. A oto jedna z moich częstych fantazji na jego temat: Randy czeka na mnie po pracy. Proponuje, że odprowadzi mnie do samochodu. Próbuje wziąć mnie pod rękę, gdyż ślizgamy się na pokrytym skorupą lodu parkingu, ale ja odmawiam, przez co czuje się odrzucony i ośmieszony. Kiedy jednak poślizgnę się nagle, siłą rzeczy będę zmuszona szukać oparcia (dłonią w rękawiczce) w jego muskularnym ramieniu, na co on zajrzy mi głęboko w oczy. Niewykluczone, że zaczniemy się całować. Lub też obejmie mnie od tyłu, podprowadzi do dodge'a, przyciśnie twarzą do oszronionej szyby samochodu i zadrze spódnicę, zedrze ze mnie pończochy i majtki, a potem wsunie rękę między moje uda, badając fałdy i wgłębienia na ich styku, i będzie mnie penetrował, dysząc mi żarem w ucho. W tej fantazji nie miałam na sobie paska do pończoch.

To nie będzie opowieść o miłości. Pozwolę sobie jednak wtrącić parę słów o Randym, zanim na firmamencie tej opowieści zalśni gwiazda pierwszej wielkości. Dziwna rzecz, jak miłość potrafi przeskoczyć z jednego człowieka na drugiego, niczym pchła. Do pojawienia się Rebekki parę dni później tylko obsesyjne myślenie o Randym podtrzymywało we mnie chęć istnienia. Do dziś pamiętam jego adres, bo w weekendy podjeżdżałam pod jego okna w sąsiednim miasteczku i zsunięta nisko na siedzeniu podglądałam, czy jest w domu, sam i czy nie śpi. Próbowałam ustalić, co robi, zgadnąć, o czym myśli, czy myśli choćby czasem o mnie. Parę razy nieoczekiwanie wpadłam na niego na głównej ulicy X-ville. Za każdym razem unosiłam dłoń obleczoną w rękawiczkę i otwierałam usta, żeby powiedzieć „dzień dobry", ale on kroczył dumnie, nie zwracając na mnie uwagi. Mało mi serce nie pękło. Ale wierzyłam, że przyjdzie dzień, kiedy łuski spadną mu z oczu, a wtedy mnie pokocha. Tymczasem cierpiałam skrycie i próbowałam rozszyfrować jego

gesty, zwyczaje, wyraz twarzy, licząc na to, że znajomość mowy jego ciała przyda się, gdy przyjdzie czas, żeby mu dogadzać. Uprzedzałabym jego życzenia, żeby go uszczęśliwić. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że Randy miał już za sobą doświadczenia seksualne. Mimo to nie mogłam go sobie wyobrazić podczas kopulacji, jak w myślach nazywałam stosunek. Nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić jego nagości, choć dzięki świerszczykom ojca wiedziałam, jak wyglądają męskie genitalia. Potrafiłam sobie za to wyobrazić, jak chwilę po stosunku Randy śmieje się zrelaksowany i patrzy przez skotłowane łóżko na niewidoczną kobiecą postać. Był moim idolem. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, aby tętno podskoczyło mi na pół dnia. Ale dość już o Randym. Na razie zostawmy go na boku.

A oto jak wyglądałam w tamten piątek: sztywne półbuty ze sztucznej krokodylej skóry z grubymi, schodzonymi podeszwami, białe pończochy, w których moje chude nogi wyglądały jak patyki, suta żółta spódnica bouclé, dobrze za kolana; żakiet z szarej wełny z wywatowanymi ramionami, biała płócienna bluzka; miedziany krzyżyk na szyi; włosy od dawna nieczesane; zero kolczyków; szminka do ust w odcieniu czerwień absolutna. Musiałam wyglądać na między dziewiętnaście a sześćdziesiąt pięć lat, jak jakaś stara maleńka albo dziecko w przebraniu dorosłego. Dziewczęta w moim wieku były już zamężne, miały dzieci i domy. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie miałam podobnych marzeń. To wszystko jednak było dla mnie nieosiągalne. Nie miałam szans, choć byłam dobrym materiałem na kurę domową – głupiutka, bez zainteresowań. Uważałam jednak, że nie powinno się iść do łóżka bez miłości, bo tak robią tylko kurwy.

Z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że moje wzdychanie do Randy'ego nie było wcale takie głupie. Gdybym wyszła za niego, miałabym się całkiem nieźle. Miał pracę, był zdrowy, a poderwanie go nie było niewykonalne. Mimo całej mojej paranoi w moim ówczesnym wyglądzie darmo by szukać czegoś naprawdę odpychającego. Nastroje miewałam w tamtych latach dość obniżone, ale mam wrażenie, że wielu mężczyzn nie zwraca na takie rzeczy uwagi. Inna sprawa, że nie wiedziałabym, co robić z Randym, gdyby jakimś cudem udało mi się go naprawdę poderwać. Naturalnie musiałby mieć jeszcze inne kobiety pod ręką. Zanim przekroczyłam trzydziestkę, nauczyłam się relaksować, puszczać oko do lustra i osuwać z wdziękiem w objęcia kolejnych kochanków. Moje dwudziestoczteroletnie wcielenie padłoby z wrażenia na wiadomość, jak szybko poddam bastion dziewiczej skromności. A kiedy po wyjeździe z X-ville nabrałam kształtów i zaczęłam się lepiej ubierać, mijając mnie na Broadwayu czy Czternastej Ulicy, wzięlibyście mnie za studentkę lub

asystentkę znanego malarza, która idzie odebrać z galerii pieniądze za kolejny sprzedany obraz. Chcę przez to powiedzieć, że nie byłam tak naprawdę nieatrakcyjna. Byłam… niewidzialna.

Tamtego popołudnia przez sekretariat przewinął się korowód matek. Hałdy wypełnionych kwestionariuszy spoczęły w koszu na śmieci obok sterty papierków po toffi, podobnych do lśniących odwłoków owadów. „Czy wierzy pani w istnienie życia na Marsie? Jakie cechy powinien posiadać dostojnik państwowy?”. Co dzień zbierałam z podłogi pęk umazanych szminką i mokrych od smarków chustek do nosa, podobnych do zwiędłych białych goździków z różowym brzeżkiem. „Czy znasz języki obce? Wolisz groszek konserwowy czy marchewkę? Czy palisz papierosy?”. Rozległ się dzwonek, sygnalizując, że ktoś, któryś z chłopców, zrobił coś, za co spotka go sroga kara. James wstał z krzesła i wyłamując palce, ruszył przed siebie korytarzem, jak automat. Ścisnęłam mocniej zużyte chustki, a potem dorzuciłam do piętrzących się w koszu papierów i papierków.

– Wynieś śmieci, Eileen – rzuciła pani Stephens spod pachy; schylała się właśnie do dolnej szuflady po kolejną puszkę cukierków.

„Jeśli istniało życie na Marsie, to wygasło” – odpowiedziała jedna z matek.

„Mężczyzna powinien być barczysty i mieć wąsy”.

„Francuski, słabo”.

„Groszek”.

„Sześć paczek tygodniowo. Czasem więcej”.

W tamten piątek, przed wyjazdem z Moorehead, pani Stephens poprosiła mnie o ubranie choinki, którą woźny przytaszczył do poczekalni, pustej, bo było już po godzinach odwiedzin. Pamiętam, że był to bujny świerk o grubych igłach lepkich od żywicy, której cierpki aromat wypełnił pomieszczenie. W szatni była szafa, w której przechowywano okolicznościowe dekoracje – wycinanki zajączków i pisanek wielkanocnych, chorągiewki na Dzień Niepodległości, sztandary na Święto Pracy i Dzień Pamięci Poległych na Polu Chwały, dynie i indyki na Święto Dziękczynienia. Pamiętam, jak na któreś Halloween zawieszałyśmy wianuszki czosnku nad drzwiami do sekretariatu, a na apelu po lunchu dyrektor więzienia poczęstował nas mrocznym ustępem z Księgi Mojżeszowej o kultach potępionych, do których zalicza się wywoływanie zmarłych. Flaki się od tego wywracały.

Ozdoby choinkowe leżały tam, gdzie je odłożyłam rok wcześniej, upychając byle jak do oklapniętego pudła. Bombki posypane srebrem i złotem

łuszczyły się i blakły, z roku na rok ubywało tych, które nadawały się do zapakowania z powrotem w zgniecione stare gazety, mimo to miały swój urok i budziły we mnie tęsknotę. Cierpiałam, ilekroć zbliżała się Gwiazdka, jedyna chwila w roku, kiedy mimo woli rutynowo użalałam się nad sobą, jak nakazuje obyczaj. Opłakiwałam brak miłości i ciepła w moim życiu, wyłam w duchu, by miłosierne niebiosa wybawiły mnie z nędznej egzystencji, zsyłając nowe, wspaniałe życie, jak na filmach. Uwielbiałam świąteczną atmosferę. Kiedy byłam mała, uczono mnie, że moje wyrzeczenia i starania, by być dobrą, zostaną docenione, jednak Bóg karał mnie rok w rok. Żadnych prezentów, żadnych cudów, żadnej świętej nocy. Również z tego powodu użalałam się nad sobą. Starałam się zachować kamienną twarz, rozpakowując ozdoby, wśród nich wianki ostrokrzewu z lśniącego poliestru pachnącego płynem do dezynfekcji; lubiłam ten zapach. Na dnie pudła leżały świecidełka i stare śnieżynki wycięte z białego papieru przez chłopców wiele Gwiazdek temu; niektóre mogły mieć ze dwadzieścia lat. W oczy rzucała się ich agresywna forma: były jakby aktami przemocy w mikroskali. Wyblakłe podpisy na brzeżkach, złożone starannym pismem, pozostawały wciąż czytelne. Zapamiętałam kilka nazwisk w rodzaju Cheyney Morris, lat 17 czy Roger Jones, lat 14. Moim zadaniem było przyklejenie śnieżynek do ściany w poczekalni, ale przed tygodniem zużyłam cały przylepiec do przyklejenia nadprutego rąbka płaszcza, powciskałam więc tylko gwiazdki w gałęzie choinki w charakterze śniegu. Lubiłam systematyczne czynności, takie jak zawieszanie ozdób, i chętnie zatracałam się w tej robocie, pławiąc się w nastroju rzewnej nostalgii. Część ozdób zachowywałam na górne partie choinki, do których nie mogłam dosięgnąć bez wyciągania rąk do góry, co groziło tym, że ktoś mógłby wypatrzyć ciemne plamy potu pod moimi pachami. Wszystko, tylko nie to.

– Mógłbyś przynieść drabinę? – poprosiłam Jamesa, gdy wrócił na swój posterunek.

Pamiętam zapach jego pomady do włosów – mdłą woń lanoliny – kiedy ostrożnie stawiał drabinę przy choince, a potem trzymał ją, gdy weszłam na górę. Krople potu perliły się jak rosa na jego czole.

– Nie gap się – powiedziałam, choć wiedziałam, że za nic by się nie ośmielił zajrzeć mi pod spódnicę.

Kiwnął pokornie głową. Upajałam się tą sytuacją, bo bardzo rzadko miałam okazję czuć się kimś ważnym.

Kiedy skończyłam wieszać ozdoby i odniosłam puste pudło do szafy w magazynku, pani Stephens podniosła głowę znad papierów. Drzewko

wyglądało pięknie – byłam dumna z mojej roboty, ale pani Stephens ledwie raczyła zaszczycić je spojrzeniem. Nos miała w cukrze pudrze, sweter umazany dżemem malinowym; była nieziemską fleją i guzik ją obchodziło, co ludzie mogą pomyśleć. Od dziesięcioleci pełniła funkcję naczelnej sekretarki w Moorehead.

– W poniedziałek będziesz stać za reflektorem podczas jasełek – zwróciła się do mnie zrzędliwym głosem. – To już nie na moje siły. Ani mi się śni to robić.

– Jasne – zgodziłam się.

Czułam, że kiedyś stamtąd odejdę i pani Stephens zniknie mi z oczu i z serca, więc nienawidziłam jej z całej duszy, delektując się, póki mogłam, moją antypatią. Miałam dosyć rozumu w głowie, żeby nie pyskować ani się nie stawiać, ale w myślach jeździłam po niej jak po łysej kobyle. Przyjęła mnie do pracy, żeby przypodobać się ojcu. Raz mało nie umarłam ze wstydu, kiedy niechcący zwróciłam się do niej „mamo". Pani Stephens wywróciła oczami.

– Możesz tak mówić, moja miła, jeśli to ci pomaga – prychnęła, postukując cholernym cukierkiem o zęby i odsłaniając lśniące dziąsła z pękającymi bąbelkami śliny.

Zachichotałam z zakłopotaniem.

– Pszę pani – poprawiłam się.

Myślę, że nie zasługiwała na głęboką nienawiść, jaką ją darzyłam, ale w tamtych czasach nienawidziłam prawie wszystkich. Pamiętam, jak wracałam potem wieczorem do domu, próbując sobie wyobrazić, jak może wyglądać jej ciało pod pastelowym perkalem i szarą wełenką. W moich oczach jej obwisłe cielsko przypominało połeć boczku wiszący na haku u rzeźnika – tłuste, oślizłe, pomarańczowe, bezkrwiste mięcho odrąbane tasakiem.

Do dziś jak żywo mam przed oczami dwudziestominutową drogę z Moorehead do X-ville. Ośnieżone pastwiska po horyzont, ciemny las i wąskie polne drogi, potem domy, najpierw z rzadka rozrzucone gospodarstwa, potem mniejsze, położone bliżej siebie, często ogrodzone białymi sztachetami albo czarnymi żeliwnymi parkanami. Naturalnie w X-ville nie brakowało idyllicznych akcentów. Wyobraźcie sobie starszego pana, który wyprowadza pieska, panią wynoszącą z auta torbę z warzywami. To miejsce w sumie nie było takie złe. Kiedy się szło przez miasto, miało się wrażenie, że wszystko jest okej. Jest dobrze. Nawet mój samochód

z uszkodzoną rurą wydechową i mróz szczypiący w uszy były okej. Kochałam tamten świat i nienawidziłam go. Nasz dom stał o przecznicę od skrzyżowania, na którym straż miejska kierowała ruchem rano i po południu ze względu na uczniów podstawówki z końca ulicy. Często na słupkach sąsiednich płotów widywałam zgubione rękawiczki i szaliki, a w zimie na wysokich zaspach – zaimprowizowane biura rzeczy znalezionych. Tamtego wieczoru na śniegu obok naszego podjazdu znalazłam chłopięcą czapkę z włóczki. Obejrzałam ją pod latarnią i przymierzyłam. Była przyciasna i szczelnie zakrywała mi uszy. Spróbowałam powiedzieć: „Randy". Mój głos wzbudzał wibrujący pogłos w czaszce. Ogarnął mnie dziwny spokój. Jakieś auto cicho sunęło po rozjeżdżonym śniegu.

Kiedy skręcałam w wąską ścieżkę między zaspami prowadzącą do domu, po drugiej stronie ulicy otwarły się drzwi samochodu i wysiadł z niego policjant w mundurze; ruszył do mnie, przecinając oblodzoną jezdnię. Wiatr nagle ucichł, jakby śnieżyca zbierała się do ataku. W domu zapaliło się światło. Policjant zamarł w pół drogi.

– Panno Dunlop. – Skinął, żebym podeszła do niego.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Znałam większość gliniarzy z X-ville. Mój ojciec nie szczędził starań, żeby ściągać ich do siebie. Tamtego wieczoru sierżant Laffey poinformował mnie, że dostali telefon z podstawówki ze skargą: ojciec z ganku rzucał śnieżkami w dzieci. Wręczył mi upomnienie na piśmie, skinął głową i zawrócił do samochodu.

– Może pan wejdzie i porozmawia z nim – powiedziałam, zasłuchana w dziwny pogłos między uszami. Machnęłam upomnieniem.

– Już późno – wymówił się i ruszył do radiowozu.

Pod moją nieobecność sople lodu wiszące nad gankiem musiały urosnąć z dziesięć centymetrów; udało mi się dosięgnąć do sopla, którego czubek, ku mojemu rozczarowaniu, w ogóle nie był ostry. Gdyby mnie naszła ochota, mogłabym zamachnąć się torebką i odłamać wszystkie za jednym zamachem. Jednak nie zrobiłam tego – zamknęłam delikatnie drzwi i zdjęłam buty, nie używając rąk.

Byłam w domu. Ściany sieni pokrywała tapeta w zielono-niebieskie pasy i listwy z pozłacanego drewna. Schody były obdarte z wykładziny, bo poprzedniego lata wysiadł mi odkurzacz. Ciemności tuszowały fakt, że wszystko jest pokryte grubą warstwą kurzu. Żarówki w sieni i w salonie dawno się poprzepalały. Co pewien czas zbierałam na górze schodów puszki i butelki mojego ojca, porozrzucane gazety, które czytał – albo udawał, że czyta; zrzucałam gazety znad balustrady, płachta za płachtą, obserwując, jak

szybują w dół, do sieni. Tamtego wieczoru wyrwałam kilka stron – prenumerowaliśmy „Post” – zgniotłam w kulę i trafiłam w plecy stojącego przy zlewie ojca.

– Cześć, tato.

– Smarkulo – powitał mnie, obracając się i kopiąc kulę przez pokój.

Przez dwadzieścia cztery lata, które z nim przeżyłam, nigdy nie powiedział mi „cześć” albo „jak się miewasz?”. Za to kiedy wracałam z pracy wyjątkowo zmęczona, zdarzało mu się zagadnąć: „Co słychać u twoich kochaneczków? Jak leci chłopakom?”. Siadałam na chwilę przy kuchennym stole, żeby chrupać fistaszki, wysłuchując narzekań ojca. Oboje przepadaliśmy za fistaszkami.

Ogrzałam ręce przy kuchni. Pamiętam, że miałam na sobie letnie czarne rękawiczki haftowane na palcach w zielone kwiatki. Uporczywe sabotowanie własnych potrzeb nie pozwoliło mi na zakup porządnych zimowych rękawiczek. Ale lubiłam tę parę w zielone kwiatuszki. W tamtych czasach kobiety nosiły jeszcze rękawiczki. Odpowiadał mi ten zwyczaj, bo miałam delikatną skórę na dłoniach, wiecznie lodowatych, i dotyk sprawiał mi przykrość.

– Zapuszkowali kogoś nowego? – spytał ojciec tamtego wieczoru. – Chłopak Polka dobrze się sprawuje?

O Polku było ostatnio głośno. Gliniarz z X-ville został zamordowany przez własnego syna. Ojciec go znał, razem służyli w policji.

Na blacie kuchennym czekała poczta. „National Geographic” w tym miesiącu był raczej nijaki. Parę lat temu znalazłam ten sam numer w antykwariacie – grudzień 1964 – i trzymam go wśród moich książek i papierów. Nie sądzę, żeby pięćdziesięcioletni egzemplarz miał szczególną wartość, ale dla mnie jest fetyszem, migawką ze świata, który za moment miał zostać przewrócony do góry nogami. Okładka przedstawiała dwa brzydkie białe ptaki, pewnie gołębie, siedzące na ogrodzeniu z kutego żelaza. Gdzieś w oddali majaczył niewyraźnie krzyż. W środku zauważyłam artykuły poświęcone stanowi Waszyngton i egzotycznym miejscom wypoczynkowym w Meksyku i na Bliskim Wschodzie. Tamtego piątkowego wieczoru wzięłam do rąk numer pachnący jeszcze świeżą farbą i klejem i otwarłam na chybił trafił na zdjęciu palmy na tle zachodzącego słońca. Z rozczarowaniem rzuciłam pismo na stół. Wolałam czytać o miejscach w rodzaju Indii, Białorusi czy slumsów Brazylii. Albo o głodujących dzieciach w Afryce.

Wręczyłam ojcu upomnienie od sierżanta Laffeya i przysiadłam skubnąć trochę orzeszków. Ojciec przebiegł wzrokiem pismo i cisnął je do kubła.

– Robią to tylko na pokaz – skwitował.

Jego urojenia były niezwykle pomysłowe i uniwersalne; wszystko pasowało do jego teorii spisku. Nic nie było tym, czym się wydawało. Nękały go wizje mrocznych istot, które nazywał „gangsterami”; twierdził, że przemykają tak szybko, że widzi tylko smugę. Skradały się pod gankiem, kryły w cieniu, w krzakach, na drzewach, skąd naigrawały się z niego. Rzucił przez okno parę kulek śniegu tylko po to, żeby pokazać im, że je przejrzał na wylot. Policja udzieliła mu upomnienia, żeby mu zabezpieczyć alibi – ot, staremu pomieszało się w głowie.

– Tutaj też są – powiedział, wodząc ręką dookoła. Miał na myśli gangsterów. – Musieli się dostać przez piwnicę. Łażą jak po swoim. Słyszałem o nich. Czają się w norach, jak szczury. Po prawdzie, chroboczą jak szczury. Złe duchy. – Dręczyły go dniem i nocą, więc musiał szukać ucieczki w piciu, rozumie się samo przez się. Dosiadł się do stołu. – To mafia ich nasyła. (Jasne, a któż by). Jak sądzisz, czemu gliny się tu stale kręcą? Żeby mnie chronić. W końcu robiło się coś niecoś dla tego miasta.

– Upiłeś się – stwierdziłam rzeczowo.

– Od lat nie zdarzyło mi się upić, Eileen. To – machnął puszką z piwem – służy mi tylko na nerwy.

Otwarłam drugą puszkę i schrupałam kilka fistaszków.

– Co cię tak śmieszy? – spytałam, podniósłszy wzrok znad łupin i zobaczywszy, że się śmieje. To było do niego podobne, potrafił w okamgnieniu przejść od trwogi do złośliwych żartów.

– Twoja twarz. Nie musisz się bać, Eileen. Z taką twarzą nikt cię nie będzie napastować.

Miałam tego dość. Nienawidziłam go. Pamiętam, jak później tego wieczoru przechwyciłam swoje odbicie w ciemnym oknie salonu. Wyglądałam na całkiem dorosłą. Ojciec nie miał prawa mi dokuczać. Tamtego piątkowego wieczoru zajrzała do nas Joanie w białej kurtce ze sztucznego misia, spódniczce mini i kozaczkach; korkociągi z loków okalały jej twarz, oczy ociekały czarnym tuszem. Była wesołą blondynką o ustach wygiętych w słodką podkówkę, przynajmniej wtedy. Podejrzewam, że później zgorzkniała – ta podkówka dokądś pędziła, rozumiecie? – mam jednak nadzieję, że zdrowa i szczęśliwa żyje z kimś, kto ją kocha. Nadzieja nic nie kosztuje. Była czarowną istotą. Gdy się poruszała, zdawała się pysznić ciałem, jakby to było futro – miękkie, luksusowe. Nie miałam pojęcia, jak ona to robi. Była miła, ale bardzo dociekliwa, stale zadawała mi pytania w rodzaju: „Nie czujesz się głupio, chodząc w swetrze po zmarłej mamie?”. Albo uderzała

w siostrzany ton: „Czemu masz taką minę? Znów się czymś zamartwiasz?”.

Tamtego wieczoru tylko pokręciłam głową i dalej szykowałam sobie kanapkę z szynką. Chleb, masło, szynka. Joanie zatrzasnęła puderniczkę i zaszła mnie od tyłu, szturchnęła w żebra.

– Skóra i kości – mruknęła, porywając kanapkę z talerza. – Do zobaczenia. – Pocałowała leżącego na fotelu tatę.

Widziałam ją ostatni raz w życiu.

Poszłam na strych i wyciągnęłam się z numerem „Geographic” na łóżku polowym. Zastanawiałam się, czy brakowałoby mi Joanie, gdyby umarła. Chowałyśmy się razem, ale prawie jej nie znałam, a już na pewno ona nie wiedziała nic o mnie. Rozpakowywałam czekoladki ze staniolu, żułam i wypluwałam z powrotem do szarej papierowej torebki, w której przywiozłam je ze sklepu. Zamknęłam pewien rozdział życia.

Sobota

W sobotę do południa co najmniej piętnaście centymetrów nowego śniegu spadło na już sięgające kolan zaspy. Ranek był cichy – śnieg wytłumiał dźwięki. Nawet mróz mniej szczypał, jakby śnieg miał właściwości izolacyjne. Zanim piece zaczęły buzować, w kominkach zapłonęły kłody, a skorupa śniegu z lodem na domach zaczęła topnieć jak wosk, w X-ville panował niebiański spokój. Choć było mi zimno w moim pokoiku na strychu, wiedziałam, że wyjście z łóżka nie poprawi sytuacji. Ostatecznie, wysuwając rękę spod kołdry, też mogłam eksplorować świat. Godzinami wylegiwałam się na łóżku polowym, dumając i snując marzenia. Miałam duży słój na okoliczność mrozów lub gdy zły humor ojca zmuszał mnie do dekowania się na strychu. Kiedy kucałam nad słojem, w grubym swetrze i sfilcowanym szlafroku po mamie, a para buchała mi z nozdrzy jak dym z kociołka Baby-Jagi, czułam się jak na biwaku, pod gołym niebem, z dala od domu. Moje siuśki też parowały, cuchnąc jak trujący napar; bursztynowy płyn wychlustywałam przez okno do zawalonej śniegiem rynny.

Kupki to całkiem inna historia. Wypróżniałam się nieregularnie – raz, góra dwa razy w tygodniu – i rzadko bez wspomagania. Popadłam w szkodliwy nawyk połykania garściami pastylek na przeczyszczenie, gdy wydawało mi się, że jestem za gruba, albo czułam, że mam wzdęcie – czyli często. Najbliższa łazienka była na piętrze; dzieliłam ją z ojcem. Załatwianie się tam było dla mnie krępujące. Bałam się, że zapach dotrze na dół, do kuchni, albo że ojciec zacznie walić w drzwi, kiedy będę na sedesie. Co gorsza, uzależniłam się od pastylek i wypróżnienia bez nich były bolesne i mozolne, wymagały co najmniej godziny wysiadywania, ugniatania brzucha, wytężania się i modłów o efekt. Zdarzało mi się krwawić, wpijać paznokciami w uda i okładać pięściami brzuch z bezsilności. Po pastylkach wypływały ze mnie niekończące się zwały stolca, jakby moje jelita rozpuściły się i wypłynęły na zewnątrz w postaci mocno zalatującego chemią szlamu; zawsze miałam obawy, że zawartość sedesu wystąpi z brzegów. Gdy po wszystkim wstawałam, żeby spuścić wodę, byłam zlana zimnym potem. Robiło mi się słabo, więc musiałam się położyć, a świat wirował dookoła. Lubiłam te chwile. Wyczerpana, lekka jak piórko, leżałam w ciszy jak flak; miałam zawroty głowy i migotanie serca, a w myślach błogą pustkę. Żeby nikt nie naruszył mojej ekstazy, używałam klozetu w piwnicy. Ojciec pewnie myślał,

że robię pranie. Piwnica była oazą, w której mogłam bezpiecznie zapaść w trans postdefekacyjny.

Czasem jednak w piwnicy unosił się mroczny duch wspomnień o mojej matce, która spędzała tam długie godziny – na czym? Do dziś nie wiem. Gdy wyłaniała się na parterze z koszem wypranych ubrań albo stosem bielizny na biodrze, zdyszanym głosem kazała mi brać się do roboty, posprzątać pokój, uczesać się porządnie, poczytać coś i dać jej święty spokój. Po śmierci matki piwnica nadal pilnie strzegła sekretu jej wielogodzinnych pobytów na dole. Jeśli złe duchy i gangsterzy ojca mieli gdzieś swoją kryjówkę, to właśnie tam. Mimo to schodziłam na dół bez oporów. Życie mnie nauczyło, że wspomnienia, duchy i demony pojawiają się i znikają według własnego rozkładu.

Tamtej soboty leżałam w łóżku do oporu; dopiero głód i pragnienie zmusiły mnie, żeby włożyć kapcie i szlafrok i poczłapać na dół. Ojciec leżał zwinięty w kłębek na fotelu przed otwartym piekarnikiem. Wyglądał, jakby spał, więc zamknęłam piekarnik, napiłam się wody z kranu, naładowałam fistaszków do kieszeni szlafroka i nastawiłam czajnik. Oślepiające słońce wpadało przez okna, zalewając kuchnię strugą światła jak policyjny reflektor scenę zbrodni. Wszystko lepiło się od brudu. Nawet wiele lat później w wyjątkowo brudnych stacjach metra bądź publicznych toaletach zdarzało się, że żołądek podjeżdżał mi do gardła na wspomnienie tamtej kuchni. Nic dziwnego, że apetyt mi nie dopisywał. Wszystkie powierzchnie były pokryte grubą warstwą tłuszczu, sadzy i kurzu, podłoga upstrzona plamami po napojach i rozdeptanych resztkach jedzenia. Ale komu by się tam chciało sprzątać. Ani ojciec, ani ja nie gotowaliśmy, nie przywiązywaliśmy też większej wagi do jedzenia. Od czasu do czasu myłam w zlewie stertę kubków i szklanek. Zwykle jadłam chleb, piłam mleko prosto z kartonu, czasem otwierałam puszkę zielonej fasolki lub tuńczyka, smażyłam plaster bekonu. Tamtego dnia wyszłam na ganek, chrupiąc fistaszki.

Sąsiedzi wykopywali z zasp swoje samochody; nienawidziłam tej roboty. Wolałam zaczekać, aż zjawi się któryś z chłopców z sąsiedztwa i zrobi to za ćwierć dolara, które mu chętnie zapłacę. Rzucałam łupiny orzeszków na ośnieżone krzaki, co w naszym domu w przededniu tamtych świąt stanowiło jedyny dostępny substytut ubierania choinki.

– Cisza! – ryknął ojciec, kiedy zagwizdał czajnik. – O tej porze? – mruknął, rozklejając z trudem oczy i krzywiąc się od słońca. – Zaciągnij story, do diabła! – Nie mieliśmy zasłon. Ojciec zerwał firanki parę lat wcześniej, skarżąc się, że cienie, które rzucają, nakładają mu się na rzeczywistość.

Chciał mieć dobry widok na tyły domu i każdego, kto mógł się tam zakraść. Tamtego ranka, trąc oczy, przyglądał się, jak robię herbatę. – Jeszcze cię kto zobaczy w tych szmatach. Wyglądasz jak dziadówka. – Przekręcił się na bok, szorując twarzą o szorstką, zakurzoną tapicerkę. Fotel zaskrzypiał i sapnął jak lokomotywa.

– Jesteś głodny? Mogę zrobić jajka na miękko – zaproponowałam.

– Suszy mnie – wyseplenił, śliniąc się. – Żadnych jaj. Żadnych zgniłych jaj. – Jego noga drżała pod cienkim kocem. – Zimno – mruknął.

Popijałam herbatę, patrząc na jego twarz, opadające powieki jak draperie z pomarszczonej skóry. Wyglądał, jakby nie miał rzęs, a jego policzki były całkiem bezkrwiste.

– Na litość boską, Eileen, ty mnie chcesz wykończyć. – Nagle zerwał się i szarpnięciem otwarł drzwi piekarnika, wypuszczając na kuchnię ciepły powiew. – Myślisz, że jesteś taka sprytna, ale to jest mój dom. – Z powrotem naciągnął koc na nogi, szczelnie opatulając stopy. – Mój dom – powtórzył, zwijając się w kłębek jak niemowlę.

Ojciec był oficerem wydziału policji naszego hrabstwa, jednym z nielicznych miejscowych mundurowych, których obowiązki wykraczały poza przeganianie kotów z drzew i odwożenie pijanych kierowców do domu z izby wytrzeźwień w sąsiednim miasteczku. Gliny z X-ville to była zgrana paczka. Mój ojciec cieszył się wielkim szacunkiem, a jakże, każdy, kto go poznał, natychmiast ulegał jego urokowi, a chłodne niebieskie oczy i moralizatorstwo zyskały mu przydomek „Ojciec Dunlop”. W młodości służył w marines i na zawsze zachował ich cierpkie poczucie humoru. Kochał mundur. Przez lata służby rzadko kładł się do snu bez munduru i broni. Poczucie własnej wielkości kazało mu utrzymywać nieustanną gotowość, by w środku nocy wyskoczyć z łóżka i ruszyć w pogoń za złoczyńcą. Jednak jego heroizm nigdy nie został wystawiony na próbę. Reasumując: kochał wyłącznie siebie, rozpierała go pycha i nosił swoją odznakę policyjną jak złotą gwiazdę od samego Boga. Brzmi to, jakby był zerem – i nie bez racji. Był wielkim zerem.

Dopóki nie umarła mama, w jego pociągu do kielicha nie było nic niepokojącego. Wyglądał na miłośnika piwa, który tylko w chłodniejsze poranki skłania się ku whisky. Regularnie przesiadywał w O’Hara’s z kumplami z wydziału. Był to lokalny pub; nazwałam go na cześć poety, którego twórczość w ogóle do mnie nie przemawiała, nawet kiedy czytałam go jako dorosła. Tato po tym, jak wyjął broń i wycelował we właściciela O’Hara’s, stał się w pubie *persona non grata*. Kiedy moja mama się

rozchorowała – czy mówiąc górnolotnie, „zmogła ją choroba”, i to w lawinowym tempie – ojciec zaczął zwalniać się z pracy, pić w domu, błąkać się nocami po ulicach i spać na gankach sąsiadów. Potem rozpił się jeszcze bardziej – pił w pracy, od samego rana. Skasował radiowóz, potem broń wypaliła mu niechcący w szatni. Ze względu na jego staż pracy i niepojęty dla mnie fakt, że był ulubieńcem wydziału, nigdy publicznie nie komentowano jego wyczynów. Kiedy z upływem lat robił się coraz bardziej kłopotliwy, namówiono go po prostu na wcześniejszą – wysoką – emeryturę i pilnowano jak dziecka. Z jakichś powodów po śmierci matki przerzucił się na dżin. Moja hipoteza jest taka, że dżin przypominał mu zapach jej perfum – używała skromnej, kwiatowej, ale cierpkiej w zapachu wody toaletowej o nazwie Adelaide – może upajanie się ulubionym zapachem zmarłej działało na niego kojąco. Ale mogły też być inne powody. Słyszałam, że łyk dżinu chroni przed ukąszeniem komarów i innych owadów, mógł więc pić z racjonalnych pobudek.

Wczesne popołudnie spędziłam na odgarnianiu śniegu. Dziwnym trafem żaden chłopiec nie zjawiał się z propozycją, że mnie w tej czynności wyręczy. Dawniej zawsze czułam lekki dreszcz podniecenia, kiedy któryś z chłopaczków z sąsiedztwa dzwonił do drzwi po ostrej zadymce. Nie mieli więcej niż dwanaście, trzynaście lat, nosili czapki i jednopalczaste rękawiczki i pachnieli cukierkami na choinkę. Jeden z nich był szczególnie czarujący. Jego imię rymowało się z nazwiskiem: Pauly Daly. Miał buzię cherubinka – wielkie rumiane policzki i szafirowe oczy. Ilekroć go widziałam, miałam ochotę ucałować go, wyściskać w tym jego ciepłym płaszczyku. Pauly doskonale zrzucał śnieg z dachu samochodu i wygarniał spod kół, a podjazd odkopywał szeroko, żebym mogła otworzyć drzwi od strony kierowcy, o czym zawsze zapominałam, kiedy odśnieżałam sama. Świadczyło to o jego bystrości, a jednocześnie było dla mnie sygnałem, że troszczy się o mnie. Któregoś razu zaprosiłam go do środka, bo musiałam poszukać drobnych. Zanim wszedł do sieni, otrzepał buty i zdjął małą czapeczkę. Miał kindersztubę. Z trudem powstrzymywałam się, żeby go nie pogłaskać po rozczochranych cienkich włosach.

– Napijesz się ciepłej czekolady? – spytałam. Czułam, że nie widzi we mnie, jak cała reszta, dziwnej sztywniaczki z nieruchomą twarzą.

Siorbnął nosem, patrząc na brudny dywan i przestępując z nogi na nogę.

– Nie, dziękuję – odparł cicho, rumieniąc się.

Nieoczekiwanie pocałowałam go w policzek. Nie miałam żadnych zdrożnych myśli, po prostu był słodkim chłopcem i lubiłam go, ale on

zaczerwienił się i wytarł połyskliwy smark spod nosa. Był straszliwie skonsternowany. Odskoczyłam od niego i zaczęłam przeczesywać kieszenie płaszczy.

– Przepraszam – powiedziałam po chwili niezręcznego milczenia. Wsypałam wszystkie drobniaki, jakie udało mi się wygrzebać, w jego złożone dłonie.

Skinął głową, pożegnał mnie, zwracając się per „Pani Dunlop", odszedł i nigdy więcej się nie pojawił.

Wracając do tamtej soboty: kiedy skończyłam zrzucać śnieg z dodge'a, otworzyłam okna i włączyłam silnik na chwilę, żeby trochę podgrzać i rozmrozić samochód. Było wczesne popołudnie, wybierałam się do Randy'ego. Czułam, że muszę pojechać. Randy mieszkał na piętrze domu podzielonego na dwa mieszkania, rzut beretem od szosy międzystanowej. Wierzyłam zabobonnie, że jeśli będę go mieć na oku, nie zakocha się w żadnej. Wyglądało na to, że wolny czas spędza głównie sam w domu. Jednak rzadko podglądałam go wieczorem – bałam się nocnych wypadów – więc nie miałam pojęcia, z iloma dziewczynami zabawia się po nocy. Co pewien czas obok motocykla Randy'ego, zaparkowanego u wylotu zasypanego śniegiem podjazdu, pojawiał się drugi motocykl. Tłumaczyłam to sobie odwiedzinami kolegi lub brata; nawet nie byłam o nich zazdrosna. Zwykle zatrzymywałam się po drugiej stronie ulicy i zsunięta za kierownicę obserwowałam w bocznym lusterku dom Randy'ego. Szczerze mówiąc, nie miałam powodów, żeby się ukrywać. Wątpię, czy Randy poznałby mnie, nawet gdyby mnie nakrył na tym, że waruję przed jego domem. Przypuszczalnie nie wiedział nawet, jak się nazywam. Mimo to modliłam się o szczęśliwy traf, który pozwoli mi go poznać. Przesiadywałam w aucie godzinami, obmyślając najróżniejsze kobiece sztuczki, żeby go poderwać. Tylko marzenia o naszych językach i dłoniach splecionych w najdalszych zakamarkach więziennych korytarzy trzymały mnie przy życiu, inaczej zdechłabym z nudów. Tak więc przez większość czasu żyłam w świecie ułudy. I jak każda rozsądna kobieta skrywałam moje niegodne wyuzdanie pod maską skromnisi. Tak jest. Łatwo poznać, kto ma nieczyste myśli – wystarczy się przyjrzeć, kto ma najczystsze paznokcie. Ojciec na przykład ani myślał ukrywać się ze swoimi świerszczykami. Trzymał je za sedesem, pod łóżkiem, które dzielił z moją matką, w grubych stertach na półkach w piwnicy, w szufladzie biurka, w pudle na strychu. A mimo to był zagorzałym katolikiem, tak! Moja hipokryzja była niczym w porównaniu z hipokryzją ojca. Nigdy nie miałam poczucia winy z powodu tego, jak z nim postąpiłam.

Szczęśliwie obyło się bez wyrzutów sumienia.

Tamtego sobotniego popołudnia, przed wyjazdem do Randy'ego, założyłam stare okulary przeciwsłoneczne po mamie – wielkie, śmieszne okulary ze szkłami w owalnych szylkretowych oprawkach.

– Myślisz, że jestem idiotą? – ryknął ojciec, teraz już rozbudzony na dobre. Złamał się wpół, jakby mu brakło tchu. Na plecach miał koc, narzucony jak pelerynę. – Idziesz do tych twoich koleżków? – Wywrócił oczami. – Barabara? – Złapał krzesło za oparcie i zastukał nim w podłogę. – Siadaj, Eileen.

– Spóźnię się, tato – skłamałam, przesuwając się w stronę drzwi.

– Spóźnisz dokąd?

– Jestem umówiona.

– Z kim? Na co?

– Idziemy do kina.

Patrzył spod oka, chrząkając i taksując mnie wzrokiem.

– Tak się ubierasz na randkę?

– Jestem umówiona z koleżanką. Z Suzie.

– To siostra ci już nie wystarczy? Czemu Joanie nie weźmiesz do kina? – Wymachiwał ręką, aż mu koc spadł. Skrzywił się, jakby chłód dźgnął go boleśnie w plecy.

– Joanie nie może iść.

Tego rodzaju kłamstwa były na porządku dziennym. Nigdy się nie połapał. Nacisnęłam klamkę i otwarłam drzwi na zewnątrz. Spojrzałam do góry, na sople lodu. Mogłabym odłamać jeden z nich i rzucić w ojca, celując między oczy tak, żeby go zabić.

– Jasne, że nie może. Twoja siostra ma własne życie. Sama doszła do czegoś. Nie to co ty, wiecznie uczepiona czyjegoś fartucha.

Schylił się z trudem, żeby podnieść koc. Patrzyłam z korytarza przez drzwi do kuchni, jak drżącymi rękami mocuje się z paskiem szlafroka, próbując go zawiązać, narzuca koc i zataczając się, wraca na krzesło z kolejną butelką dżinu.

– Zacznij wreszcie żyć własnym życiem, Eileen. Weź się w garść.

Zawsze umiał mi dopiec. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że jest pijakiem, a okrutne słowa pod moim adresem są chorym bełkotem szaleńca. Uważał, że za zasługi przy „rozpracowaniu mafii" powinna przysługiwać mu ochrona świadka. Miał się chyba za kogoś w rodzaju więźnia sumienia, świętego, który wypowiedział walkę złu z czterech ścian swojej celi. Skarżył się, że gangsterzy płatają mu figle nawet we śnie. Próbowałam mu wyperswadować jego fobie.

– To są tylko twoje przywidzenia. Nikt na ciebie nie czyha.

Prychał tylko wzgardliwie, klepiąc mnie protekcjonalnie po głowie. Myślę teraz, że oboje mieliśmy lekką szajbę. Naturalnie w X-ville nie było żadnej mafii. Tak czy owak, zasługi mojego ojca jako policjanta sprowadzały się głównie do kierowania na pobocze samochodów, którym wysiadły tylne światła. Wszystko mu się teraz mieszało.

Wkrótce po przejściu ojca na emeryturę naczelnik wydziału odebrał mu prawo jazdy. Złapano go którejś nocy, jak jechał pod prąd autostradą. Następnej nocy zaparkował na miejskim cmentarzu. Nie mógł już jeździć, ale jako pieszy był prawie tak samo niebezpieczny. Błąkał się po zmroku, łomotał do sąsiadów, żeby przeprowadzić u nich rewizję w ramach wyimaginowanego śledztwa, mierzył z broni do zwidów, kładł się w rynsztoku albo na środku drogi. Gliniarze dyskretnie odwozili go do domu, życzliwie poklepując po plecach, a jeden zwrócił mi uwagę, że nie pilnuję ojca; rzecz jasna, przepraszającym tonem, mimo to szlag mnie trafił. Raz, po sześciu dniach jego nieobecności w trakcie wyjątkowo długiego ciągu alkoholowego, dostałam telefon ze szpitala dwa hrabstwa dalej, żeby po niego przyjechać. Po tym zdarzeniu zebrałam wszystkie buty ojca i zamknęłam w bagażniku. Odtąd siedział w domu, przynajmniej w zimie. Klucz do stacyjki nosiłam na szyi, jak wisiorek. Do dziś pamiętam, jak obijał się między moimi nikłymi piersiami, lepił do kościstego dekoltu i ocierał o skórę, kiedy wychodziłam z domu.

Zanim przejdę do opisu wydarzeń tamtej soboty, powinnam jeszcze wspomnieć o broni ojca. Kiedy byłam mała, ojciec po obiedzie rozsiadał się przy kuchennym stole i czyścił rewolwer, objaśniając jego mechanizm i konieczność konserwacji. „Jeśli nie zrobisz tego czy tamtego” – nie pamiętam już dokładnie czego – „broń może sama wypalić i kogoś zabić”. Raczej nie mówił tego po to, żeby mnie wprowadzić w tajniki budowy rewolweru czy zaznajomić z życiem i pracą policjanta, lecz żeby poinformować, że jego zajęcie jest tak ważne, tak śmiertelnie ważne, że gdybym mu przeszkodziła lub, co nie daj Boże, dotknęła rewolweru, mogłabym to przypłacić życiem. Wspominam o tym po to, żeby pokazać, czym był rewolwer w tej historii. Był w niej zawsze, odkąd sięgała moja pamięć – aż do samego końca. Bałam się go mniej więcej tak jak kuchennego tasaka.

Słońce zaczęło się już obniżać na niebie, wiatr nawiał na podjazd śniegu; śmierdziało spalinami z rury wydechowej. Wsiadłam do dodge’a i ruszyłam do Randy’ego, zagryzając spierzchnięte wargi, bo nie mogłam się już

doczekać, kiedy zobaczę go przez okno – on też nie miał firanek – lub, co byłoby lepsze, gdy będzie wychodził, co pozwoli mi jechać za nim niepostrzeżenie ulicami X-ville, kierując się ryczącym wniebogłosy silnikiem jego motocykla. Wreszcie dowiedziałabym się, co robi, kiedy go nie ma. Raz na zawsze ustaliłabym, czy w jego życiu jest jakaś kobieta. Już ja bym się z nią policzyła. Istniały pewne granice tego, do czego byłabym zdolna, żeby zdobyć uczucia Randy'ego – ostatecznie byłam leniwa i nieśmiała – ale moja obsesja na jego punkcie trwała już tak długo, że zaczęłam zatracać proporcje. Trudno powiedzieć, jak bym zareagowała, gdybym go przyłapała na francuskim pocałunku z jakąś cizią w typie Bardotki. Chyba nie byłam zdolna do prawdziwej przemocy. Może biłabym się pięściami po głowie, a potem zasunęła szyby w dodge'u, licząc na rychłą śmierć? Nigdy się tego nie dowiem.

Kiedy dotarłam na miejsce, Randy'ego nie było w domu. Jego motocykl zniknął. Z jakichś powodów zdecydowałam się wcielić swoje kłamstwo w czyn i pójść do kina. Oglądanie filmów nigdy nie należało do moich ulubionych rozrywek, ale tamtego popołudnia byłam spragniona towarzystwa. Nie lubiłam kina z tego samego powodu, z jakiego nie lubię literatury: odbieram jak policzek, kiedy ktoś mi mówi, co mam myśleć. W dodatku fabuły są zwykle mało wiarygodne. Co więcej, piękne aktorki wpędzały mnie w kompleksy. Skręcałam się z zazdrości i żalu, patrząc, jak się śmieją lub tracą humor. Naturalnie zdawałam sobie sprawę, że aktorstwo jest rzemiosłem, a bardzo cenię ludzi, którzy potrafią wyprzeć się siebie, przywdziewając inną maskę – jak ja, choć trochę inaczej. Generalnie jednak przy babkach z ekranu czułam się brzydka, nijaka i do niczego. Tym bardziej że w tamtej epoce uważałam się za pozbawioną zalet takich jak wdzięk czy naturalne piękno. Moim jedynym atutem było to, że byłam popychadłem, zerem, dostatecznie zdesperowanym, żeby się zgodzić na wszystko – no, może z wyjątkiem morderstwa – po to, by ktoś mnie kochał. Dopóki parę dni później nie pojawiła się Rebecca, mogłam się tylko modlić o cudowne zrządzenie losu, szczęśliwy traf, który sprawi, że przyjdę Randy'emu z pomocą i on mnie pokocha; na przykład wyniosę go z pożaru albo udzielę pierwszej pomocy w wypadku motocyklowym, albo będę przy nim z chustką do nosa i piersią, na której będzie mógł się wypłakać dokładnie w minucie, gdy otrzyma wiadomość o śmierci matki. Oto jak wyglądały moje fantazje miłosne.

Mieliśmy w X-ville małe kino, w którym puszczano same filmy dla grzecznych dzieci. Żeby obejrzeć *Pogardę* czy *Goldfingera*, musiałabym udać

się co najmniej kilkanaście kilometrów na południe, poza strefę wpływów wszechwładnej Ligi Kobiet z X-ville. Trudno powiedzieć, czy byłam bardziej zadowolona, czy rozczarowana, że moje plany śledzenia Randy'ego przez parę godzin w świetle dziennym spełzły na niczym, ale pamiętam, że w drodze do kina przeżyłam atak ostrej paniki. Gdybym straciła Randy'ego na rzecz innej kobiety, chybabym się zabiła. Moje życie straciłoby wszelki sens. Kiedy parkowałam przed kinem i domykałam okna, po raz kolejny olśniło mnie, jak łatwo byłoby mi umrzeć. Jedna podcięta żyła, jeden poślizg późnym wieczorem na oblodzonej autostradzie, jeden skok z mostu w X-ville. W każdej chwili mogłam też po prostu wejść do morza. Na świecie co chwila ktoś umiera, więc czemu mnie miałoby to ominąć?

„Będziesz smażyć się w piekle", powiedziałby mój ojciec, gdyby przyłapał mnie na podcinaniu sobie żył. Tego się właśnie obawiałam. Choć nie wierzyłam w niebo, wierzyłam w piekło. W gruncie rzeczy nie miałam ochoty umierać. Często nie chciało mi się żyć, jednak nie do tego stopnia, żebym zapragnęła targnąć się na swoje życie. Poza tym były jeszcze inne opcje. Mogłam zebrać się wreszcie na odwagę i uciec. Nowy Jork wabił mnie hipnotycznie jak pulsujący światłem neon nad wejściem do kina – zapowiedź ciemności i ucieczki od trosk, co prawda ucieczki płatnej i przelotnej, ale wszystko było lepsze od tkwienia bezczynnie w X-ville.

Kupiłam bilet na *Nie przysyłaj mi kwiatów* i ruszyłam po dywanie w czerwono-czarne romby w stronę obitych dermą drzwi. Pryszczaty wyrostek z latarką wprowadził mnie na salę. Film już się zaczął. W ciepłym mroku nasączonym zapachem papierosów i prażonej kukurydzy oczy zamykały mi się same pomimo piskliwego szczebiotu Doris Day. A to, co widziałam po ich otwarciu, było nudne jak flaki z olejem. Pamiętam film piąte przez dziesiąte. Głównie spałam, ale było tam coś o żonie, której mąż cierpiał na hipochondrię, a może tylko obsesyjny lęk przed śmiercią. Doris, już wtedy dość mocno posunięta w latach, wyglądała jak papierowa laleczka nadgryziona zębem czasu, z dziecięcą fryzurką, w stroju odpowiednim dla pokojówki. Rock Hudson zdecydowanie był nieczuły na jej wdzięki. Później zresztą przeczytałam, że Doris Day nigdy nie miała szczęścia w miłości.

Kiedy pojawiły się napisy końcowe, wyszłam z kina wraz z tłumem mieszkańców X-ville, młodych i starych, okutanych w kolorowe płaszcze, czapki, ciepłe szaliki. Chłodny wieczór mnie otrzeźwił. Nie chciało mi się jeszcze wracać do domu. Mój wzrok padł na świąteczne światełka w witrynie ciastkarni po drugiej stronie ulicy. Weszłam do środka, kupiłam kremówkę bostońską i jak zwykle spałaszowałam ciastko błyskawicznie, po czym

wyszłam, dręczona poczuciem winy. Nie chciałam być jak kobieta za ladą ciastkarni – gruba i nalana, z ciałem niczym wór kartofli. W witrynie sąsiedniego butiku widziałam wyraźnie swoje odbicie. Wyglądałam śmiesznie w wielkim szarym płaszczu, sama, oślepiona reflektorami przejeżdżającego samochodu – jak oszołomiona, spłoszona sarna. Kiedy próbowałam poprawić włosy rozczochrane od spania w kinie, podniosłam głowę i zobaczyłam markizę nad drzwiami z szyldem Sklep Darli, wykaligrafowanym wdzięcznym dziewczęcym pismem. Stanęłam w progu i omiotłam wzrokiem wnętrze.

– Halo-o! – powitał mnie kobiecy głos, kiedy dzwonek zabrzęczał nad drzwiami. Z zaplecza wyłoniła się ekspedientka. – Niedługo będę zamykać, ale proszę się spokojnie rozejrzeć i wołać, gdybym mogła w czymś pomóc.

Sprawiała wrażenie, jakby moja maska pośmiertna w ogóle na nią nie działała. Zawsze irytowało mnie, kiedy mój bezbarwny wyraz twarzy był przyjmowany z entuzjazmem i uprzejmością. Czyżby nie docierało do niej, że jestem koszmarna, obleśna i wstrętna? Jakim prawem szydziła ze mnie swą uprzejmością, zamiast powitać ze słuszną nieufnością i odrazą? Moje ciężkie buciory zostawiały brudny śnieg na wykładzinie, gdy obchodziłam wieszaki, biorąc do ręki suknie z żorżety i jedwabnej krepiny. W głowie mi się nie mieściło, że mogłabym nosić tak cudowne rzeczy, nie mówiąc już o tym, że byłoby mnie na nie kiedykolwiek stać. Do dziś pamiętam tamte żywe kolory i śmiałe desenie, satynę, żorżetę, piękne i świetnie skrojone rzeczy, wielkie kokardy, plisy i inne fiu-bździu. Jak zahipnotyzowana obracałam łakomie w palcach każdą metkę, sumując w myślach ceny obiektów mojego pożądania, a zarazem pogardy. Gdzie była sprawiedliwość? Skoro inne mogły w tym chodzić, czemu nie ja? Gdybym się raz ładnie ubrała, ludzie wreszcie zaczęliby zwracać na mnie uwagę. Może nawet Randy. Wiem, że moda to zbiorowy obłęd, ale czasem trzeba sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa, bo to przywraca młodość. Musiałam to już chyba wtedy przeczuwać, bo nie bacząc na pogardę – lub właśnie z jej powodu – spytałam, czy mogę zmierzyć sukienkę wizytową z witryny. Sukienkę – z golfem, złotą, luźną – zdobiły wokół szyi aplikacje ze złotych i srebrnych koralików. Przywodziła na myśl zdjęcia kobiet z afrykańskiej wioski, o szyjach okrutnie wydłużanych pękiem złotych obroży. Ekspedientka na krótką chwilę osłupiała, kiedy jej pokazałam sukienkę, zaraz jednak z uśmiechem pomknęła do witryny. Przez parę minut borykała się z zamkiem, potem musiała przechylić manekina na bok, żeby ściągnąć sukienkę. Niedbałym krokiem udałam się pod ścianę w głębi sklepu, żeby obejrzeć pończochy. Kątem oka śledząc szamoczącą się z manekinem ekspedientkę, gładko wsunęłam do torebki cztery pary granatowych

pończoch. Zerknąwszy w lusterko na gablotce z biżuterią, zamkniętej na kluczyk z drugiej strony, zdjęłam rękawiczki i starłam czekoladę z kącików ust. Ręce wytarłam w szal przewieszony w charakterze dekoracji przez bambusową laskę. Ekspedientka zaniosła do przymierzalni sukienkę, która wyglądała jak śpiące dziecko z bezwładnie zwieszonymi rękami, starając się jak najciszej brzęczeć koralikami. Szłam za nią, owinąwszy torebkę w płaszcz, który zdjęłam w międzyczasie. Miałam w nosie, co tamta sądzi o mojej dziadowskiej garderobie. Sama miała na sobie grzeczną spódniczkę z koła ozdobioną czymś ni w pięć, ni w dziesięć – pomponikami, a może naszywką z kotkiem.

– Proszę mnie wołać, gdyby pani czegoś potrzebowała – rzuciła, zamykając drzwi za sobą.

Zdjęłam sweter, bluzkę, biustonosz i zaczęłam studiować w lustrze moje drobne piersi, szacując ich kształt i ciężar. Ściągnęłam energicznie łopatki; moje odbicie przeraziło mnie. Podczas miesiączki moje piersi robiły się tkliwe w dotyku i ciążyły jak ołów. Przez chwilę szczypałam je i dźgałam palcami. Zdjęłam majtki, ale wolałam się nie oglądać od pasa w dół. Miałam dość zgrabne stopy, kostki i łydki – od biedy mogły ujść. Ale moje biodra, pośladki i uda należały do obcego, mrocznego i wulgarnego świata, do którego mogły mnie wciągnąć, gdybym przyjrzała się im uważnie. W tamtych czasach przez myśl mi nie przeszło, że moje ciało jest czymś, nad czym mogłabym panować w jakikolwiek sposób. Sądziłam, że to jest domeną mężczyzn.

Sukienka była ciężka jak skóra egzotycznego zwierzęcia. Za luźna na górze, marszczyła się niezgrabnie między ramionami i biustem, a kiedy zasuwałam zamek na plecach, koraliki zderzały się ze sobą, szeleszcząc jak aborygeńskie grzechotki. Przede wszystkim była za długa. Z lustra patrzyła na mnie drobna, niegustownie ubrana figurka; włochate łydki sterczące spod rąbka spódnicy wyglądały jak tylne nogi krowy. Suknia zdecydowanie nie pasowała na mnie, mimo to miałam na nią ochotę. Trudno się dziwić. Metka informowała, że kosztuje dwukrotność mojej tygodniowej pensji. Przemknęło mi przez myśl, żeby odpruć metkę, jakby to miało sprawić, że będzie za darmo. Miałam ochotę oderwać jeden z lśniących koralików i wrzucić do torebki obok pończoch. Ostatecznie zdecydowałam się ostrym końcem kluczyka do samochodu wydłubać dziurkę w podszewce i lekko naderwać obrębek. Włożyłam z powrotem stare ciuchy – teraz wydawały się jeszcze starsze, w dodatku śmierdziały potem – bluzkę pod sweter, zimny i mokry pod pachami. Wyszłam z przymierzalni.

– Jak pani poszło? – spytała ekspedientka, jakby coś mogło mi się udać

albo nie. Dlaczego wszystkich wiecznie interesowały moje wyniki? Jasne, że sukienka wyglądała na mnie koszmarnie. Dziewczyna musiała o tym wiedzieć z góry. Ale czemu to miała być moja wina, a nie sukienki? Dlaczego nie spytała: „Jak poszło sukience?”.

– Nie jest w moim stylu – burknęłam i wyszłam pospiesznie z pękatą torebką pod pachą, krzywiąc się na mrozie, a przecież uśmiechając z triumfem. Ilekroć coś ukradłam, czułam się bosko, jakby udało mi się pokarać cały świat i nagrodzić siebie, choć raz wyrównując rachunki, wymierzając sprawiedliwość.

Pokręciłam się jeszcze trochę samochodem, ponownie przejeżdżając przed domem Randy’ego i zżymając się na widok ciemnych okien. Potem wybrałam się do punktu widokowego nad oceanem przy drodze 1-H, gdzie zwykli parkować młodzi kochankowie. Jadąc, wcisnęłam na głowę znalezioną niedawno czapkę z włóczki. Nie miałam żadnego konkretnego celu. Żeby się gzić, trzeba mieć samochód, więc raczej nie spodziewałam się, że zastanę tam Randy’ego na motorze z jakąś dziewuchą. Mimo to, jadąc stromym, ośnieżonym podjazdem pod górę, próbowałam zajrzeć przez każdą zaparowaną tylną szybę, żeby sprawdzić, czy w środku nie ma Randy’ego. Bywałam w tym miejscu często, żeby podziwiać widoki. Tamtego wieczoru też zaparkowałam i zapatrzyłam się w czarne niebo nad oceanem. Domknęłam okna i przez parę minut siedziałam, zabawiając się myślami o Randym. Mimo dwudziestu czterech lat nigdy jeszcze nie byłam na prawdziwej randce. Później, po wyjeździe z X-ville, kiedy miałam już doświadczenia erotyczne, nieraz przesiadywałam z mężczyznami w zaparkowanych samochodach – zaczynali od słów „jaki tu piękny widok” – i poznałam ten dreszcz rozkoszy, kiedy w ekstazie odmykasz na sekundę oczy i widzisz blask księżyca, i gwiazdy zawieszone na niebie jak lampki na choince – a to wszystko tylko dla ciebie. Poznałam też podniecający wstyd, kiedy dochodząc, słyszałam stukanie w szybę, a to był patrol drogowy. To były czasy. Ale tamtego wieczoru siedziałam sama, patrząc w niebo i zastanawiając się, dokąd rzuci mnie los, jeśli z nadmorskiej skały nie zjadę samochodem w przepaść. Jak zwykle rzucił mnie pod okna Randy’ego – nadal denerwująco ciemne – i z powrotem do domu. Nie płakałam i nie użalałam się nad sobą. Przywykłam do samotności. Czułam, że któregoś dnia wyrwę się z tamtego życia. A na razie zacisnę zęby i jakoś przetrwam to wszystko.

W domu zażyłam, popijając kranówą, garść pastylek przeczyszczających, które trzymałam pod zlewem. Potem usiadłam i napiłam się piwa. Ojciec

powitał mnie, unosząc ze śmiertelną powagą dłoń, jakby przedrzeźniał mój grobowy nastrój.

– Wpadli koledzy i przywieźli whisky. – Machnął ręką w stronę flaszki glenfiddich, która stała przy drzwiach do piwnicy ozdobiona kokardą. – Jak tam film?

Wydawał się spokojny, w lepszym nastroju. Znikła jego wcześniejsza złośliwość. Wyraźnie miał ochotę porozmawiać.

– Beznadziejny – odpowiedziałam szczerze. Podniosłam butelkę z ziemi. – Odkorkować?

– Bezwzględnie tak.

Nie zawsze go nienawidziłam. Jak większość drani, miał też dobre strony. Zwykle nie przeszkadzał mu bałagan w domu. Nie znosił sąsiadów podobnie jak ja i prędzej by umarł, niż przyznał się do porażki. Czasem mnie bawił, kiedy po pijaku brał się do czytania gazet, mrużąc mocno jedno oko i wodząc po tekście drżącym palcem; prychał wzgardliwie, ilekroć udało mu się rozszyfrować jakiś nagłówek. Wygłaszał gniewne tyrady przeciwko Czerwonym. Wielbił Goldwatera i pogardzał Kennedymi, zaklinając mnie, żebym go nie sypnęła. Sumiennie też wypełniał nieliczne obowiązki. Miał niewzruszone poglądy na temat płacenia rachunków na czas. Raz na miesiąc trzeźwiał w tym celu i wtedy siadałam z nim, otwierałam koperty, lizałam znaczki i wypisywałam czeki, na których składał podpis.

– Tego się w ogóle nie da przeczytać, Eileen – strofował mnie. – Musisz to jeszcze raz przepisać. Żaden bank nie przyjmie czeku naskrobanego jak kura pazurem.

Nawet kiedy miał dobry dzień, z trudem udawało mu się utrzymać pióro w ręku.

Tamtego wieczoru nalałam nam obojgu whisky na kilka palców, dosunęłam swoje krzesło do jego krzesła i przytknęłam zziębnięte dłonie do buzującego piekarnika.

– Doris Day to stara krowa – mruknęłam.

– Jak o mnie chodzi, to uważam kino za stratę czasu – wymamrotał. – Coś ciekawego w telewizji?

– Właśnie puszczają świetny prążek.

Telewizor był od dawna zepsuty.

– Muszę kogoś poprosić, żeby się tym zajął. Dioda się przepaliła. Tak, to musi być dioda.

Od lat, weekend w weekend, prowadziliśmy tę samą rozmowę.

– Gadaj zdrów – mruknęłam.

– Napij się. – Pociągnął z kieliszka. – Koledzy przynieśli naprawdę przyzwoitą whisky – pochwalił. – Ten chłopak od Daltonów przypomina łasicę… – Daltonowie mieszkali po drugiej stronie ulicy. Nagle zamarł. – Słyszysz to? – Wyciągnął rękę, strzygąc uchem. – Gangsterzy znów rozrabiają. Jaki dzień mamy dzisiaj?

– Sobotę.

– To dlatego. Chrupią głośno, jak szczury. – Dopił whisky i zaczął grzebać w fałdach koca, który sięgał mu za kolana. Wyciągnął na wpół pustą butelkę dżinu. – Jak tam film? Jak się miewa moja Joanie?

Cały ojciec. Wszystko mieszało mu się w głowie.

– Dobrze, tato.

– Maleńka Joanie – wyszeptał tęsknie. Potarł podbródek i uniósł brwi. – Dzieci dorastają.

Patrzyliśmy w rozgrzany piekarnik niczym w płonący kominek. Ogrzałam zmarznięte dłonie, nalałam sobie jeszcze whisky, próbując sobie wyobrazić, jak wirowałby księżyc i gwiazdy oglądane zza kierownicy dodge'a, gdybym tych parę godzin wcześniej zdecydowała się jednak runąć w dół, na nadmorskie skały. Jak lśniłyby odłamki szkła rozsypane na zamarzniętym śniegu z mrocznym odmętem oceanu w tle.

– Joanie – wymamrotał ojciec z nabożną czcią. Uwielbiał moją siostrę, nie krył się z tęsknotą za nią. – Moja słodka, kochana Joanie – powtarzał w kółko z szacunkiem i podziwem. – Moja dobra dziewczynka.

W moich ostatnich latach w X-ville podczas odwiedzin siostry zwykle nie schodziłam ze strychu. Nie mogłam znieść widoku, jak ojciec daje jej pieniądze, a oczy zachodzą mu łzami dumy i poczucia dobrze spełnionego obowiązku, ani tego, jak się oboje kochali – o ile to była miłość – w sposób dla mnie niezrozumiały. Joanie zawsze była bez zarzutu. Choć była starsza ode mnie, nazywał ją swoim maleństwem, aniołkiem, serduszkiem.

Jeśli o mnie chodzi, cokolwiek bym robiła, zawsze było nie tak, o czym nigdy nie omieszkał mi przypomnieć. Gdy zeszłam na dół z książką lub czasopismem w dłoni, mówił: „Nie szkoda czasu na czytanie? Idź lepiej na dwór. Jesteś blada jak dupa". A kiedy kupiłam kostkę masła, brał ją wzgardliwie w dwa palce, mówiąc: „Naucz się wreszcie, Eileen, że kostka masła to nie jest obiad". Kiedy wchodziłam do domu, nieodmiennie witał mnie słowami: „Co tak późno?" albo: „Co tak wcześnie?", albo: „Musisz skoczyć do miasta, bo nie ma nic do picia". Choć życzyłam mu nagłej śmierci, tak naprawdę nie chciałam, żeby umarł. Chciałam, żeby się zmienił, żeby był dla mnie dobry, przeprosił za pięć lat udręki. Dręczyłam się też, wyobrażając

sobie jego pogrzeb z obowiązkową pompą i ckliwym klimatem. Drżące podbródki, składanie flagi i podobne idiotyzmy.

Nigdy nie byłyśmy sobie szczególnie bliskie z Joanie. Zawsze była weselsza ode mnie i bardziej towarzyska; czułam się przy niej sztywna, brzydka i niezręczna. Któregoś roku w trakcie prywatki z okazji jej urodzin śmiała się ze mnie, że nie umiem tańczyć, po czym kazała mi wstać, złapała mnie za biodra, kucnęła z głową na wysokości moich majtek i zaczęła mnie okręcać na boki, jak szmacianą lalkę. Jej znajomi śmiali się i tańczyli, a ja wróciłam pod ścianę.

– Brzydko wyglądasz, kiedy siedzisz nabzdyczona – powiedział tato, robiąc zdjęcie.

Tego rodzaju sytuacje były na porządku dziennym. Kiedy Joanie skończyła siedemnaście lat, odeszła z domu, zostawiając mnie na pastwę swojego kochaneczka.

Pamiętam pewien Dzień Niepodległości – musiałam mieć dwanaście lat, bo Joanie, cztery lata starsza ode mnie, właśnie zrobiła prawo jazdy. Po powrocie do domu z popołudniowej wyprawy na plażę zastałyśmy rodziców w ogródku na tyłach, goszczących grillem cały wydział policji w X-ville – nie byle jakie święto w rodzinie Dunlopów. Obok mnie siedział przy stole młody funkcjonariusz, którego znałam z widzenia – jego młodsza siostra była kaleką – i mój ojciec w żartach nazwał mnie i Joanie „towarem, za który można skończyć w pudle". Kiedy parę lat później zrozumiałam, co miał na myśli, nie mogłam mu wybaczyć i wciąż mam do niego żal. Pamiętam, że kłuła mnie w uda deska z surowego świerku, położona na dwóch wiadrach wypełnionych kamieniami – improwizowana ława dla gości – a kiedy weszłam do domu, żeby zdjąć kostium kąpielowy, młody policjant poszedł za mną do kuchni i próbował mnie pocałować. Szarpnęłam się do tyłu, ale on chwycił mnie za ręce i wykręcając je z tyłu, odwrócił plecami do siebie.

– Aresztuję cię – zażartował, po czym wsunął rękę pod dół mojego kostiumu i uszczypnął.

Uciekłam na strych, gdzie przesiedziałam resztę wieczoru. Nikt nawet nie zauważył mojej nieobecności. Wiem, że młodym dziewczętom zdarzają się gorsze nieszczęścia, sama później niejedno musiałam znieść, ale tamto doświadczenie było wyjątkowo upokarzające. Psychoanalityk nazwałby to pewnie urazem formatywnym, ja jednak nie znam się na psychologii i nie uznaję tej nauki. Moim zdaniem przedstawicieli tej specjalności należałoby dobrze wziąć pod lupę. Dawniej takich jak oni paliło się na stosie.

Wracając do tamtego sobotniego wieczoru w X-ville: butelka whisky

zaczynała świecić dnem. Ojciec spał, a ja ruszyłam do toalety w piwnicy, czekając, kiedy ostatecznie zwymiotuję; na drugim końcu przewodu pokarmowego byłam bliska eksplozji wskutek działania środków przeczyszczających. Potknęłam się i byłabym się zabiła na schodach, gdybym w porę nie chwyciła się, jak tonący brzytwy, najeżonej drzazgami poręczy. W dzieciństwie zdarzyło mi się raz potknąć i spaść z tych schodów, kiedy matka goniła mnie z drewnianą kopyścią, wrzeszcząc: „Marsz sprzątać pokój!" czy coś w tym rodzaju. Spadając, rozcięłam sobie wargę i poobijałam głowę, a na ubitej piwnicznej ziemi otarłam kolana i dłonie. Pamiętam, jak leżąc u stóp schodów, patrzyłam na żółty prostokąt światła z kuchni, na tle którego postać mojej matki wyglądała jak wycinanka. Bez słowa zamknęła drzwi. Ile godzin spędziłam na dole, obolała i przerażona? W ciemnej, zakurzonej, pełnej pajęczyn piwnicy śmierdziało stęchlizną. Pamiętam szare metalowe narzędzia, bojler, klozet ze staroświecką spłuczką pod sufitem, w którym cuchnęło rozkładającym się moczem. Myszy. Chyba tamtego dnia pokonałam swój dziecięcy lęk przed mrokiem. Nikt mnie nie zaatakował – nie opadły mnie żadne gniewne demony, żadne głodne duchy nie próbowały połknąć mojej duszy. Nawet one pozwoliły mi leżeć samotnie u stóp schodów, a ich obojętność też mnie bolała.

Dochodziła północ i znów stałam na zimnej piwnicznej ziemi, dysząc z wysiłku, z jakim mój organizm próbował się wypróżnić stymulowany przez tabletki. Woda spłynęła z hukiem. Pamiętam, że jakaś część mnie marzyła o tym, by któryś ze złych duchów ojca wychynął z zatęchłych ciemności i porwał mnie do podziemnego świata. Niestety, żaden się nie zjawił. Ciemności zawirowały, po czym nagle wszystko się uspokoiło, więc przefrunęłam przez piwniczne schody i zimną kuchnię na strych, do siebie, gdzie zmęczona, oszołomiona i głęboko nieszczęśliwa zapadłam w sen.

Niedziela

W tamtą niedzielę obudziłam się z kacem na moim łóżku polowym na strychu; ojciec wzywał mnie z dołu, żebym pomogła mu zebrać się do kościoła, czyli zapiąć koszulę i podać do ust butelkę, bo za bardzo trzęsą mu się ręce. Sama też, naturalnie, czułam się nie za dobrze; po wczorajszej whisky świat jawił mi się jak przez mgłę, a po wieczornych tabletkach przeczyszczających czułam się jak wyżęta ścierka.

– Zimno mi – powiedział ojciec.

Poskrobał się po nieogolonej brodzie i spojrzał na mnie, jakby mówił: „Bierz się za brzytwę", więc się wzięłam. Namydliłam go i ogoliłam na miejscu, w kuchni, stojąc przy zlewie, nad stertą brudnych naczyń, salaterką pełną popiołu z cygar i okruchów spleśniałego chleba, zielonych jak zaśniedziały miedziak. To nie brzmi strasznie, ale całość wyglądała dość upiornie. Humory i wybuchy ojca wykańczały mnie. Wiele rzeczy wytrącało go z równowagi, a ja stale się bałam, że niechcący czymś go zdenerwuję, albo byłam na niego tak rozeźlona, że próbowałam go specjalnie czymś wkurzyć. Uprawialiśmy takie gierki jak stare małżeństwo, przy czym on zawsze był górą.

– Śmierdzisz jak dudek – stwierdził tamtego ranka, kiedy prowadziłam brzytwę po jego brodzie.

To chyba oczywiste, że miewałam czasem mordercze myśli. Tamtego ranka miałam ochotę poderżnąć mu gardło. Mimo to ugryzłam się w język: nie chciałam dać mu satysfakcji, że udało mu się wytrącić mnie z równowagi. Wolałam, żeby nie wiedział, jaką ma nade mną władzę, jak bardzo potrafi mi dopiec. Bałam się też zdradzić z tym, jak wielką miałam ochotę rzucić go w diabły. Im dłużej myślałam o tym, żeby uciec, tym bardziej bałam się, że może próbować mnie ścigać. Mógłby postawić na nogi dawnych kumpli z wydziału, ogłosić pościg za dodge'em na terenie całego stanu, wkleić moją twarz w plakat „Poszukiwany" i rozlepiać po całym Wschodnim Wybrzeżu. Prawdę mówiąc, były to puste fantazje. Podejrzewałam, że jeśli zniknę, zapomni o moim istnieniu. Tak też chyba się stało. Rozumowałam, że jeśli odejdę, znajdzie się ktoś na moje miejsce. Jego siostra mogła wynająć opiekunkę. Joanie też mogła raz się wysilić. Czy wszystko wiecznie musiało być na mojej głowie? Da sobie radę beze mnie. Nic mu nie będzie.

Klakson zatrąbił. Pospiesznie ruszyliśmy do drzwi. To ciotka podjechała po

ojca. Nazywała się Ruth, ojciec oprócz niej nie miał żadnego rodzeństwa. Czekał na ganku – niechby jeden z tych sopli odłamał się i przebił mu mózg – kiedy ja zeszłam na podjazd, żeby wyciągnąć parę butów z bagażnika dodge'a.

– Nie te! – wrzasnął. – Te są dziurawe.

Wyjęłam drugą parę i podałam mu.

– Mogą być – zgodził się.

Ciotka ledwie mnie widziała przez oczy zmrużone od oślepiającej bieli. Pomachałam jej, przechodząc obok samochodu. Nie odpowiedziała. Na ganku zawiązałam ojcu sznurówki i już mógł jechać.

Z perspektywy czasu widzę, że byłam poczciwiną, która zapinała ojcu koszulę, wiązała buty i tak dalej. Chyba w głębi serca czułam, że jestem dobra. Mój dylemat sprowadzał się do tego, że miałam ochotę zamordować ojca, ale jednocześnie nie chciałam, żeby umarł. Myślę, że mnie rozumiał. Bardzo możliwe, że wyznałam mu to poprzedniej nocy, choć wolałam trzymać własne myśli dla siebie. Często piliśmy razem do późna, tylko we dwoje. Pamiętam jak przez mgłę, że w sobotni wieczór leżałam twarzą na stole w kuchni, patrząc z dołu na ojca, który w jednej ręce dzierżył flaszkę whisky, a w drugiej dżinu.

– Nie siedź jak chłop w karczmie – powiedział, patrząc na moje rozsunięte nogi i twarz pomazaną szminką.

Tego rodzaju seanse to była u nas normalka. Odnosiliśmy się do siebie szorstko, ale zdarzało nam się rozmawiać. Spieraliśmy się. Wymachiwałam rękami, gadałam za dużo. Podobnie zachowywałam się w późniejszym życiu, kiedy piłam z innymi mężczyznami, zwykle durnymi. Liczyłam na to, że zainteresuję ich sobą. Że mój pijacki słowotok wezmą za kokieterię, coś w rodzaju stwierdzenia: „Jestem tylko niewinnie paplającym dzieckiem. Czyż to nie urocze? Kochaj mnie, a ja będę patrzeć przez palce na twoje braki". W odniesieniu do wspomnianych mężczyzn taktyka ta przynosiła mi krótkie miłosne uniesienia, dopóki łuski nie opadły mi z oczu, odsłaniając prawdę, że sama próba przypodobania się im jest hańbą. Raz po raz bezskutecznie próbowałam tą metodą przy kuchennym stole zdobyć uczucia mojego ojca: zalewałam go potokiem myśli, cytowałam recenzje z okładek książek, które ledwie liznęłam, rozwodziłam się nad sobą, swoim życiem, czasami, w których przyszło nam żyć. Po paru głębszych uderzałam w ton patosu.

– Ludzie zachowują się, jakby świat był w porządku, a to nieprawda. Świat jest do niczego. Ludzie umierają. Dzieci głodują. Bezdomni zamarzają na śmierć dokładnie w tej chwili. Tak nie powinno być. To nie jest fair. Wszyscy

to mają gdzieś, pieprzą tylko od rzeczy. Tato. Tato! – Waliłam w stół, bo czułam, że mnie nie słucha. – Żyjemy w piekle. Przyznasz, że to jest piekło?

Ojciec tylko wywracał oczami, czym doprowadzał mnie do szału.

Kiedy tamtego ranka pojechał do kościoła, usmażyłam jajecznicę z keczupem i zrobiłam sobie na kuchence grzańca – mój ulubiony sposób na kaca. Jak się łatwo domyślić, nieskuteczny. Nie polecam nikomu. Ale jedzenie smakowało mi po wieczornym potężnym wypróżnieniu w piwnicy. Czułam się, jakbym zaczynała życie od nowej karty, na czysto, choć nie sądzę, żebym rano wzięła prysznic. Nie znosiłam się myć, zwłaszcza w zimie, kiedy zdarzały się nagłe przerwy w dopływie ciepłej wody. Najchętniej nurzałam się we własnym brudzie do oporu. Trudno powiedzieć, co za tym stało. Na pewno nie był to bunt najwyższych lotów, co więcej, dręczył mnie nieustanny niepokój, że ludzie czują mój zapach i na tej podstawie uważają mnie za odrażającą osobę. Nawet ojciec zwracał mi uwagę, że śmierdzę. Włożyłam stare niedzielne ubranie mojej matki – szare spodnie, czarny sweter, wełnianą kurtkę z kapturem. Wzułam botki i pojechałam do biblioteki. Ostatnio połknęłam krótką historię Surinamu i opowieść o wróżeniu z gwiazd. W pierwszej książce były świetne zdjęcia mężczyzn rozebranych prawie do rosołu i starych kobiet z piersiami na wierzchu. Może zmyślam, ale wydaje mi się, że widziałam zdjęcie małpy ssącej ludzką pierś. Czułam pociąg do podobnych perwersji. Natomiast moje zainteresowanie gwiazdami miało bardzo prozaiczny powód: tęskniłam za tym, by ktoś wywróżył mi świetlaną przyszłość. W tamtej epoce byłam skłonna sądzić, że życie jest jak książka z biblioteki – nie należy do mnie, jest tylko czymś wypożyczonym, w dodatku nie na zawsze. Byłam niezłą idiotką.

Nie powiem, żebym kiedykolwiek rozumiała w pełni, co znaczy być katoliczką. Kiedy ja i Joanie byłyśmy małe, matka w każdą niedzielę wyprawiała nas z ojcem do kościoła. Joanie nigdy nie protestowała, grzecznie siedziała w czasie liturgii, czytając książki z serii *Nancy Drew – dziewczyna detektyw* i żując gumę. Nie chciała klękać ani wstawać z nami i mamrotała „bla bla bla", zamiast odmawiać *Ojcze nasz*, albo bawiła się kosmykiem włosów. Już w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat była tak ładna i pewna siebie, że ojciec nie potrafił jej ofuknąć. Za to ja w wieku lat pięciu byłam pulchna, blada, mrużyłam małe oczka – dopiero jako trzydziestolatka dowiedziałam się, że powinnam nosić okulary – i mój niepokój oraz brak pewności siebie udzielały się ojcu, który się mnie wstydził.

– Tylko nie narób mi wstydu – zrzędził, kiedy wchodziliśmy po schodach do kościoła.

Ze wszystkich stron padały powitania – wierni podlizywali się tacie, bo warto trzymać sztamę z mundurowymi. Ojciec, jakże by inaczej, do kościoła też wkładał mundur. Może się go po prostu bali. Ja na pewno bałam się ojca. Pamiętam, że na czas nabożeństwa zostawiał rewolwer w schowku w samochodzie, poza tym chyba nigdy się z nim nie rozstawał. „Dzień dobry, panie władzo", witano go. Ojciec ściskał dłonie, a potem wdawał się w pogawędkę, jedną ręką obejmując Joanie, drugą kładąc na mojej głowie. Jeśli, z rzadka, ktoś spytał mnie o coś albo w ogóle zwrócił na mnie uwagę, ojciec patrzył na mnie z ukosa, jakby mówił: „Zachowuj się jak człowiek, uśmiechnij się, odpowiedz grzecznie". Nieodmiennie sprawiałam mu zawód. Zapominałam języka w gębie albo język mi się plątał, krzywiłam się i wyrywałam, kiedy któryś z jego kolegów próbował uszczypnąć mnie w policzek. Nie cierpiałam kościoła.

„A co porabia pani Dunlop?" – nieuchronnie padało pytanie. Ojciec zawsze potrafił znaleźć jakieś wytłumaczenie, a to, że żona źle się czuje, a to, że pojechała z wizytą do matki, ale pozdrawia wszystkich. Mama nigdy, przenigdy nie brała udziału w mszy. Za mej pamięci tylko raz przestąpiła próg kościoła: z okazji pogrzebu dziadka. Kiedy w niedzielne popołudnie wracałyśmy do domu – obie z Joanie spędzałyśmy długie godziny, studiując Biblię pod okiem starszawej zakonnicy, której nauki spływały po mnie jak woda po kaczce – bałagan w domu był niewiele tylko mniejszy, a mama leżała na kanapie w salonie, czytając pisma, z butelką wermutu zatkniętą między uda i snującą się nad głową smugą dymu z papierosa, która w martwym popołudniowym powietrzu wyglądała jak chmura burzowa.

– Obiecaj, że będziesz mnie odwiedzać w piekle, Eileen – mówiła do mnie.

– Idź do swojego pokoju – wtrącał się ojciec.

Matka patrzyła z pobłażaniem na „zabobony" ojca, gdy żegnał się znakiem krzyża przed posiłkiem czy wznosił oczy ku niebu na znak nadziei albo w gniewie.

– Bóg jest dla głupców – mawiała. – Ludzie boją się śmierci i tyle. Coś wam powiem, dziewczęta. – Pamiętam, jak to mówiła, odciągając nas na bok dzień po tym, kiedy nasza ciotka Ruth w trakcie wizyty skrzyczała nas, wyzywając od leniwych, zepsutych bachorów czy coś w tym stylu. Nie lubiły się z naszą matką. – Pan Bóg to taki sam wymysł jak Święty Mikołaj – tłumaczyła. – Nikt nie patrzy na nas, kiedy jesteśmy sami, więc to my musimy decydować, co jest dobre, a co złe. Żadna nagroda nie czeka nigdzie na grzeczne dziewczynki. Jeśli chcesz czegoś, musisz o to zawalczyć. Nie dajcie sobie robić wody z mózgu. – Nie wiem, czy kiedykolwiek zwracała się do nas tak

serdecznie jak w chwili, gdy wygłaszała surowy werdykt: – Do diabła z Bogiem i z waszym tatą.

Pamiętam, jak siedziałam potem godzinami na łóżku, wyobrażając sobie rozpościerającą się przede mną wieczność. Wyobrażałam sobie Boga jako siwowłosego starca w długiej szacie – trochę jak ojca w późniejszych latach – który rządził światem, stawiając ołówkiem czerwone ptaszki w aktach. No i do tego ta moja żałosna powłoka cielesna. Wierzyć mi się nie chciało, żeby Boga mogło obchodzić, co zrobię ze swoim marnym życiem, chyba żebym była kimś niezwykłym, powołanym na świat w wyższym celu, a moje istnienie miało jakiś wyższy sens. Ukłułam się w palec agrafką i wyssałam krew. Postanowiłam udawać, że nie wierzę w Boga, co wcale nie było gorsze od symulowania wiary.

– Módl się, jakbyś naprawdę prosiła Go o to! – wrzeszczał ojciec, gdy przychodziła moja kolej odmawiania modlitwy przed posiłkiem.

Mniej jestem zła na ojca za jego idiotyczne moralizatorstwo niż za to, jak mnie traktował. Nie miał cienia lojalności wobec mnie. Nigdy nie był ze mnie dumny. Nigdy mnie za nic nie chwalił. Po prostu mnie nie lubił. Był wierny tylko dżinowi i obłąkanej wojnie, którą toczył ze swoimi gangsterami, urojonymi wrogami, ciemnymi mocami.

W tamtą niedzielę zajechałam do biblioteki w X-ville, zaparkowałam samochód i brnąc w roztopionej brei, ruszyłam do czerwonych drzwi, które okazały się zamknięte. Była to mała biblioteka w miejskim domu kultury, a jedyna bibliotekarka – do dziś pamiętam jej nazwisko: Buell – otwierała ją, kiedy miała akurat czas. Bywałam tam na tyle często, by rozróżniać książki po grzbietach i kolejności, w jakiej stały na półkach. W niektórych książkach znałam na pamięć nawet plamy na kartkach – kropla sosu pomidorowego, rozgnieciona mrówka, rozmazany smark. Pamiętam, że w lekkim wietrze tamtego ranka była jakaś nuta nadziei. Choć był dopiero grudzień, czuło się powiew wiosny. Do nadużywania alkoholu skłaniały mnie głównie entuzjazm i wigor, jakie wstępowały we mnie nazajutrz, niekiedy połączone z irracjonalną ekscytacją – czymś, co nazywa się obecnie manią. Dobre samopoczucie w południe nieuchronnie ustępowało depresji, ale w słonecznej glorii niedzielnego poranka wrzuciłam książki przez specjalną szparę w drzwiach i postanowiłam wybrać się na przejażdżkę do Bostonu. Gdyby przeszło mi przez myśl, że to będzie ostatnia niedziela, jaką spędzę w X-ville, pewnie przeznaczyłabym ją na pakowanie chyłkiem walizki na strychu lub ponure rozmyślania o domu, którego miałam już nigdy nie ujrzeć. Przed powrotem ojca z kościoła miałabym czas i przestrzeń, żeby zapłakać przy

kuchennym stole nad swoją młodością. Mogłabym skopać ściany obłażące z farby i z tapet, splunąć w każdym pokoju na podłogę. Ale ja nie wiedziałam, że moje dni są policzone, dlatego wyjechałam na autostradę.

Pamiętam, jak koła ślizgały się na topniejącym lodzie. Opuściłam szyby, żeby nie zaczadzić się spalinami. Włożyłam znalezioną kilka dni wcześniej wełnianą czapkę, bo mroźny wiatr urywał mi głowę. Tamtej zimy parokrotnie zdarzyło mi się zasnąć za kierownicą przy zamkniętych oknach. Wieczorem, wracając bodaj od Randy'ego, wpadłam w poślizg i wjechałam w zaspę. Na szczęście stopa ześliznęła mi się z gazu, co zmniejszyło impet zderzenia. Teraz, kiedy zostawiłam za sobą X-ville, przemknęło mi przez myśl, żeby przystanąć przy moim dawnym college'u położonym przy drodze na Boston, ale nie mogłam zebrać się na odwagę. W mieście, w którym był college, mieszkałam niewiele ponad rok, w akademiku z dziewczynami. Chodziłam na zajęcia, jadłam w stołówce i tym podobne. Delektowałam się ekspresem do kawy, własną pościelą i tym, że wyrwałam się z domu, choć niespecjalnie daleko. Potem, w połowie drugiego roku, musiałam wracać do X-ville, żeby się „troszczyć" o matkę, choć, przyznam szczerze, nie byłam prawdziwie zatroskana. Matka mnie przerażała. Zawsze była mi obca, w tamtym okresie bardziej niż kiedykolwiek. Ponieważ chorowała, musiałam troszczyć się o nią jak pielęgniarka, ale w moich zabiegach nie było krztyny ciepła ani prawdziwej troski.

W pewnym sensie było mi na rękę, że muszę odejść z college'u. Nie miałam dobrych stopni i perspektywa, że zawalę rok studiów – opłacanych przez ojca – spędzała mi sen z powiek. Już i tak miałam na bakier z dziekanem, bo zostałam w łóżku, symulując chorobę, zamiast podejść do egzaminów semestralnych. Naturalnie po powrocie do domu oskarżałam rodziców o to, że moje plany legły w gruzach, marzyłam o tym, żeby wrócić na uczelnię i dalej uczyć się pisania na maszynie, historii sztuki, łaciny, Szekspira i czego tam jeszcze się dało.

Mimo czapki na głowie pęd lodowatego powietrza zmusił mnie do zamknięcia okien. Na zamarzniętej autostradzie panował szatański ziąb. Włączyłam radio i przez chwilę jechałam szybko, ale przed miastem utknęłam w korku – zdaje się, że był wypadek – i gdy tak siedziałam, czekając, aż przesuniemy się kawałek do przodu, nagle dopadła mnie senność. Powieki zaczęły mi opadać, głowa ciążyć. Byłam śmiertelnie zmęczona.

Rozbolał mnie mózg. Wyziewy dostawały się do tkanki mózgowej. Do dziś jestem pewna, że doznałam trwałego uszkodzenia. Mimo wszystko

uwielbiałam mój samochód. Przytknęłam na chwileczkę głowę do kierownicy, a kiedy się zbudziłam, mijał mnie sznur samochodów, trąbiąc przeraźliwie. Ruszyłam więc, ale musiałam jechać zakosami, starając się ocknąć do końca, bo nagle wyrósł za mną radiowóz i we wstecznym lusterku zobaczyłam męską twarz i rękę w czarnej rękawicy, która dawała mi znak, że mam zjechać na pobocze. W oczadzeniu uznałam, że twarz w lusterku należy do ojca, który nie wiadomo jakim cudem śledził mnie od wyjazdu z X-ville. Wciąż mam przed oczami jego postać w policyjnym mundurze, roześmianą, z odmrożonymi policzkami i dłońmi, i sowizdrzalskim błyskiem w oku. Przez lata jego służby nigdy nie widziałam go w płaszczu.

– Nie godzi się zakrywać munduru płaszczem – tłumaczył. Dlatego wiecznie był chory, wiecznie ciekło mu z nosa, kulił się, przestępował z nogi na nogę. Możecie to sobie wyobrazić.

Rzecz jasna, ojciec w tamtej chwili siedział na mszy i od lat nie nosił munduru. Ale ja ciągle miałam wrażenie, że gdzieś go widzę. Po dziś dzień, lata całe po wyjeździe z X-ville, wciąż łapię się na tym, że widzę go wymachującego kijem golfowym w parku, wychodzącego z pubu lub z kawiarni, przycupniętego gdzieś na schodach.

Zjechałam na pobocze i opuściłam szybę.

– Przepraszam, panie władzo, ogrzewanie nawala i czasem robi się trochę duszno w środku.

Pamiętam, że policjant był młodym mężczyzną z pociągłą twarzą i workami pod dużymi błękitnymi oczami. Przypominał jakiegoś spikera z telewizji. Zadał mi rutynowe pytania. Starałam się mówić, nie otwierając ust, żeby nie poczuł ode mnie alkoholu.

– O Boże – jęknęłam, przecierając oczy. – Strasznie przepraszam. – Posłałam mu błagalne spojrzenie. – Mój ojciec jest chory, całą noc czuwałam u jego wezgłowia. Przeżywam bardzo trudne chwile. – Próbowałam go jakoś podejść, ale kiedy wymawiałam te słowa, gardło ścisnęło mi się boleśnie, a oczy zwilgotniały, jakbym naprawdę wierzyła w tę łzawą wymówkę albo kochała ojca do szaleństwa i nie mogła znieść myśli, że go stracę, jakbym była tak załamana, że straciłam panowanie nad kierownicą. Przeżywałam tragedię. Walcząc z chrypą, tarłam oczy wnętrzem dłoni.

Policjant wyglądał, jakby mnie dobrze rozumiał.

– Niech pani mnie posłucha. – Puści mnie wolno, jeśli mu obiecam, że zjadę najbliższym zjazdem z autostrady i zatrzymam się gdzieś na kawę. Obiecałam. – Nie chciałbym, żeby przytrafiło się pani coś złego właśnie teraz, kiedy ojciec tak bardzo pani potrzebuje.

To się nazywa złote serce. Przyoblekłam twarz w maskę pośmiertną i skinęłam głową. Nigdy nie lubiłam policjantów, ale w tamtych czasach uważałam, że bezpieczniej ich słuchać. Dlatego odbiłam w pierwszy zjazd z autostrady.

Byłam na ulicy o nazwie, żeby było zabawniej, Moody, czyli Smętna. Nad jezdnią wisiał świąteczny transparent rozpięty między dwoma słupami trakcji elektrycznej. Obok mnie przemknęła kobieta w czerwonej kurtce, ciągnięta, jak na sankach, przez dwa owczarki niemieckie. Nie lubiłam psów; nie dlatego, żebym się ich bała – nie bałam się – ale dlatego, że ich śmierć boli bardziej od ludzkiej. Moja suka, którą miałam od dziecka, Mona, terier szkocki, najsłabsza z miotu, zdechła na tydzień przed śmiercią mamy. Przyznam się, że serce pękało mi tak samo na myśl o jej śmierci jak o śmierci matki. Domyślam się, że nie jestem jedyną osobą na świecie, która przeżyła coś podobnego, ale bardzo długo wstydziłam się za siebie. Możliwe, że gdybym wtedy znała jakiegoś doktora Frye'a, któremu mogłabym się przyznać do wszystkiego, odkryłabym coś, co przyniosłoby mi ulgę, pozwoliło inaczej spojrzeć na całą sytuację, ale nie miałam takiej osoby. Zresztą, nie ufam ludziom, którzy gmerają w głowach bliźnich, wmawiając im, że widzą tam Bóg wie co. U mnie sprawa była prosta: miałam niedobrą matkę i kochaną suczkę. Żeby to pojąć, nie trzeba doktoratu z psychologii.

Witrynę kawiarni na rogu Moody zdobiły naklejki z elfami i twarzą Świętego Mikołaja. Na drzwiach wisiał wieniec z ostrokrzewu, a dookoła migały lampki choinkowe. Zamówiłam filiżankę gorącej herbaty i usiadłam, wciąż jeszcze zła i zmartwiona samochodem. Dotarło do mnie, że nie jest to odpowiedni wehikuł do mojej wielkiej ucieczki. Zważywszy na temperaturę i to, że przysnęłam raptem po paru minutach jazdy z zasuniętymi szybami, było jasne, że nie ujadę autem dalej niż na Moody, bo jeśli nie zamarznę, to zemdleję. Moja niedzielna przejażdżka okazała się więc czymś w rodzaju jazdy próbnej czy może próby generalnej. Samochód ewidentnie się nie spisał. Byłam, oględnie mówiąc, podłamana. Wyglądało na to, że będę musiała czekać do wiosny, a nie wiadomo, na jak długo wystarczy mi odwagi. Kelnerka stała nade mną, poprawiając wstążki fartucha i żując gumę. Miała na sobie mundurek w odcieniu złamanej żółci, z białym kołnierzykiem. Na wierzch włożyła różowy sweterek obszyty przy szyi czarnymi lśniącymi paciorkami. Do dziś pamiętam, że wyglądały jak przemarsz mrówek, których szyk rozsypał się wokół jej szyi. Ja miałam na sobie czarny kardigan, skudłacony i powyciągany. Na spodniach na wysokości brzucha widniała plama z kawy. Włożyłam z powrotem kurtkę. Nagle poczułam przypływ

gniewu i zażenowania. Dlaczego miałabym się przejmować tym, że ktoś zobaczy mnie w szmatławym swetrze? Kto niby miał krytykować mój strój w pustawej kawiarni? Miałam to w nosie. Niech wszyscy widzą, że jestem fleją. Niech grad kamieni posypie się na moje tłuste włosy. I tak jestem od nich sprytniejsza. Wyjadę stąd i niech mnie wszyscy pocałują. Tak oto się nakręcałam, a żeby dodać sobie kurażu, zamówiłam jeszcze lody czekoladowe. Patrzyłam, jak kelnerka dzielnie boryka się z moim zamówieniem, ręką uzbrojoną w szczypce nurkując w ladzie chłodniczej aż po spiczasty łokieć, nad którym zawinęła rękaw różowego sweterka. Lody nadpłynęły na owalnym metalowym półmisku, przybrane siekanymi orzechami i wiśniami w likierze. Zaczęłam ładować je do ust pełnymi łyżkami, jak to wygłodniała sierota, nie bacząc na to, że czekolada spływa mi po brodzie. Miałam to gdzieś. Kiedy popiłam gorącą herbatą, myślałam, że pęknie mi szkliwo i eksploduje mózg. Nie pamiętam, ile whisky ojciec mi wydzielił, zanim opróżnił butelkę do dna, ale musiał być w szczodrym nastroju. Mimo mojej wagi muszej niewykluczone, że zdrowo golnęłam. Rzadko w weekendy byłam tak skacowana jak tamtej niedzieli.

Lody topniały w żołądku jak wyrzut sumienia. Zapłaciłam i wyszłam na zewnątrz, rozpamiętując swoje nędzne życie. Czekając na przejściu na zielone światło, szurałam stopą po tafli lodu, a potem wdepnęłam w nią krawędzią podeszwy. Lód popękał i nabrał mlecznej barwy, ale nie poddał się do końca. Nie do wiary, jakie rzeczy człowiek pamięta po latach. Zwykle w niedziele zaszywałam się w domu albo jeździłam pod dom Randy'ego, korzystając z tego, że ojciec jedna się z Bogiem czy co tam się robi w kościele. Ciotka Ruth odwoziła go po mszy, ale rzadko zachodziła do nas, a jeśli już, to siedziała w rękawiczkach, kurczowo przyciskając torebkę i sznurując usta, aż jej wargi bielały.

„Zrób ojcu kawy" – to było wszystko, co od niej kiedykolwiek usłyszałam. Kiedy ciotka była w pobliżu, ojciec kompletnie mnie ignorował. „Wynajmij kogoś do sprzątania – powiedziała mu kiedyś. – Twoje córki widocznie mają ważniejsze sprawy na głowie".

Stałam w drzwiach kuchni podczas tej konwersacji; ojciec mościł się w swoim fotelu, ciotka Ruth siedziała przy stole, uważając, żeby się o nic nie otrzeć.

– Eileen to wykapana matka – burknął ojciec. – Dwie lewe ręce.

– Nie wypada tak mówić o zmarłych, Charlie.

– Nie bądź taka świętoszkowata. Ta kobieta umiała tylko trwonić moje pieniądze i chrapać.

To prawda, że moja matka lubiła zakupy. Chrapała też tak głośno, że czasem brzmiało to, jakby lokomotywa przejeżdżała przez dom. W dzieciństwie często śniłam, że gnam pociągiem wypuszczającym kłęby dymu w nocne niebo usiane gwiazdami, mknę przez Amerykę, daleko od X-ville, podskakując na torach tak mocno, że zaczynałam się budzić.

– Czy ona w ogóle sprząta? Coś ci gotuje? – dopytywała się ciotka.

– Jem tyle co wróbelek. Wdała się we mnie – bronił mnie ojciec.

Kiedy w końcu zauważyli, że stoję w progu, ciotka tylko cmoknęła z naganą i zaczęła się bawić rączką swojej torebki.

– Wynieś śmieci, Eileen – polecił ojciec, jakby chciał udobruchać siostrę.

Wyniosłam śmieci. Kiedy było mi przykro, zwykłam połykać łzy, starając się zachować kamienną twarz.

Byłam zadowolona, że zdecydowałam się na niedzielną przejażdżkę. Co prawda nie udało mi się dotrzeć do Bostonu, ale przynajmniej uniknęłam kolejnej przykrej konfrontacji z ciotką. Miała siwiejące, przyklepane włosy i piegowate czoło; wyglądała jak nieświeże jajo na twardo. Szczerze jej nie lubiłam.

Nie mam pojęcia, jak się nazywało miasto, w którym wylądowałam, jednak Moody, wbrew nazwie, była ładną ulicą i panował na niej nastrój zbliżających się świąt. Przeszłam kawałek, oglądając pięknie udekorowane witryny. Sklepy były, rzecz jasna, nieczynne. W drodze do samochodu, w wąskim zaułku, zauważyłam parę nastolatków całujących się lub, jak się wtedy mówiło, uprawiających petting. Pamiętam wyraźnie tę scenę. Mój wzrok padł na nich w chwili, gdy dziewczyna wsuwała język do ust chłopaka. Patrzyłam jak urzeczona. Zachwycił mnie cielisty róż jej wilgotnego języka, który lśnił w chłodnym zimowym świetle, i kontrast jego zmysłowej barwy z orlim nosem i ascetycznymi rysami dziewczyny. Później, w samochodzie, nie mogłam się otrząsnąć z głębokiego erotyzmu tej sceny. Naturalnie wiedziałam, co to jest pocałunek francuski, i widywałam młodych, którzy zsunięci nisko na fotelach samochodów oddawali się pieszczotom na punkcie widokowym przy H-1, ale tych dwoje widziałam wyraźnie, jak przez lupę. Uderzyła mnie po prostu asertywność dziewczyny, jej odwaga i pewność siebie, które pozwalały jej przejąć inicjatywę; oczywiście zaraz zaczęłam się oskarżać o to, że nie stać by mnie było na podobną śmiałość. Chłopak poddawał się biernie, z zamkniętymi oczami i szeroko rozchylonymi ustami. Obejmował dziewczynę. Miał kraciastą kurtkę zapiętą pod szyję. Nie mogłam się otrząsnąć z widoku, który do bólu głowy i zmęczenia dołożył stan silnego niepokoju. Podniecenie erotyczne zwykle mnie rozstrajało. W domu mogłam

wziąć gorącą kąpiel, pucując się energicznie, ale byłam daleko od domu, wobec czego otwarłam drzwi samochodu, nabrałam pełną garść zmarzniętego śniegu i wepchnęłam z przodu do spodni i pod majtki. Śnieg był lodowaty do bólu, ale ruszyłam, nie czekając, aż stopnieje. Opuściłam szyby. Do dziś nie wiem, jakim cudem wywinęłam się od zapalenia płuc.

Jak zwykle, kiedy byłam bardzo rozbita psychicznie, pojechałam przed dom Randy'ego. W drodze myślałam o jego umięśnionych ramionach, górnej wardze, chłopięcej, a przecież zmysłowej, o tym, jak jego uśmiech wyglądał z boku, kiedy skrywał twarz za komiksem albo którymś z czasopism humorystycznych. Czy tęskniłby za mną, gdybym wyjechała? A nuż? „Zniknęła, zanim zebrałem się na odwagę, żeby zaprosić ją na randkę. Zawsze będę żałować straconej szansy". Znajdowałam ukojenie w fantazjach o nas jako parze – nareszcie, po wszystkich latach, podczas których próbowałam zostać kobietą w jego typie – cokolwiek to mogło znaczyć – tuliliśmy się, łkając z żalu nad naszą miłością i latami straconymi przez rozłąkę. „Byłem ślepy", mówiłby, całując moje dłonie, a łzy płynęłyby po jego pięknych policzkach. Uwielbiałam płaczących mężczyzn – ta słabość rzuciła mnie później w objęcia korowodu mazgajów i smutasów. Podejrzewałam, że Randy rzadko płacze, ale jeśli już dojdzie do tego, jest to widok zachwycający. Nie uwierzycie, ale tamtego popołudnia naprawdę przejechałam przed jego domem w fotelu mokrym od topniejącego śniegu. Trudno powiedzieć, czego konkretnie szukałam, choć nigdy nie traciłam nadziei, że któregoś dnia się pojawi, by wyznać mi miłość, wybawi mnie, ucieknie ze mną, uwolni mnie od wszystkich kłopotów. Kiedy tak budowałam zamki na lodzie pod jego oknami, nagle chwyciły mnie mdłości. Otwarłam drzwi samochodu i zwymiotowałam. Szary strumień rozpuszczonych lodów chlusnął na zaspę, by zaraz wsiąknąć bez śladu.

Natychmiast po powrocie do domu pobiegłam na górę do pokoju mamy i wyskoczyłam z zimnych, mokrych spodni i majtek. Ojciec, który siedział na sedesie po drugiej stronie ciemnego korytarza, otwarł szeroko drzwi klozetu, żeby spytać: „Gdzie byłaś?".

Włożyłam parę starych wełnianych rajstop, po czym wygrzebałam z szafy schowaną butelkę dżinu i podałam ojcu, który wziął ją ode mnie, drugą ręką zapalając światło. Gazeta zsunęła mu się z kolan, odsłaniając ciemną kępkę włosów łonowych. Przelękłam się. Widziałam też rewolwer na brzegu umywalki. Zdarzało mi się o nim myśleć. Kiedy byłam bardzo zdołowana, wyobrażałam sobie, że wysuwam go spod śpiącego ojca i naciskam spust. Palnęłabym sobie po prostu w głowę, żeby zwalić się wprost na ojca,

obryzgując krwią i mózgiem jego zwiotczałą pierś. Jednak nawet w najgorszych chwilach myśl, że ktoś mógłby zobaczyć moje nagie zwłoki, skutecznie trzymała mnie przy życiu, tak strasznie wstydziłam się własnego ciała. Obawiałam się też, że moja śmierć nie wstrząsnęłaby nikim, a wiadomość, że odstrzeliłam sobie głowę, wzbudziłaby reakcję w rodzaju: „Już dobrze, chodźmy wreszcie coś zjeść".

Tamtego wieczoru leżałam na łóżku polowym, dźgając się palcem w rękawiczce w brzuch i ugniatając boki. Na strychu panował ziąb, a rachityczne łóżko z trudem wytrzymywało mój ciężar, a ściśle mówiąc, czterdzieści pięć kilogramów w ubraniu. Kiedy narzucałam na siebie więcej koców, przeguby łóżka puszczały i przy każdym oddechu stelaż bujał się jak łódź na pełnym morzu. Można było zapomnieć o śnie. Oczywiście mogłabym znaleźć klucz francuski i dokręcić śruby czy co tam trzeba, ale jak w wypadku rury wydechowej, nie miałam głowy do psujących się sprzętów. Wolałam się zadręczać i marzyć o lepszych czasach. Strych był miejscem, w którym nocowałby mój wujek, gdyby do nas przyjechał. Mój wyimaginowany wujek. Dobry wujek, może wojskowy, ze smykałką do majsterkowania, drobnych napraw, który nigdy nie skarżyłby się, że mu zimno i go suszy, który bez mrugnięcia okiem wcinałby najpośledniejsze ochłapy befsztyka czy kury, z tłuszczem i chrząstkami. Wyobrażałam sobie, że miałby długie, obwisłe płatki uszu i wąskie ramiona, ale za to byłby muskularny i obdarzony wielkimi oczami. Mogłoby się okazać, że kochany wujek w rzeczywistości jest moim ojcem. Czasem przetrzepywałam szafę matki w poszukiwaniu śladów cudzołóstwa. Plamy po jedzeniu lub kawie na przodzie bluzki czy szminka rozsmarowana na pożółkłym kołnierzyku nie były głosem zza grobu, mimo to chyba liczyłam na jakąś miłą niespodziankę: jakiś znak, pozdrowienie, dowód na to, że mnie kochała, cokolwiek, sama nie wiem co. Parę lat po jej śmierci chodziłam ciągle w jej ubraniach. Pozwalałam ojcu wierzyć, że nie potrafię rozstać się z nieboszczką, że noszę jej stare sukienki w dowód przywiązania, żeby zatrzymać jej ducha czy coś w tym stylu. Sądzę jednak, że używałam ubrań zmarłej jako kamuflażu, licząc na to, że w takim przebraniu będę niewidzialna.

Pamiętam, jak siedziałam na łóżku polowym przy świetle gołej żarówki i rozglądałam się po pobojowisku, jakim był strych. W powyrywanych szufladach komody piętrzyły się sterty nadgryzionej przez mole pościeli, którą moja mama odziedziczyła po swojej mamie. Pudła pełne starych książek i papierzysk, staroświecki patefon i skrzynie płyt, których nigdy nie próbowałam puszczać. Z powodu stadzistości sufitu musiałam na czworakach

czołgać się do okna wychodzącego na tyły domu, skąd widziałam tylko biały śnieg i czarne, bezlistne gałęzie drzew w liliowej poświacie dogasającego dnia. Gdzieś tam w dole spoczywała Mona, moja zdechła suczka. Opadły mnie wspomnienia matki, jak leżała złożona chorobą, z dłońmi na wymiętej, krzywo udzierganej kapie, jak wytężając gardło, żali się ojcu, że jeśli Bóg istnieje, jest sukinsynem. „Dawno powinno już być po mnie", chrypiała. Posłusznie gotowałam rosół co drugi dzień i karmiłam ją, łyżka po łyżce, klarownym bulionem z dużej zielonej salaterki, która bezpiecznie pozwalała złapać to, co ulewało się z ust, gdy matka młóciła na oślep słabymi rękami, próbując odtrącić moją dłoń.

Pewnego dnia, kiedy poszłam rozwiesić pranie, zastałam moją suczkę leżącą brzuchem do góry w nieskoszonej trawie, zeschłej, wysokiej i spalonej bezlitosnym słońcem. „Być może Bóg zabrał nie tę duszę, co trzeba", pomyślałam w niecodziennym przypływie ckliwej refleksji, a potem rozpłakałam się bezgłośnie, oparta plecami o ścianę domu. Zostawiłam mokre pranie w koszu, naciągnęłam tylko na Monę ociekającą wodą poszewkę od poduszki. Dopiero następnego dnia zebrałam się na odwagę, żeby wrócić. W międzyczasie pranie wyschło i się posklejało, a kiedy zajrzałam pod poszewkę, na widok psich zwłok chwyciły mnie torsje. Zrzuciłam całą zawartość żołądka, czyli kurę i wermut, na spękaną ziemię. Kilka godzin zajęło mi wykopanie saperką dostatecznej wielkości dołu, do którego zepchnęłam Monę nogą – nie mogłam się zmusić, żeby jej dotknąć ręką – i zasypanie jej zwłok spaloną ziemią. Po tygodniu, kiedy ojciec warknął: „Cholerny pies", potknąwszy się o miskę ze spleśniałą, cuchnącą karmą, bez słowa wyrzuciłam jedno z drugim. Dopiero kiedy parę dni później umarła mama, pozwoliłam sobie wreszcie na łzy. Owe smutne wspomnienia trochę nie pasują do tej opowieści, niemniej od lat przywołuję je, ilekroć czuję potrzebę, żeby sobie popłakać, albo uważam, że wypada.

Kiedy tamtego niedzielnego wieczoru patrzyłam na skute lodem podwórko za domem, znów zapłakałam nad smutnym losem mojej suczki, która będzie musiała tkwić do końca świata w X-ville. Zastanawiałam się, czyby nie wykopać jej kości i nie zabrać ich ze sobą. Myślałam poważnie o tym, żeby włożyć narciarskie spodnie, gruby wełniany sweter, botki, zimowe rękawice, przyciasną czapkę i wyjść z łopatą na dwór. Nie oznaczyłam grobu w żaden sposób, ale czułam, że Mona jakoś mnie przywoła, że intuicja mi podpowie, gdzie kopać. Oczywiście tylko tak fantazjowałam. Musiałabym mieć kilof, taki, jakiego używają grabarze. Strach pomyśleć, ile wysiłku musi kosztować pochowanie ludzkich zwłok bez koparki. To tylko w kinie wydaje się proste.

Zastanawiałam się, jak w dawnych czasach grzebano ludzi w zimie. Czy zamrażano zwłoki i czekano z pogrzebem do wiosny? W tej sytuacji trzeba je było gdzieś przechować, może w piwnicy, gdzie spoczywały w ciszy i chłodzie, czekając, aż przyjdzie odwilż.

Poniedziałek

Zapamiętałam poniedziałkowy prysznic, bo ciepła woda skończyła się nagle, kiedy mizdrzyłam się przed lustrem, oglądając moją nagą postać w kłębach pary. Teraz jestem już starszą panią. Czas mnie nie oszczędził, jak zresztą nie oszczędza nikogo: mam zmarszczki, obwisłe policzki i worki pod oczami, a ciało – wiotkie, pomarszczone i bezkształtne – właściwie jest już bezpłciowe, więc tylko z przymrużeniem oka mogę się wcielić w tamto filigranowe ciało dwudziestoczteroletniej dziewicy. Miałam wąskie, spadziste ramiona. Dekolt kościsty, który dudnił jak bęben, kiedy waliłam się w pierś jak małpa. Piersi – dwie połówki cytryny, twarde, z sutkami ostrymi jak kolce. Właściwie składałam się z samych kości i żeber i byłam tak chuda, że moje biodra sterczały dziwacznie: stale się o coś obijałam i byłam cała w sińcach. W tamten poniedziałek nadal gniotło mnie w żołądku po niedzielnej jajecznicy i lodach. Z powodu skłonności do zatwardzeń byłam wiecznie zaabsorbowana wypróżnieniami. Pochłaniała mnie zawiła logistyka jedzenia i wydalania, balansowanie między dolegliwościami obstrukcji a katharsis wspomaganych farmaceutycznie sążnistych defekacji. W ogóle o siebie nie dbałam. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam pić wodę i jeść zdrową żywność, jednak szczerze powiedziawszy, nie lubiłam ani pić wody, ani jeść zdrowej żywności. Brzydziłam się owocami i jarzynami – smakowały jak mydło albo świeca. Miałam zaburzenia psychiczne w związku z pokwitaniem i nawet w wieku dwudziestu czterech lat wstydziłam się własnej kobiecości. Zdarzały się dni, kiedy nie jadłam prawie nic – skubnęłam parę orzechów albo rodzynków, ewentualnie skórkę chleba. Czasem też dla rozrywki zdarzało mi się żuć i wypluwać cukierki i ciastka, tak jak w zeszłym tygodniu czekoladki – były smaczne, ale mogłam od nich nabrać ciała.

Już wtedy ludzie uważali mnie za starą pannę. Całowałam się tylko raz w życiu. Kiedy miałam szesnaście lat, Peter Woodman z klasy maturalnej zaprosił mnie na studniówkę. Nie będę się nad nim rozwodzić, żeby ktoś mnie nie posądził o tęskne wspominki. Jeśli czegoś nie znoszę, to tęsknoty za przeszłością. Zresztą jeśli w tej historii można w ogóle mówić o głównym bohaterze romantycznym, to jest nim Randy. Peter Woodman nie dorastał mu do pięt. Miałam śliczną sukienkę z granatowej tafty. Uwielbiam granat. Ubrania w tym kolorze kojarzą mi się z mundurem, czymś, co nobilituje,

a jednocześnie pełni funkcję kamuflażu. Większość czasu spędziliśmy, siedząc przy stoliku w przyciemnionej sali gimnastycznej, a Peter rozmawiał z kolegami. Jego ojciec pracował w komisariacie i jestem pewna, że Peter zaprosił mnie, bo jego stary chciał się odwdzięczyć za coś mojemu. Nie tańczyliśmy, o co zresztą nie miałam pretensji. Wieczór dobiegł końca w półciężarówce ojca Petera, kiedy ugryzłam mojego towarzysza w szyję, żeby mi nie wsunął ręki głębiej pod sukienkę. W gruncie rzeczy nie dotarł dalej niż do kolana, bo byłam bardzo czujna. Pocałunek zresztą też był tylko wstępny – nasze usta zetknęły się na chwilę, słodką chwilę, gdy o tym myślę teraz. Nie pamiętam, jak dotarłam do domu po tym, jak wypadłam z samochodu, patrząc za Peterem, który odjeżdżał, przeklinając mnie i masując się po szyi. Czy wyssałam z niego, jak wampir, kilka kropel krwi? Nie pamiętam, zresztą jakie to ma znaczenie? Do tej chwili zdążył już pewnie opuścić ten padół. Większość tych, których znałam, już to zrobiła.

W tamten poniedziałkowy poranek włożyłam parę nowych granatowych pończoch i ubrałam się w rzeczy po mamie. Zamknęłam buty ojca z powrotem w bagażniku dodge'a i wyruszyłam do pracy, do Moorehead. Pamiętam, że obmyślałam nową strategię ucieczki. Wkrótce, kiedy poczuję się gotowa, zbiorę na kupę wszystkie ubrania, które zamierzałam wziąć ze sobą: szary płaszcz, kilka par wełnianych skarpet, botki, jednopalczaste rękawice, rękawiczki, czapkę, szalik, spodnie, spódnicę, sukienkę i tak dalej, i pojadę trzy godziny na północny wschód, przecinając granice dwóch stanów, do Vermont. Sądziłam, że jestem w stanie jechać przy zasuniętych szybach przez godzinę i nie zemdleć; resztę drogi zamierzałam przejechać grubo okutana. W końcu z X-ville do Nowego Jorku nie było aż tak daleko – czterysta czternaście kilometrów. Najpierw jednak musiałam zmylić ewentualną pogoń, zostawiając dodge'a w Rutland, mieście, o którym czytałam w książce na temat kolei. W Rutland znajdę jakiś ustronny parking albo ślepą uliczkę, a potem pójdę na stację, wsiądę w pociąg i ruszę ku nowemu życiu w wielkiej metropolii. Byłam pewna, że uda mi się wszystkich przechytrzyć. Zamierzałam zabrać też pustą walizkę, do której w pociągu wrzucę stare ubranie. Chciałam wziąć ze sobą tylko ubrania i pieniądze chomikowane na strychu, i nic więcej.

Przyszło mi jednak do głowy, że mogę potrzebować jakiejś lektury na podróż ku świetlanej przyszłości. Mogłam pożyczyć parę lepszych książek z biblioteki w X-ville i ulotnić się z nimi bezpowrotnie. Pomysł uznałam za przedni. Po pierwsze, mogłam zachować te książki na pamiątkę, coś jak trofea seryjnego mordercy, który obcina ofierze lok albo zwija z miejsca

zbrodni jakiś drobiazg – długopis, grzebień, różaniec. Po drugie, mogłam tym gestem dać do myślenia ojcu i pozostałym, którzy zachodziliby w głowę, czy pożyczyłam książki z zamiarem oddania i jakie okoliczności zmusiły mnie do wyjazdu. W wyobraźni widziałam już detektywów przeczesujących nasz dom.

– Nie znaleźliśmy nic podejrzanego, panie Dunlop. Może pojechała do znajomych.

– Wykluczone – zaprotestuje ojciec. – Eileen nie ma żadnych znajomych. Coś musiało się stać. Nigdy nie zostawiała mnie samego bez uprzedzenia.

Chodziło mi o to, żeby myśleli, że leżę martwa gdzieś w rowie, zostałam porwana, zasypana przez lawinę, pożarta przez niedźwiedzia czy coś w tym guście. Ważne, żeby nikt się nie zorientował, że planowałam ucieczkę. Gdyby się wydało, ojciec nie omieszkałby mnie upokorzyć. Wyobrażałam sobie, jak kopcąc niczym smok, zżyma się na moją głupotę wraz z ciotką Ruth. Mówią o mnie: „gówniara, której przewróciło się w głowie, idiotka, niewdzięczna smarkula". Całkiem możliwe, że tego rodzaju sceny miały miejsce, kiedy wyjechałam z X-ville naprawdę. Nigdy się tego nie dowiem. Chciałam, żeby ojciec rozpaczał, wypłakiwał oczy za biedną zaginioną córką, padał na kolana przy moim łóżku polowym i zanurzał twarz w moich kocach, żeby wspominać najdroższy smród mojego potu. Chciałam, żeby szperał w moich rzeczach, jak grzebie się w zbielałych kościach, martwych szczątkach życia, którego się nie doceniało, gdy jeszcze był na to czas. Żałowałam, że nie mam pozytywki, od której dźwięków ojcu pękałoby serce. Chciałam, żeby konał z tęsknoty za mną. „Kochałem ją i nigdy nie wybaczę sobie tego, jak źle ją traktowałem". Tak właśnie wyglądały myśli, które snuły mi się po głowie w drodze do pracy w tamten poniedziałkowy ranek.

Nie przeczuwałam, że wyjadę w pierwszy dzień świąt o poranku i chociaż moje wspomnienia tamtych czasów zatarły się i zblakły, postaram się, na ile pamięć pozwoli, zrelacjonować wydarzenia ostatnich dni w X-ville i przedstawić sytuację z całym bogactwem niuansów. Najlepiej zapamiętałam drugorzędne szczegóły, jednak nie będę ich pomijać, jeśli uznam, że pomagają w oddaniu klimatu tamtych chwil. I tak na przykład, kiedy rano dotarłam do Moorehead, przyszły właśnie gwiazdkowe swetry dla chłopców, robione na drutach przez panie z grupy dobroczynnej działającej przy miejscowym kościele. Swetrów pewnie było za dużo, dlatego jeden z nich wylądował na moim biurku, owinięty w papier pakunkowy. Pani Stephens powiedziała, że to prezent od dyrektora. Rozdarłam papier i w środku znalazłam zrobiony równiutko na drutach granatowy sweter z pomarańczowym krzyżem na piersi i przypiętym agrafką do kołnierza

kawałkiem pergaminu z nakreśloną starczym pismem literą „S” – rozmiar mały. Ten kolor… Czyżby jednak dyrektor mnie lubił? Nie bardzo wypadało mu przecież dawać mi czekoladki. Nie chciał zwracać uwagi pań z sekretariatu ani wzbudzać niechęci posądzeniami o faworyzowanie mnie lub pokątny romans. Wyobrażałam sobie, jak w gabinecie dyrektora leżę pod nim niczym szmaciana lala. Czy o to mu chodziło? W mojej głowie mnożyły się nieprzyzwoite scenariusze; pamiętam je, podobnie jak do dziś mam w uszach głuchy łomot szuflady, w której zatrzasnęłam sweter. Nie mogę sobie jednak przypomnieć rozkładu pomieszczeń oddziału rekreacyjnego. Nie pamiętam też, czy jasełka odbywały się w sali gimnastycznej, w kaplicy, czy w małej auli, której mogło w ogóle nie być. Albo była, ale w mojej dawnej szkole.

Zapamiętałam za to doskonale inną rzecz: około drugiej w naszym sekretariacie pojawił się dyrektor w towarzystwie wysokiej rudej kobiety i wątłego łysego mężczyzny w zbyt obszernej marynarce barwy kawy. W pierwszej chwili wzięłam kobietę za artystkę przysłaną z ramienia jakiejś instytucji – śpiewaczkę albo aktorkę, która ma słabość do młodocianych przestępców. Moje przypuszczenia nie były całkiem bezpodstawne: w końcu gwiazdy występowały dla żołnierzy, czemu więc miałyby odmawiać tego młodym więźniom? Nastolatkom chyba się coś należało. Większość z nich, zwłaszcza ci, którzy odsiadywali krótsze wyroki, skończyła pewnie w Wietnamie. Tak czy owak, kobieta była piękna i wydawała się dziwnie znajoma, co jest wspólną cechą wszystkich pięknych ludzi. Natychmiast uznałam ją za idiotkę, która ma kiełbie we łbie, istotę płytką i powierzchowną, całkowicie pozbawioną życia wewnętrznego. Musiała być, jak Doris Day, mieszkanką czarownego świata puchowych piernatów i złocistych promieni słońca, moja niechęć do niej była więc w pełni usprawiedliwiona. Nigdy jeszcze nie widziałam na własne oczy równie pięknej pani.

Mężczyzna nie interesował mnie ani trochę. Pociągał nosem, tarł czoło jedną ręką, przez drugą miał przewieszone dwa płaszcze – pewnie własny i rudej. Nie mogłam oderwać wzroku od nowo przybyłej. Zachowałam w pamięci niejasne wspomnienie jej kreacji w dziwnych odcieniach różu, może nie tyle niemodnych, ile niespotykanych, przynajmniej w X-ville. Miała na sobie długą zwiewną spódnicę, sweter bliźniak układający się ładnie na jej szczupłej figurze i kapelusz z wywiniętym brzegiem, podobny do toczka jeździeckiego, tyle że szary i miękki, chyba z filcu, przybrany tęczowym piórkiem. A może ten kapelusz jest tylko wytworem mojej fantazji? Na sto

procent natomiast miała długi złoty łańcuszek z wisiorkiem. Jej kozaczki wyglądały jak męskie oficerki, tylko mniejsze i na damskim obcasie. Miała bardzo długie nogi, a smukłe ręce krzyżowała na szczupłej piersi. Z zaskoczeniem odnotowałam w jej dłoni papierosa. Naturalnie w tamtych czasach wiele kobiet paliło, więcej niż teraz, jednak ona stała w sekretariacie z papierosem i z taką miną, jakby była na koktajl party, i to we własnym domu. To, jak paliła, też mną wstrząsnęło. Jest w tej czynności coś łapczywego i ordynarnego, ale kiedy ona się zaciągała, jej twarz drżała, a rzęsy trzepotały z wysublimowaną rozkoszą, jakby skosztowała przepysznego deseru albo zanurzyła się w wannie z ciepłą wodą. Sprawiała wrażenie oczarowanej, wręcz zachwyconej. Uznałam jej zachowanie za perwersyjne, bo nie używało się jeszcze słowa „pretensjonalne". Prędzej „wydumane".

– Miłe panie – zaczął dyrektor. Miał tęgą, rumianą, ospowatą twarz z wielkim nochalem i małe nieodgadnione oczka, ale był tak zadbany, schludny i pewny siebie, że odbierałam go jako przystojnego. – Chciałbym przedstawić wam naszego nowego psychologa, doktora Bradleya Morrisa, gorąco polecanego przez doktora Frye'a. Wierzę, że jest cennym nabytkiem, który pomoże nam zdyscyplinować chłopców i uratować ich dusze. A to jest panna Rebecca Saint John, pierwsza w historii naszego więzienia dyrektor do spraw edukacji; jej obecność zawdzięczamy hojnej dotacji Wuja Sama. Wierzę, że ma odpowiednie kwalifikacje. O ile dobrze wiem, właśnie doktoryzowała się w Radcliffe…

– Na Harvardzie – skorygowała Rebecca Saint John, lekko nachylając się w stronę dyrektora. Strzepnęła popiół na podłogę i wypuściła w sufit kłąb dymu, chyba krzywiąc się przy tym. To wszystko było jakieś dziwne.

– Na Harvardzie – poprawił się dyrektor. Odniosłam wrażenie, że ona go kręci. – Mam nadzieję, że nasi nowi pracownicy zostaną przyjęci z szacunkiem i fachowo, i prosiłbym, by w pierwszych dniach pomóc pannie Saint John zapoznać się z naszą instytucją i panującymi w niej zwyczajami. – Machnął ręką w stronę pracownic sekretariatu, w tym mnie.

Całość wyglądała podejrzanie: bardzo młoda, atrakcyjna kobieta wyrasta nagle jak spod ziemi, żeby co? Uczyć pisać i liczyć? To zakrawało na kpinę. Chłopcy z Moorehead nie byli w stanie przejść paru kroków, usiąść, zjeść, oddychać, żeby się nie brać za łby. Doktor Morris zapewne zjawił się po to, żeby szpikując ich chemią, łagodzić ich obyczaje. Ale czego się mogli nauczyć w takim stanie? Dyrektor odebrał od doktora Morrisa płaszcz panny Saint John i wręczył go mnie; wyglądał przy tym, jakby się uśmiechał. Nigdy nie

mogłam rozgryźć jego stosunku do mnie: lubił mnie czy tylko udawał? Podejrzewam, że jego maska pośmiertna była twarda jak beton. Tak czy owak, przypadło mi w udziale udostępnienie szafki nowej, która ruszyła za mną do szatni.

Choć na twarzy Rebekki Saint John tamtego dnia nie udało mi się wypatrzyć śladu makijażu, wyglądała świeżo i nieskazitelnie – była obdarzona naturalną urodą. Miała długie, gęste ciemnorude włosy, które – odkryłam z ulgą – aż się prosiły o szczotkę. Jej skóra miała złotawy blask, twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi była okrągła i pełna, usta przypominały pączek róży, brwi były cienkie, a rzęsy zaskakująco jasne. Błękitne oczy miały dziwny odcień, jakby były lekko podretuszowane, niczym baseny kąpielowe w reklamach tropikalnych kurortów. W realnym świecie taki kolor spotyka się wyłącznie w płynach do płukania ust, pastach do zębów, żelach do WC. Moje oczy wydawały mi się podobne do mętnej sadzawki – mroczne, zielonkawe, zmętniałe od piasku i mułu. Nie muszę chyba dodawać, jak strasznie czułam się upokorzona w obecności tej pięknej kobiety. Może powinnam była chronić się przed zranieniem i trzymać od niej z dala, ale fascynowała mnie: chciałam się lepiej przyjrzeć jej rysom, sprawdzić, jak oddycha, jak wygląda jej twarz, kiedy jest zamyślona. Liczyłam na to, że uda mi się wypatrzyć w niej jakieś drobne niedoskonałości czy skazy charakteru, które choć trochę zrównoważyłyby nieskazitelną urodę. O święta naiwności! Napisałam jej na karteczce kombinację cyfr do zamka i podając ją, pociągnęłam lekko nosem. Pachniała zasypką dla niemowląt. Nie miała w ogóle pierścionków. Byłam ciekawa, czy ma chłopaka.

– Chciałabym, żebyś zaczekała, aż sprawdzę, czy dam sobie radę z szyfrem. – Mówiła z jakąś wyniosłą intonacją, jak aktorzy w dawnych filmach, których akcja toczy się na Riwierze albo w luksusowych hotelach na Manhattanie. Akcent Starego Świata? W prawdziwym życiu nie spotkałam nikogo, kto by tak mówił. W miejscu takim jak Moorehead jej sposób mówienia brzmiał co najmniej dziwnie – jakby uprzejma brytyjska arystokratka wydawała polecenia pokojówce.

Oparta o rząd szafek, przyglądałam się, jak nastawia cyfry zamka.

– Trzydzieści dwa, dwadzieścia cztery, trzydzieści cztery. No proszę, zupełnie jak moje wymiary. – Roześmiała się i otwarła ze szczęknięciem drzwi szafki.

Moje wymiary były jeszcze skromniejsze. Zamilkłyśmy i jak lustrzane odbicia jednocześnie zerknęłyśmy najpierw na własne piersi, a potem na piersi rozmówczyni.

– Osobiście odpowiada mi, że jestem płaska jak deska. A ty co o tym myślisz? Kobiety z obfitym biustem są zwykle bardzo nieśmiałe lub, przeciwnie, uważają, że ich piersi są pępkiem świata. Żal mi ich.

Pomyślałam o Joanie, jej krągłych, zmysłowych kształtach, które były jej głównym atutem. Musiałam mieć dziwną minę, może nawet się zaczerwieniłam.

– Ojej, chyba cię nie speszyłam? – zreflektowała się.

Jej szczerość wydała mi się autentyczna. Uśmiechnęłyśmy się do siebie.

– Piersi… – Wzruszyła ramionami, patrząc ponownie na swój skąpy biust. – Wiele hałasu o nic. – Puściła do mnie oko i odwróciła się do szafki, żeby raz jeszcze przećwiczyć szyfr.

Wiem dobrze, że tylko nieszczęsne, zakompleksione dziewczyny zrozumieją, dlaczego tamta wymiana zdań z Rebeccą połączyła nas jak dwóch spiskowców. Po latach skrywanego wstydu w jednej, jedynej chwili zły czar prysł: moje ciało, moje istnienie samo w sobie doczekało się akceptacji. Przeżywałam niesamowitą bliskość i wzruszenie, jakbym nigdy dotąd nie miała przyjaciółki. Bo też tak było. Całe życie byłam skazana na Suzie, Alice czy Maribel, wyimaginowane – bo tylko one mnie chciały – koleżanki, które powoływałam do życia, żeby zmylić ojca.

– Nie speszyłaś mnie ani trochę. – Ta deklaracja wymagała ode mnie niesłychanej odwagi, gdyż po raz pierwszy od lat choć na chwilę uchyliłam twardej przyłbicy. – Zgadzam się z tobą w stu procentach.

Jak mówi stare przysłowie, przyjaciel to ktoś, kto pomaga pogrzebać trupa – to właśnie była esencja naszego związku. Czułam to od pierwszej chwili. Moje życie miało się zmienić. W tamtej zadziwiającej istocie spotkałam własne dopełnienie, bratnią duszę, sprzymierzeńca. Pod wpływem głębokiego poruszenia i żeby raz na zawsze skończyć z przerażającą samotnością, gotowa byłam naciąć dłoń i podać Rebecce, żeby zawrzeć braterstwo krwi. Mimo to trzymałam ręce w kieszeniach. Tak zadzierzgnęła się między nami tajemna więź, za sprawą której moje życie potoczyło się tak, a nie inaczej.

– Doskonale – powiedziała Rebecca. – Mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż przejmowanie się figurą. Choć przyznasz, że większość jest odmiennego zdania? – Uniosła brwi pytająco.

Była naprawdę niesamowicie piękna, tak piękna, że musiałam uciec wzrokiem. Straszliwie chciałam zrobić na niej dobre wrażenie, wydobyć z niej wyraźną deklarację, że czuje to samo co ja: że jesteśmy bratnimi duszami.

– Nie zależy mi na opinii większości – powiedziałam, rozmijając się

z prawdą. Odkryłam w sobie nagłą odwagę. Wstąpił we mnie duch buntu.

– Niesamowite – stwierdziła Rebecca z założonymi rękami. – Rzadko spotyka się młode kobiety o tak śmiałych poglądach. Jak druga Katharine Hepburn.

Z ust kogo innego odebrałabym to jak kpinę. Ale nie czułam się obrażona. Roześmiałam się i zarumieniłam. Rebecca też się roześmiała, a potem pokręciła głową.

– Żartuję. Ja też jestem taka. Mam w nosie, co ludzie o mnie myślą. Oczywiście wolę, żeby myśleli dobrze, bo to ma pewne plusy.

Spojrzałyśmy na siebie, kiwając porozumiewawczo głowami. Czy byłyśmy do końca szczere? Nieważne. Czułam się, jakby moje głęboko skrywane niedoskonałości zostały nagle wzięte za dobrą monetę. Nie wątpię, że Rebecca doskonale wiedziała, ile są warte te buńczuczne deklaracje, ale nie dała mi tego odczuć. Byłam pewna, że dała się zwieść mojej pozie.

– Do zobaczenia – rzuciłam.

Czułam, że nie należy przeciągać tej sytuacji w nieskończoność. Pomachałyśmy do siebie i Rebecca wyfrunęła przez sekretariat z powrotem na korytarz, jak jakiś egzotyczny ptak czy kwiat, rażąco niestosowny w mdłym świetle jarzeniówki. Z rękami założonymi z tyłu ruszyłam mechanicznie, jak automat, w stronę swojego biurka, pogwizdując improwizowaną melodię. Czułam się jak nowo narodzona.

Popołudnie upłynęło mi na kwestii odpowiedzi, których zamierzałam użyć w konwersacji z Rebeccą. Ogromnie mi zależało, żeby zrobić na niej dobre wrażenie i żeby nie wzięła mnie za prowincjonalną gąskę, którą byłam; liczyłam, że uda mi się jej zaimponować moim anarchizmem, wspólną pogardą dla wielkich piersi, chłodnym, przenikliwym spojrzeniem i ogólną postawą. Nie byłam przy tym żadną anarchistką, tylko po prostu nieszczęśliwą dziewczyną. Siedząc za biurkiem, ćwiczyłam więc swoją maskę pośmiertną – kamienną twarz, w której nie drgnie żaden mięsień, oczy martwe i bez wyrazu, lekko ściągnięte brwi. Żywiłam naiwne przekonanie, że w kontaktach z nowo poznanymi lepiej powstrzymywać się od opinii, zanim druga strona nie ujawni swojego stanowiska. Dziś tego rodzaju zachowanie nazwalibyśmy defensywnym; to poza charakterystyczna dla osób niepewnych siebie, które na wszelki wypadek wolą w ogóle zrezygnować z poglądów i oczekiwań niż podpisać się pod jakimś światopoglądem czy próbować dołączyć do grupy, ryzykując, że zostaną odrzucone i wyszydzone. Czułam, że dopóki Rebecca nie ustanowi tak zwanych reguł gry, lepiej trzymać język za zębami, udając nonszalancję. Gdyby więc zapytała mnie, czy lubię moją

pracę, odpowiem: „Z czegoś trzeba żyć”. Jeśli zapyta o przeszłość, odpowiem: „Nic wartego wzmianki”. Wspomniałabym jednak o śmierci matki, sugerując niejasno, że zginęła z rąk mafii pod zalanym światłem księżyca molo. A może ja ją zabiłam – udusiłam poduszką – i nie przyznałam się – dotąd – nikomu. Miałam w zanadrzu cały arsenał chwytów. Gdyby spytała mnie o hobby, odparłabym, że książki, a gdyby chciała wiedzieć jakie, wymówiłabym się prywatnością moich preferencji. Powiedziałabym, że czytanie jest dla mnie jak seks, a nie należę do osób, które rozpowiadają, z kim poszły do łóżka. Wyobrażałam sobie, że uda mi się wywieść w pole Rebeccę, która będąc nauczycielką czy kimś w tym rodzaju, uzna mnie za oczytaną. Ale nie potrafiłam dyskutować o literaturze. Na pewno lepiej by mi szła rozmowa o życiu. Mogłabym na przykład spytać: „Lubisz dżin?”. Jeśli zapyta, czemu mnie to interesuje, wzruszę ramionami i powiem: „Ludzie dzielą się na tych, którzy lubią dżin, i tych, którzy go nie lubią”. A potem, zależnie od jej odpowiedzi, uznam miłośników dżinu za idiotów albo osobników lubiących się zabawić i geniuszy. Wymyślałam różne warianty, ale bałam się, że w ostatniej chwili zawiodą mnie nerwy. Rebecca działała na mnie bardzo onieśmielająco.

– Nie śpij, Eileen. Pora posortować pocztę – przerwała moje rozmyślania pani Murray, cmokając z naganą i pstrykając palcami.

Flaki mi się wywracały od tej roboty. Zegar wlókł się z chrobotem.

W drodze na jasełka, które odbyły się chyba w kaplicy, zaszłam do damskiej toalety, żeby przejrzeć się w lustrze i poprawić szminkę. Nadmiar szminki rozmazanej na pudrze odruchowo wytarłam rękawem swetra. Choć nie miałam już tak ciężkiego trądziku jak w wieku kilkunastu lat, pryszcze na styku czoła z linią włosów wciąż się pojawiały. Doskwierały mi chroniczne problemy z cerą. Nawet teraz miewam ostre napady trądziku różowatego, a naczynka na czubku nosa i policzkach popękały mi już przed trzydziestką, jak starej pijaczce. Podejrzewam, że czerwony nos to krzyż, który muszę dźwigać, mój stygmat, rodzaj pokuty. Teraz podobam się sobie. Ale w tamtych czasach nienawidziłam mojej twarzy, źródła nieustającej udręki. Zaczesałam włosy do tyłu i nałożyłam grubą warstwę nieodwołalnej czerwieni, osuszyłam nadmiar szminki papierowym ręcznikiem i zlustrowałam zęby. Zęby po dziś dzień mam małe, dziecinne; w zestawieniu z czerwienią pomadki wydawały się żółte. Rzadko zdarzało mi się zapomnieć w uśmiechu i odsłonić górną szczękę. Wspominałam już, o ile się nie mylę, że moja górna warga ma skłonność do podwijania się do góry. Zawsze miałam w życiu pod górkę. W każdej sprawie.

Robiąc siusiu, zorientowałam się z obrzydzeniem, że przyjechali krewni. Obecnie uważam to za cud, że w ogóle miałam miesiączkę przy mojej nerwicy i głębokim niedożywieniu, co jednak nie znaczy, że kiedykolwiek zrobiłam użytek z nieregularnych cykli. Raz coś się przyplątało, ale zmyło się, zanim było o czym pisać do domu. Był jeszcze drugi raz, ale usunęłam. Nie powiem, żebym nie żałowała, że nie mam dzieci, ale żal nic tu nie pomoże. Tamtego dnia w Moorehead, zamiast zawrócić do szafki po podpaski, odwinęłam papier z rolki do samej ziemi, złożyłam parokrotnie i wepchnęłam do majtek. Papier był twardy i szorstki, zbliżony barwą do papieru pakowego. Zapamiętałam to dokładnie, ponieważ straciłam sporo pewności siebie, kiedy idąc korytarzem, nagle przypomniałam sobie – jak mogłam o tym zapomnieć? – że mogę natknąć się na chłopców, Randy'ego czy choćby Jamesa. Ich wzrok mógł paść na moje krocze. Byłabym zapomniała dodać, że po skorzystaniu z toalety jak zwykle nie umyłam rąk.

Pomimo surowych warunków i ludzkiej nędzy Moorehead tamtego dnia przypominał bardziej przedszkole niż zakład karny. Korytarze zostały udekorowane przez wolontariuszy z kościoła, którzy w weekend obwiesili ściany koszmarnymi amatorskimi podobiznami Pana Jezusa i Świętego Mikołaja. Boże Narodzenie to jedna wielka ściema; od dawna nie obchodzę świąt, bo wiążą się z nimi bolesne wspomnienia. Byłam już po trzydziestce, kiedy mężczyzna, z którym miałam wtedy romans, pewnej nocy zaczął mi paplać do ucha o swoim szczęśliwym dzieciństwie – prezenty pod choinką, kakao, szczeniaczki, kasztany pieczone w ognisku. Mało czego tak nienawidzę jak mężczyzn ze szczęśliwym dzieciństwem. Być może doktor Frye uważał, że Gwiazdka dobrze działa na psyche. Zachęcał chłopców do udziału w zajęciach świątecznych, śpiewania kolęd i pisania kartek z życzeniami do kolegów. Zawsze kończyło się to źle, bo chłopcy czuli się upokorzeni śpiewaniem kolęd w więzieniu i brali się do bójki, obrzucając wyzwiskami i nabijając się z każdego, kto choćby otworzył usta. A kartki, które pisali do kolegów, roiły się od pogróżek, obelg i sprośnych rysunków. Wiedziałam o tym, bo oficerowie wychowawczy konfiskowali je, żeby później oglądać ze strażnikami i z resztą personelu, a po wszystkim kazali mi – pewnie, żeby mnie upokorzyć – dołączać je do akt chłopców. „Wesołych zasranych świąd". Przez resztę roku chłopcy byli raczej cisi i spokojni. Za doktora Frye'a byli stale na środkach uspokajających. Może w święta nie podawano im pigułek.

Tamtego popołudnia przyglądałam się, jak pobudzeni chłopcy wchodzą do kaplicy i ciężko zwalają się na krzesła w pierwszych rzędach. Randy stał u stóp podwyższenia, twarzą do nich. Ja, żeby pełnić moje obowiązki,

usiadłam na wysokim taborecie i włączyłam reflektor na żelaznym stelażu przytwierdzonym do tylnej ściany kaplicy. Skierowałam go na scenę tak, że rzucał jasne koło na fałdzistą pomarańczową kotarę, zupełnie jak – całe lata później – w czołówce Królika Bugsa. Do dziś, kiedy próbuję dopatrzyć się dobrych stron w kiepskiej sytuacji, w mojej głowie pojawiają się dźwięki tej czołówki. Zapamiętałam na zawsze tamte jasełka. Jedna wielka szopka.

Na chwilę przed zgaszeniem świateł do kaplicy weszła Rebecca, niosąc mały kołonotatnik z długopisem zatkniętym w spiralę. Razem ze strażnikami podziwiałam, jak niesie przez nawę swój mały, dziecinny tyłeczek. Usiadła z boku, w jednym z pierwszych rzędów, obok doktora Morrisa, przy którym stał Randy. Targnął mną niepokój. Wolałabym, żeby ścieżki tych dwojga, Rebekki i Randy'ego, raczej się nie przecięły. Ona była zbyt ładna, żeby mógł ją przeoczyć, a mimo naszego paktu nadal jej zazdrościłam. Nie miało najmniejszego znaczenia, że snułam fantazje o wielkiej ucieczce i nie planowałam powrotu do X-ville, a już na pewno nie do Moorehead, Randy zaś lada dzień miał rozwiać się jak sen, stać się cieniem, widmem przeszłości, czyli tym, kim jest nadal. Wyobrażałam sobie, jak szlocham w pociągu do Nowego Jorku: „Żegnaj, Randy, żegnaj na wieki".

Kiedy światła zgasły, chłopcy w niebieskich i szarych pulowerach, głośno klnąc, rzucili się na siebie z pięściami. Kamienny posąg natychmiast ożył: Randy zabrał się do rozdzielania walczących. Był to niezapomniany widok. Poruszał się lekko i zwinnie, zachowując jednocześnie spokój i przytomność umysłu. Widok kombinezonu opinającego się na jego muskułach zapierał mi dech w piersiach. Chyba naprawdę kochałam się w nim, i to w najgorszy sposób: wyłącznie w jego ciele i aparycji, bo samego Randy'ego praktycznie nie znałam.

Kiedy chłopcy opadli z powrotem na krzesła, na scenę wkroczył dyrektor. Skierowałam reflektor na jego twarz, ale najpierw, niby przypadkiem, oświetliłam jego rozporek. Kilku chłopców zarżało. Dyrektor wziął mikrofon i zaczął przemawiać mniej więcej na tę nutę: „Życzę wesołych świąt naszym więźniom, personelowi i gościom. Co roku zbieramy się tutaj, żeby uczcić najważniejsze ze świąt, i co roku zastanawiamy się nad tym, jak bardzo duch świąt Bożego Narodzenia pomaga nam wieść dobre, chrześcijańskie życie – a jest to wielka inspiracja – i modlimy się, abyśmy mogli wejrzeć w nasze winy. Historia Syna Bożego, który, jak wielu z was, przyszedł na świat w ubóstwie, bez perspektyw życiowych, może wam pomóc dostrzec wasze błędy i zachęcić do zmiany, do poprawy, uczciwego życia bez bijatyk, niesubordynacji i wandalizmu. Mam więc nadzieję, że będziecie teraz

siedzieć spokojnie, rozmyślając i zapytując się w głębi serca, jak moglibyście się poprawić i do czego zachęca was Pismo Święte. Nasi drodzy przyjaciele, baptyści z Mount Olive, pomogli nam w przygotowaniu tegorocznych jasełek, więc chciałbym teraz prosić wszystkich chłopców, żeby usiedli spokojnie, trzymając buzię na kłódkę. Jeśli usłyszę jakiekolwiek śmiechy, wycie czy niestosowne uwagi, winny natychmiast zostanie odprowadzony do nory. Radziłbym mnie nie zmuszać do takiej ostateczności. Chciałbym również powitać dwóch nowych pracowników naszego zakładu, doktora Morrisa, naszego nowego specjalistę do spraw, że się tak wyrażę, zdrowia psychicznego – witamy, witamy. Również pannę Saint John, specjalistkę do spraw dydaktyki. Na oko nie wygląda zbyt groźnie, ale zapewniam was, panowie, że jest bardzo inteligentna i potrafi wycisnąć z waszych leniwych mózgownic więcej, niż się wam wydaje. W swoim czasie każdy z was będzie miał szansę poznać ją osobiście. Jeśli to nie jest dla was wystarczającą zachętą, żeby być cicho, to się poddaję. A teraz proszę wszystkich o ciszę".

Rzygać mi się chce dziś na myśl o tym, że dyrektor w jakiś pokrętny sposób mi się podobał. Być może zazdrościłam mu jego pewności siebie, sama nie wiem. Zawsze sprawiał wrażenie szalenie zadowolonego z siebie. Łatwo ulegałam magii władzy. Pamiętam, że zamotał się na chwilę w kabel od mikrofonu, a kiedy się wyplątał, podał rękę starszawemu księdzu na wózku inwalidzkim. Teraz podejrzewam, że dyrektor był homoseksualistą. Słyszałam, że regularnie bił młodszych chłopców po pośladkach w swoim gabinecie. Ale to już inna historia, więc niech kto inny ją opowie.

Pomarańczowe kotary rozsunęły się, odsłaniając surowy wystrój pomieszczenia przypominającego więzienną celę. Prycza, na stoliku Biblia. Jeden z chłopców, blady i obrzękły, w przepisowym granatowym kombinezonie więźnia, wszedł na scenę z rękami w kieszeniach. Mamrotał coś niezrozumiale, ale domyślałam się, co mówił, bo tekst był nieodmiennie taki sam co roku.

– Co mam robić, nieszczęsny, skazany na trzy lata odosobnienia pośród chłopców, którzy jak ja służą Złu. Mam morze czasu, by obmyślać nowe występki, które popełnię po wyjściu na wolność. Na razie jednak poczytam coś sobie.

– Nie umiesz czytać! – wrzasnął ktoś z pierwszego rzędu, gdy pokraśniały aktor brał do rąk Biblię.

Chłopcy ryknęli śmiechem i zaczęli kotłować się na widowni. Randy podszedł do krzeseł, machnął od niechcenia dłonią zaciśniętą w pięść i przyłożył do ust palec drugiej. Przedstawienie toczyło się dalej.

Główny bohater usiadł na pryczy i otwarł Biblię. Zbliżyły się do niego dwie dziecięce postacie odziane w szaty – jedna miała perukę i suknię z brzuchem wypchanym poduszką. Z mojego miejsca zauważyłam, że Rebecca poruszyła się niespokojnie. Oczywiście cierpiałam katusze jako widz upokarzającej młodocianych aktorów sytuacji, jednak co miałam robić? Jak wszyscy, nie miałam dosyć odwagi, żeby zaprotestować.

– Sił mi brak, czy moglibyśmy odpocząć w tej szopie? – mówił falsetem chłopak przebrany za Matkę Boską, wyciągając rękę w stronę widowni w komicznym geście.

Publiczność ryknęła śmiechem.

Chłopak przebrany za świętego Józefa odstawił wór na ziemię.

– Zróbmy tak. Nie stać nas przecież na zajazd.

Rebecca zaczęła się rozglądać dookoła, wyciągając szyję, jakby szukała w tłumie konkretnej twarzy. Miałam nadzieję, że mojej. W mroku kaplicy trudno było orzec, jaką ma minę. Walczyłam z chęcią, by skierować reflektor na jej lekko ściągnięte brwi, usta skrzywione w uroczym grymasie dezaprobaty. Była prześliczna, w tym odpychającym miejscu stanowiła cudowny wyjątek; aż dziw, że inni potrafili trzymać oczy na wodzy. Jak to możliwe, że doktor Morris, Randy, chłopcy zachowywali się jak gdyby nigdy nic, jakby jej w ogóle nie było? Czyżbym tylko ja uległa jej urokowi? Czy dałam się jakoś omamić? Widziałam coś, czego nikt nie widział? „Czyżby nie była najbardziej promienną, elegancką i czarującą istotą na świecie?”, myślałam, gdy wodziła wzrokiem po rzędach krzeseł.

Sztuka toczyła się dalej: Józef z Maryją recytowali swoje kwestie to sztywno, to znów z ironią i brawurą. Na scenie zrobiło się gęsto od chłopaczków w kolorowych szatach, z głowami zwieszonymi z nudów i ze skrępowania. Ledwie ich było słychać wśród śmiechów i docinków z widowni. Jeden z aktorów, jeszcze całkiem mały, rozpłakał się: broda mu się trzęsła, zęby dzwoniły. Właśnie wtedy Rebecca wstała, zdegustowana, i ruszyła przez kaplicę do wyjścia, a wisiorek huśtał się w rytm jej kroków między drobnymi piersiami. Powiodłam wzrokiem za nią. Miała piękne ciało, smukłe i zwarte, jak ciało baletnicy. Dochodząc do drzwi, zauważyła mnie, pomachała ręką, pokręciła z potępieniem głową i powiedziała coś, czego nie dosłyszałam. Wyszła, a ja pomyślałam: „Tworzymy wspólny front, same przeciwko wszystkim”. Czułam, że jestem gotowa podzielać jej oburzenie, a przynajmniej udawać, że je podzielam, jeśli to mogło kupić jej przyjaźń.

Moja postawa nie świadczyła bynajmniej o obojętności na los chłopców,

raczej o bezsilności: byłam młoda i biedna, nie miałam jak im pomóc. Prawdę mówiąc, czułam się jedną z nich, ani gorszą, ani lepszą niż oni. Od najstarszych chłopców dzieliło mnie raptem sześć lat. Niektórzy z nich wyglądali już jak mężczyźni – byli wysocy, smukli, sypały im się brody i wąsy, mieli łapy jak bochny, niski głos. Zwykle byli synami białych robotniczych rodzin, ale było wśród nich paru czarnych chłopców. Tych lubiłam najbardziej. Czułam, że widzą coś, co umyka reszcie. Wydawali się bardziej zrelaksowani, oddychali jakby trochę swobodniej, nosili perfekcyjne maski pośmiertne, podczas gdy biali chłopcy krzywili się, marszczyli, pluli i obrzucali wyzwiskami jak uczniacy na szkolnym boisku. Niejednokrotnie zastanawiałam się, co myślą o mnie, kiedy stoję w drzwiach podczas odwiedzin – o ile w ogóle mnie zauważali. Rzadko patrzyli w moją stronę, w ich niechętnych spojrzeniach nigdy nie wyczułam, by mnie identyfikowali. Przychodziło mi do głowy, że może zapominają mnie przez noc i sądzą, że w moją funkcję wciela się niekończący się zastęp kobiet podobnych do siebie jak dwie krople wody. Albo w rozmowie z matką mówią o mnie „ta suka", kiwając głową w moją stronę, gdy odwrócona plecami myślałam o Randym, starając się nie podsłuchiwać ich rozmów. Ale mogli też mówić: „Nie znoszę ich wszystkich, z wyjątkiem tej". Albo myśleli, że mam szmergla. Spokojnie mogłam uchodzić za pomyloną w dni, kiedy byłam niewyspana i pojawiałam się w pracy niechlujna i skacowana, wywracając oczami przy każdym głośniejszym dźwięku i zgrzytając zębami, kiedy ktoś włączył światło. W moim infantylnym egocentryzmie wyobrażałam sobie, że czarni chłopcy rozmawiają z matkami nie o czym innym, tylko o tym, jak bardzo Eileen się męczy, jak bardzo Eileen brakuje przyjaciela czy jak bardzo Eileen zasługuje na lepsze życie. Łudziłam się, że widzą mnie przez moją maskę pośmiertną, przenikają do dna mojej smutnej, targanej namiętnościami duszy; teraz skłonna jestem raczej sądzić, że w ogóle mnie nie zauważali.

Chyba nie zabrzmi odkrywczo, jeśli powiem, że sytuacja młodej pracownicy czysto męskiej instytucji ma swoje uroki. Nie chcę przez to powiedzieć, że moja pozycja w Moorehead pozwalała mi w jakikolwiek sposób odczuć kobiecą władzę ani też że stwarzała warunki do realizacji erotycznych scen, o których nagminnie fantazjowałam – nic z tych rzeczy. Jednak praca w więzieniu dawała mi pewien wgląd w męską psychikę. Zdarzało mi się czasem przyglądać chłopcom z boku, jak zwierzętom w zoo – obserwowałam ich ruchy, oddech, ich gesty i reakcje. Właśnie studiując zachowania młodocianych więźniów, rozwinęłam w sobie zdolność wczuwania się w zdumiewające spektrum męskich emocji. Wzruszenie

ramion znaczyło „później ci dołożę”. Uśmiech mógł być obietnicą dozgonnej miłości i sympatii lub oznaką głębokiej nienawiści, morderczej wręcz wściekłości. Czy czerpałam przyjemność erotyczną z przyglądania się młodym chłopcom? Szczerze mówiąc, niewielką, ponieważ oglądałam ich tylko wyrywkowo i zawsze w nietypowych okolicznościach. Widywałam ich wyłącznie, jak wchodzą i wychodzą gęsiego z apelu albo ze stołówki i podczas widzeń z matkami. Nigdy nie miałam okazji oglądać ich na pryczach, przy zajęciach w świetlicy ani w trakcie zabaw na boisku, gdzie prawdopodobnie zachowywali się najswobodniej, byli bardziej ożywieni i przejawiali większą subtelność, wrażliwość, humor oraz spontaniczność. Tak czy owak, gustowałam w tym korowodzie nieszczęsnych twarzy, a najbardziej lubiłam, gdy spod pulchnych policzków i delikatnych, dziecięcych rysów przebijała zawzięta twarz bezlitosnego mordercy. Podniecało mnie to.

Przypominam sobie chłopca, który grając Matkę Boską – chyba w jasełkach z poprzednich lat – wyrwał poduszkę spod kostiumu, rzucił na ziemię i usiadł na niej. Inny dowcipniś zaczął kiedyś odgrywać striptiz. Tak więc chłopcy nie byli pozbawieni swoistego wdzięku. Czy obawiałam się, że będzie mi ich brakowało, kiedy odejdę z Moorehead? Nie, nie obawiałam się i jak się okazało – słusznie, choć patrząc na ich potylice podczas spektaklu, zastanawiałam się, czy zapamiętam choć jedną z twarzy i czy byłoby mi smutno, gdyby któryś z nich umarł. Czy pomagałabym im, gdybym miała taką możliwość? Czy poświęciłabym cokolwiek dla ich dobra? Jest mi wstyd, ale szczerze mówiąc, nie. Byłam samolubna, zaabsorbowana wyłącznie własnymi pragnieniami i potrzebami. Pamiętam, jak stojąc przy reflektorze, przyglądałam się Randy’emu, którego sylwetka rysowała się na widowni w mroku. Próbowałam dociec, czy spodnie spłaszczają jego genitalia. Podejrzewałam, że ze względu na ich obcisły krój przekłada wszystko na jedną stronę. Trudno mi już przywołać tamten widok ze szczegółami, ale notorycznie studiowałam układ fałd materiału w kroczu Randy’ego, próbując ustalić, po której stronie się nosi. Męskie narządy nie były mi całkiem obce, choć nie przypominam sobie, żebym natknęła się na penisy w obscenicznych czasopismach ojca – choć ich obecność była cichym założeniem. Znajomość męskiej anatomii czerpałam wyłącznie z rysunków w podręcznikach. Ostatecznie, miałam przecież zajęcia z higieny na drugim roku. Pocąc się za rozgrzanym reflektorem, martwiłam się, że z racji braku doświadczeń męsko-damskich wydam się Rebecce dziecinna i żałosna. To, że nigdy nie miałam chłopca, zaniżało moje notowania.

Kiedy spektakl dobiegł końca, na scenę znów wkroczył dyrektor, by wygłosić długi monolog na temat grzechu. Zeszłam z mojej pozycji za reflektorem i wyszłam z kaplicy, żeby przejść się po więziennych korytarzach, licząc, że natknę się gdzieś na Rebeccę. W świetlicy i biurach nie było nikogo. W bibliotece, której księgozbiór składał się głównie z traktatów religijnych i encyklopedii, panowała cisza, podobnie jak w kantynie z długimi metalowymi stołami, na których poniewierały się brudne plastikowe sztućce. Sypialnie chłopców znajdowały się na drugim końcu budynku. Małe okienka wychodziły na pofałdowane, ośnieżone wydmy. Lodowaty ocean za nimi, ciemny jak biblijna dolina, kłębił się dniem i nocą z tak potężnym hukiem, jakby Bóg Ojciec miał zaraz powstać z wód, rycząc ze śmiechu na przekór naszym winom. Nietrudno wyobrazić sobie depresyjne myśli, jakie ten pejzaż musiał budzić w chłopaczkach z Moorehead. Okna znajdowały się tak nisko nad podłogą, że trzeba się było schylić albo przyklęknąć, żeby zobaczyć cokolwiek. Przez chwilę w pustym pomieszczeniu wsłuchiwałam się w łoskot fal. Prycze stały pod ścianami sypialni o beczkowatym sklepieniu, a wymalowane na podłodze linie pokazywały, gdzie należy stać podczas porannych ogłoszeń, gdzie klękać do wieczornej modlitwy, którędy iść do pryszniców, a którędy do stołówki. Kiedy ruszyłam do wyjścia, niebieściuchny laminat popiskiwał pod podeszwami jak przydepnięta mysz.

Pamiętam, że czym prędzej pomknęłam z powrotem do kuchni i ukradłam kartonik mleka z pustej lady barowej. Kuchnia przedstawiała się imponująco: szara stal i ciężka maszyneria. Chłopców za złe zachowanie karano nadliczbowym zmywaniem garów, do tego przenoszono ich do karceru w dawnej chłodni mięsa za kuchnią, pomieszczenia zwanego przez wszystkich norą. Skazanego wypuszczano z nory tylko pod prysznic i do zmywania kolejnej partii naczyń. Jadł w norze, załatwiał się do kubła. Jak się nietrudno domyślić, przyziemne funkcje ludzkiego ciała – na czele z wypróżnianiem – rozniecały moją wyobraźnię. Podniecało mnie, że inni też oddają stolec. Fascynowały mnie procesy fizjologiczne, które odbywają się za zamkniętymi drzwiami. Później jednym z moich pierwszych mężczyzn – nie była to żadna wielka miłość – był Rosjanin z cudownym poczuciem humoru, który zgadzał się, żebym mu wyciskała ropne pryszcze na plecach i ramionach. Dla mnie był to szczyt intymności. Przedtem jednak byłam tak neurotyczna, że w sytuacji, gdy mężczyzna mógł usłyszeć, że oddaję mocz, przeżywałam tortury upokorzenia, a jeśli już do tego doszło, uważałam to za najwyższy dowód miłości i zaufania.

Był chłopak, który siedział w norze od paru tygodni. Weszłam w głąb

kuchni i zobaczyłam starą chłodnię, w której dawne drzwi z nierdzewnej stali zastąpiono ciężkimi żeliwnymi, z małym okienkiem; zamykano je na kłódkę. W środku siedział na pryczy młody Polk, gapiąc się w ścianę. Rozpoznałam tego chłopaka od Polków, bo widziałam go parę tygodni wcześniej, w dniu przyjęcia do Moorehead. Mój ojciec śledził wzmianki o nim w „Post". Podczas formalności związanych z przybyciem odcinał się od wszystkich murem milczenia. Nie wydał mi się wtedy szczególnie atrakcyjny ani interesujący. Poruszał się sztywno i był chudy, chociaż barczysty – tworzył dziwną zbitkę chłopięcego wdzięku z męską masywną topornością. Na palcach prawej ręki miał świeże tatuaże, których jednak nie widziałam wyraźnie. Patrzyłam, jak wodzi wzrokiem po suficie, jakby coś czytał. Oczy miał jasne, cerę oliwkową, włosy króciutko przystrzyżone; był szatynem. Sprawiał wrażenie smutnego, pogrążonego w melancholijnej zadumie. Najżałośniejszymi rezydentami Moorehead byli mali uciekinierzy zamykani za włóczęgostwo lub prostytucję. Podglądając Polka przez okienko, zastanawiałam się, ile też może kosztować kalanie jego młodziutkiego ciała. Miał inteligentne oczy, długie, smukłe kończyny; głowę zwiesił w zadumie. Miałam nadzieję, że ma wysokie stawki, bez względu na to, na co pozwala w zamian. W tamtych czasach sądziłam, że męskie prostytutki świadczą swoje usługi bogatym paniom domu, których mężowie bywają często w służbowych rozjazdach – niech to będzie miarą mojej naiwności. Patrzyłam, jak zmysłowo wygina szyję na wszystkie strony, żeby się rozluźnić. Ziewnął. Raczej nie zauważył mnie po drugiej stronie okienka. Do dziś nie wiem, czy miał choćby pojęcie, jak się nazywam. Patrzyłam, jak opada na pryczę, obraca się na bok, zamyka oczy i wyciąga się wygodnie. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zasypiał, potem jednak jego dłoń, jakby mimowolnie, spoczęła na kroczu. Z zapartym tchem śledziłam, jak bierze w garść swoje genitalia. Skulił się jak zwierzątko. Przycisnęłam twarz do szyby, żeby lepiej zrozumieć ruchy jego dłoni. Mój język, jeszcze chłodny od mleka, zetknął się z taflą szkła. Przez minutę czy dwie patrzyłam jak urzeczona, ze zdumieniem i z fascynacją, dopóki nie otrzeźwił mnie zgiełk z korytarza; pospiesznie wycofałam się do sekretariatu. Nie sądzę, żeby chłopak mnie widział. Później dowiedziałam się, że miał czternaście lat, chociaż wyglądał na dziewiętnaście, dwadzieścia. On też mi się podobał.

Po południu, kiedy pani Stephens wkładała płaszcz, żeby już jechać do domu, spytałam ją, za co skazano chłopca na odosobnienie.

– Polk. Ten nicpoń – sapnęła. Drugi podbródek wylewał się jej na dekolt. Wbijała tłuste, spierzchnięte dłonie w rękawiczki z angory. – Zły chłopak.

Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo byłam bezlitosna wobec pani Stephens. Każdy jej gest interpretowałam jako zniewagę, atak pod moim adresem. Choć nigdy jej się nie odwdzięczałam pięknym za nadobne, uważałam ją za wroga. Fakt, nie była ciepła ani miła, ale też nigdy mnie naprawdę nie skrzywdziła. Była po prostu starą zrzędą. Kiedy już poszła, podobnie jak reszta pracownic administracji, wyciągnęłam akta Polka – lekko zażółcone papiery w teczce. „Wykroczenie: ojcobójstwo". Teczka pękała od zapisków doktora Frye'a, głównie dat i godzin, i nieczytelnych gryzmołów po łacinie. Z wycinka gazety przypiętego spinaczem do karty chłopca wyczytałam, że Leonard „Lee" Polk poderżnął gardło ojcu, gdy tamten spał w łóżku. Nie miał żadnej historii agresywnych zachowań, a sąsiedzi mówili o nim jako o „spokojnym, dobrze wychowanym dziecku, które nie rzucało się w oczy" – czy jakoś tak. Na policyjnym zdjęciu był nastroszony, wyginał w dół kąciki zaciśniętych warg i miał nieobecne, zmęczone spojrzenie. W rubryce „informacje uzupełniające" widniała uwaga: „milczy od dnia przestępstwa" dodana moim niechlujnym, infantylnym pismem.

Nagle, jakby słowik zaśpiewał w środku nocy, z ciemnawego korytarza dobiegł mnie czarodziejski, melodyjny głos – to Rebecca życzyła dobrej nocy Jamesowi. Słysząc nadciągający stukot obcasów, próbowałam zebrać się w sobie. Po chwili stanęła przede mną w długim czarnym płaszczu, z aktówką w ręku. Od kretyńskich jasełek minęło już parę godzin. Siląc się na uśmiech, próbowałam zagonić akta Polka z powrotem do teczki, ale wymknęła mi się z dłoni, a jej zawartość wypadła, rozsypując się po brudnym linoleum.

– Jejku! – spanikowałam, robiąc z siebie idiotkę.

Rebecca weszła za ladę sekretariatu, by pomóc mi zebrać papiery. Patrzyłam zza jej pleców, jak kuca, aby sięgnąć pod biurko pani Stephens. Podkasała spódnicę, żeby nie zamiatała podłogi, przy okazji odsłaniając wdzięcznie toczone łydki, jakże niepodobne do moich, dziecinnie patykowatych.

– Rany, to się w głowie nie mieści! – skwitowała, przerzuciwszy pobieżnie papiery. – Jak można zabić własnego ojca? – Oddała dokumenty, przyglądając mi się bacznie.

– Dziękuję – powiedziałam, rumieniąc się.

– Prawdę mówiąc, to historia stara jak świat. Zabijasz ojca, żeby przespać się z matką – stwierdziła. – Męskie reakcje są beznadziejnie przewidywalne. – Kiedy nachyliła się, mrużąc oczy, żeby przez moje ramię przyjrzeć się fotografii chłopca, jej włosy opadały między nas jak kurtyna. Odgarnęła je, a kosmyki lekko, jak piórko, musnęły mój policzek. Przygryzła wargę. –

Leonard Polk – przeczytała głośno. Jej oddech zalatywał tytoniem i miętową pastylką.

– Siedzi w karcerze – wyjaśniłam. – Nie widziałam go jeszcze. Ma zakaz widzeń.

– Biedak. Mogę? – Wyciągnęła rękę po teczkę.

– Porządkowałam akta – wybąkałam, żeby nie posądziła mnie o wścibstwo.

Zaczęła wertować akta Polka. Udawałam, że jestem zajęta, robię porządki na biurku, przeglądam stare kwestionariusze. „Nazwisko ulubionego artysty. O której kładziesz się spać?".

– Wypożyczę to sobie. – Wsunęła dokumenty do aktówki. – Niezła lektura na dobranoc – zażartowała.

Usiadłam z powrotem przy biurku. Czułam się dziwnie i niezręcznie.

– To całe przedstawienie! – parsknęła, zapinając płaszcz.

– Rok w rok pokazują to samo.

– Uważam, że to okrutna i niepotrzebna kara – powiedziała. Narzuciła na ramiona puszysty moherowy szal i wyjęła włosy spod spodu.

Czułam, że nie udało mi się na niej zrobić wrażenia. Obiecałam sobie, że następnym razem będę bardziej rozmowna, wyluzowana, czarująca, bystra, zabawna, ożywiona.

– To do jutra. – Stukając obcasami, ruszyła korytarzem w objęcia wietrznego wieczoru.

W drodze do domu zatankowałam dla ojca alkohol u Lardnera, a potem zajechałam do drogerii po miętowe pastylki i paczkę papierosów dla siebie. Rzadko paliłam, ale kiedy coś mnie wkurzyło, lubiłam wypalić jednego albo dwa. Próbowałam wymazać z pamięci obraz Leonarda Polka, choć widok chłopca pieszczącego w norze swoje genitalia podniecił mnie. To była czynność, na której zawsze chciałam przyłapać Randy'ego, nakryć go na czymś, co miało w sobie nutę perwersji. Potrząsnęłam mocno głową, jakbym chciała wyrzucić z umysłu tamten widok, wylać go przez uszy, żeby odzyskać spokój. Raczej nie byłam pedofilem – znałam to słowo z zajęć ze starożytnej greki. Buszując na stoisku ze szminkami, odkryłam nowy odcień – namiętny kochanek – krwistoczerwony i lśniący. Wsunęłam szminkę do kieszeni. Mój płaszcz, odziedziczony po mamie, miał długie rozkloszowane rękawy, mogłam więc bez trudu wynieść, ile dusza zapragnie. Zawsze umiałam kraść. Po dziś dzień zdarza mi się zakosić coś w markecie – nitkę do zębów, główkę czosnku, paczkę gumy do żucia. Nie mam wyrzutów sumienia. Uważam, że rozdałam i straciłam w życiu tyle, że saldo się zgadza.

Zapłaciłam za resztę zakupów, w tym upokarzającą paczkę podpasek

i małą puderniczkę z najjaśniejszym odcieniem pudru, jaki mieli na stanie: królowa śniegu. Mój wzrok przy samej kasie przyciągnęło też pismo poświęcone modzie. Na okładce koścista smętna kobieta w szarej futrzanej czapce patrzyła naburmuszona w górę, jakby się spodziewała reprymendy ze strony wysokich kół rządowych. „Romantyzmu nigdy za wiele…", głosiła okładka. Futerko według mnie wyglądało jak zdarte z pospolitego kota. Cisnęłam pieniądze na ladę. Sprzedawczyni wzięła podpaski w dwa palce, jakby już były zakrwawione, i wrzuciła je do papierowej torby postawionej na sztorc na ladzie. Czasopismo wsunęła do osobnej płaskiej torby, czym mnie mile zaskoczyła. Po powrocie do samochodu ułożyłam wszystkie pakunki w brązowych torbach na tylnym siedzeniu. Butelki, podpaski, pismo. Wyjęłam z kieszeni pomadkę i na pamięć pomalowałam wargi, nie oszczędzając szminki.

– Kogóż to tak całowałaś po krwawej dupie? – przywitał mnie w domu ojciec. Wyrwał mi butelki spod pachy. – Nie do twarzy ci – sarknął, człapiąc do kuchni.

Milczałam. Jak Leonard Polk.

Wtorek

Dorosła kobieta jest jak kojot – niewiele jej trzeba do życia. Mężczyźni bardziej przypominają domowe koty – gdy zostawić ich zbyt długo samych, umierają ze smutku. Z biegiem lat nauczyłam się kochać ich za tę słabość. Próbowałam szanować jako ludzi, istoty czujące, piękne, choć niestałe. Słuchałam zwierzeń, pocieszałam, ocierałam łzy. Ale za młodu, w X-ville, nie przypuszczałam nawet, że inni – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – mogą przeżywać świat równie głęboko jak ja. Nie miałam współczucia dla nikogo, chyba że czyjeś cierpienie akurat potrąciło strunę mojego cierpienia. Pod tym względem byłam opóźniona w rozwoju. Czy wiedziałam, że chłopcy w Moorehead – nie inaczej zresztą jak więźniowie na całym świecie – byli nocami zmuszani do walk ku uciesze strażników, że kazano im załatwiać się do poszewek na poduszki, że byli nagminnie przymuszani do obnażania się przez oficerów wychowawczych, którzy ich opluwali, bili, wiązali, upokarzali i wykorzystywali? Krążyły takie pogłoski, ale wszyscy przymykali na nie oczy. Powiecie, że mało mnie wzruszało, iż chłopcy drogę do pokoju widzeń i z powrotem odbywali w kajdankach? Czemu niby miało mi pękać serce z powodu kogoś, kto nie był mną? Byłam dla siebie jedyną osobą, której cierpienie się liczyło. Było czymś moim, własnym.

Gdyby tamten wtorek przebiegał tak jak inne, siedziałabym pewnie bezczynnie za biurkiem, patrząc tępo w zegar i po raz setny obmyślając plan ucieczki z X-ville. Jeśli zostawię dodge'a na stacji benzynowej w Rutland – może nawet przy samej pompie – i odejdę jakby nigdy nic, obwiązawszy głowę szalikiem, a potem, nie zwracając na siebie uwagi, wsiądę w pierwszy pociąg do Nowego Jorku, ludzie w X-ville dojdą do wniosku, że zostałam porwana przez jakiś gang drogowy, będą czekać, kiedy moje bezgłowe ciało odnajdzie się kilka stanów dalej, rzucone na pobocze drogi albo w jakimś obskurnym, tanim motelu. „Biedna Eileen", załka ojciec. Ot, marzenia, plany… Ale w tamten wtorek moje myśli były zajęte czym innym. Myślałam o Rebecce, której pojawienie się w Moorehead było jak uśmiech niebios, znak, że idzie ku lepszemu. Nie byłam już sama. Wreszcie miałam przyjaciółkę, którą mogłam podziwiać i przed którą mogłam się otworzyć, która rozumiała mnie i moją niedolę i była gotowa pomóc mi się z niej wydobyć. Była moim biletem do lepszej przyszłości. W dodatku była niesamowicie piękna i inteligentna, uosabiała to wszystko, czym sama

chciałam być. Zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie będę Rebeccą, ale mogłam być z Rebeccą, a na samą myśl o tym czułam dreszcz podniecenia. Kiedy zjawiła się w tamten wtorek, wparowała w otoczce mroźnego poranka, zdjąwszy płaszcz, zakręciła nim w powietrzu, jakby w zwolnionym tempie – do dziś mam ten ruch przed oczami – powiewając nim jak matador muletą. Szła w moją stronę, jej włosy falowały, a oczy jak dwa sztylety przeszywały mi serce. Była nieziemską istotą. Nosiła czerwony rozkloszowany płaszczyk z szarym futrzanym kołnierzem. To był ten sam rodzaj futra, jaki widziałam na okładce pisma. Kiedy już była blisko, poderwałam się na baczność, jakbym była jej asystentką, sekretarką, pokojówką. Skinęła grzecznie głową obu starszym paniom i rzuciła mi znaczące spojrzenie, kierując się do szatni, gdzie też niezwłocznie udałam się za nią.

Ubrałam się starannie na tę okazję. Z garderoby matki skompletowałam zestaw, który w moim wyobrażeniu kreował mnie na osobę bywałą – wszystko, naturalnie, w granatach. Pamiętałam nawet o starym naszyjniku ze sztucznych pereł. Wyszczotkowałam włosy i nałożyłam szminkę staranniej niż zwykle, uprzednio zaklejając kąciki ust pudrem, żeby się nie rozmazała. Pamiętam te szczegóły, bo jak już wspomniałam, miałam obsesję na punkcie wyglądu. Paradoksalnie, mimo chorobliwego zainteresowania własną aparycją, na co dzień wyglądałam niechlujnie, czasem wręcz w sposób urągający przyzwoitości. „Żenada”, mruczał ojciec. Tego ranka jednak w moim odczuciu prezentowałam się nad wyraz korzystnie, powiedziałabym wręcz elegancko, kiedy szłam w ślad za stukotem obcasów Rebekki po więziennym linoleum.

– Czy możesz mi jeszcze raz pomóc otworzyć zamek? – zwróciła się do mnie, kiedy dotarłyśmy do szatni. – Nie mogę sobie z tym poradzić. – Wyciągnęła szczupłe dłonie w obcisłych rękawiczkach ze skórki w gołębim odcieniu szarości. – Trzymam kciuki.

Podejrzewam, że jej bezradność była dobrze przemyślaną gierką, żebym była na każde jej zawołanie, choć zorientowałam się w tym dopiero później. Chętnie wprowadziłam z wprawą kod, zarumieniona z dumy, jakby mój talent do odblokowania zamka był dowodem jakichś szczególnych cnót.

– Ale skąd znasz moją kombinację cyfr? – dopytywała.

Szafka otwarła się z ostrym szczęknięciem. Cofnęłam się dumna z siebie.

– Wszyscy mają taką samą. Ale nie mów tego starszym paniom, bo dostaną ataku serca.

– Zabawna jesteś – powiedziała, marszcząc nos.

Miała przy sobie aktówkę i małą skórzaną torebkę, z której wyjęła

papierosy i przełożyła do kieszeni swetra. Niesamowicie puszysty sweter – z kaszmiru albo z angory – spowijał ją jak wata cukrowa. W tamten wtorek, kiedy widziałam ją po raz drugi w życiu, jej garderoba łączyła różne odcienie fioletu: lawendę, fiołek, malwę. Gdyby na innej kobiecie ubranie leżało tak perfekcyjnie i wytwornie i było tak niestosowne w miejscu, jakim jest więzienie, uznałabym ją za zdzirę. Nie przyjechała tu przecież na romantyczny obiad przy świecach. Ale Rebecca nie była zdzirą. Była nieziemską istotą. Podziwiałam wytworny ruch, jakim odwiesiła swój płaszcz do szafki.

– Wiem, że nie powinno się nosić futer, ale mam do nich ogromną słabość – powiedziała, przechwytując moje spojrzenie. – Szynszyle. – Pogładziła kołnierz w szafce jak ulubionego kota.

– Nie, nie, ja tylko podziwiałam twoją papierośnicę.

– Tak? Dzięki. Dostałam ją w prezencie. Spójrz, tu są moje inicjały. – Wyjęła z kieszeni i podsunęła mi pod nos prążkowaną srebrną papierośnicę wielkości talii kart.

Miałam ochotę spytać, od kogo ją dostała, ale ugryzłam się w język. Otwarła papierośnicę i poczęstowała mnie papierosem. To był pall mall, gruby, bez filtra, najmocniejszy papieros, jaki miałam w życiu w ustach. Paliłam je potem jeszcze przez kilka lat, niezmiennie podziwiając cudowną maksymę umieszczoną w poprzek znaku firmowego – tarczy trzymanej w łapach przez dwa lwy – *Per aspera ad astra*. Przez ciernie do gwiazd. Uważałam, że ta maksyma zapowiada moją drogę życiową, niestety, okazała się na wyrost. Rebecca podała mi z wdziękiem ogień. Zapalając papierosa dla siebie, przechyliła głowę z namysłem, jak ptak, nieznacznie wsysając policzki. Te nieistotne szczegóły na zawsze wryły mi się w pamięć. Musiałam być nią nieźle zafascynowana. Czułam, że samo to, że ją znam, nobilituje mnie, podnosi z dna na wyższy poziom.

– Nie palę na co dzień – oznajmiłam, krztusząc się, choć miałam w torebce paczkę salemów.

– Brzydki nałóg, ale chyba dlatego go lubię. Co prawda niezbyt twarzowy. Zęby żółkną, o, popatrz. – Przysunęła się do mnie, odchylając palcem dolną wargę, żeby pokazać dziąsła. – Widzisz te przebarwienia? To kawa i papierosy. I oczywiście czerwone wino.

Jednak jej zęby były idealne – drobne i śnieżnobiałe. Dziąsła miała różowe i lśniące, a skóra na twarzy była niewiarygodnie gładka, jak pupa niemowlęcia, delikatna i opalizująca. Czasem spotyka się takie kobiety – piękne, nieskazitelne, z dziecięcą ciekawością w oczach. Policzki miała

krągłe, lecz jędrne. Usta – bladoróżowe, z wdzięcznym wycięciem w górnej wardze – były spierzchnięte. Ta drobna niedoskonałość budziła we mnie rozczarowanie, choć jednocześnie podnosiła na duchu.

– Nie piję kawy, więc powinnam mieć doskonałe zęby – oznajmiłam. – Niestety, mam próchnicę dzięki inklinacji do słodyczy. – W tamtych czasach nie używałam słowa „inklinacja" na co dzień, więc brzmiało w moich ustach niepewnie i bałam się, że Rebecca domyśli się i mnie wyśmieje. Tymczasem jej następne słowa sprawiły, że ze szczęścia serce mało nie wyskoczyło mi z piersi.

– Gdzieżbym śmiała porównywać się z tobą! – Wsparta na biodrach uśmiechnęła się szeroko. – Podziwiam twoją cudowną filigranową figurę. – Już i tak byłam w siódmym niebie, ale ona mówiła dalej: – Ja też, naturalnie, jestem szczupła, ale jestem i wysoka, i szczupła. Wzrost ma swoje zalety, ale większość mężczyzn jest dla mnie za niska. Czy też to zauważyłaś, czy tylko mi się wydaje, że mężczyźni robią się coraz niżsi?

Kiwnęłam głową, mrugając potakująco, bo nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Rebecca włożyła torebkę do szafki i zamknęła drzwi.

– Są jak mali chłopcy. Trudno dziś o prawdziwego mężczyznę czy choćby takiego, który wygląda jak mężczyzna. Powiem ci coś – zająknęła się wdzięcznie. – Zapomniałam kombinacji cyfr do zamka. Ale nie będę cię więcej kłopotać. Na pewno masz ważniejsze rzeczy na głowie. Zapisałam kod i trzymam go w biurku. Muszę tylko trafić do gabinetu, który mi wczoraj przydzielili. W tej sprawie też nie będę cię kłopotać. Powinnam trafić na nosa, po zapachu zwietrzałej skóry. – Urwała. – W sąsiednim gabinecie, u Bradleya, jest prawdziwa kozetka psychoanalityka. – Puściła do mnie oko. – Trąci to Freudem, a więc myszką.

– Bradleya? – Zapomniałam w ogóle o istnieniu następcy doktora Frye'a, łysym doktorze Bradleyu Morrisie. Czy był w oczach Rebekki za niski, czy może widziała w nim prawdziwego mężczyznę? Trudno orzec. Czy coś ich łączyło?

– Ten nowy doktor od czubków – podpowiedziała Rebecca. – Moim zdaniem – często używała tego wyrażenia – sam ma nierówno pod sufitem. Wiesz, co mam na myśli?

Nie byłam pewna. Czy miała na myśli gabinet doktora Morrisa? Czułam się jak jeden z podopiecznych Moorehead, który nie umie wydukać najprostszej odpowiedzi.

– Ma nie po kolei w głowie – dodała gwoli wyjaśnienia, nie doczekawszy się błysku zrozumienia w moich oczach. – Oczywiście żartuję. Wydaje się

bardzo miły.

Nienawidziłam się za mój marny refleks. Chciałam wyjaśnić, że jestem inteligentna, oczytana, byłam w college'u, wiem, kto to Freud, że moja obecność w więzieniu jest pomyłką, że jestem osobą atrakcyjną i nietuzinkową, ale uznałam, że tłumaczenie się obniży jeszcze bardziej moje akcje.

– Nigdy nie byłam w tamtym gabinecie – powiedziałam. – Doktor Frye zawsze go zamykał i tylko chłopcy mieli wstęp do środka.

Nie mogłam się z nią równać błyskotliwością. Nie miałam wdzięku, byłam przyziemna i nudna. Poza dobrą figurą nie miałam nic, czym mogłabym zaimponować Rebecce. Powinnam ją była wypytać o nią samą, o jej plany w Moorehead, co ją skłoniło do pracy w więzieniu, co chciała osiągnąć w życiu, jakie są jej ambicje i marzenia, ale w tamtych latach nawet nie przyszło mi to na myśl. Nie potrafiłam prowadzić konwersacji. Nie wiedziałam, jak się zdobywa przyjaciół.

– Możesz do mnie przychodzić, kiedy zechcesz – oświadczyła mimo to. – O ile, naturalnie, drzwi nie będą zamknięte, co znaczy, że przyjmuję któregoś z chłopców.

– Dziękuję. Zajrzę, kiedy będę w pobliżu – odparłam, jakbym przyjmowała polecenie służbowe.

Wycelowała palcem w mój brzuch.

– Eileen… Dobrze mówię? Eileen?

Oblałam się rumieńcem i kiwnęłam głową.

– Mów mi Rebecca. – Mrugnęła porozumiewawczo i odpłynęła, stukając obcasami.

Mało nie padłam z zakłopotania i ze szczęścia. Zapamiętała moje imię. To wiele dla mnie znaczyło. Na śmierć zapomniałam o aktach Leonarda Polka. Miałam nadzieję, że Rebecca zwróci je z samego rana i pani Stephens nie spyta mnie znienacka, co się z nimi stało. Chwilowo jednak było mi wszystko jedno. Miałam prawdziwą przyjaciółkę – kogoś, kto poznał się na mnie, komu zależało na moim towarzystwie, kogoś, z kim czułam duchową więź. Latami odtwarzałam w pamięci tamtą rozmowę z Rebeccą i pozostałe, usiłując wybaczyć sobie to, co nieuchronnie miało się wydarzyć w najbliższych dniach. Na razie jednak tryskałam szczęściem. Znajomość z Rebeccą była ekscytująca jak lekcja tańca, jak odkrycie jazzu. Czułam się tak, jakbym się po raz pierwszy w życiu zakochała. Przez całe życie czekałam, że moja przyszłość objawi się nagle przede mną jak róg obfitości, i wreszcie czułam, że to nastąpiło, a wszystko dzięki Rebecce. *Per aspera ad astra.*

Musiałam jednak odłożyć na później wspominanie krótkiej rozmowy z Rebeccą, bo był dzień widzeń i należało brać się do roboty. Zanim dotarłam do biurka, na korytarzu zdążył się już uzbierać tłumek zapłakanych matek i dzieci wiercących się niespokojnie na krzesłach. Pamiętam, że jedna matka przyjechała w odwiedziny do dwunastoletniego syna, który podpalił swój rodzinny dom. Był to niski pyzaty szatynek o wielkich stopach; pod nosem sypał mu się wąsik. Zawsze bacznie przypatrywałam się tamtym rejonom twarzy. Jego górna warga przypominała mi moją. Zwykłam rutynowo depilować szczypcami włoski na górnej wardze. Przez czas, jaki spędziłam w życiu na skubaniu w lustrze górnej wargi, spokojnie mogłabym napisać powieść albo nauczyć się francuskiego. Brwi zawsze miałam cienkie i wątłe, dlatego nigdy nie musiałam ich depilować. Słyszałam, że rzadkie brwi świadczą o braku zdecydowania. Osobiście wolę myśleć o tym jako o wrażliwości, gotowości na przyjęcie nieznanego. W czasopiśmie modowym z czapką z kota przeczytałam, że niektóre kobiety podkreślają brwi kredką, żeby robiły wrażenie gęstych, a one same zdecydowanych. Wydało mi się to śmieszne. Stojąc przed pokojem widzeń, waliłam się pięściami po kościstych biodrach – był to rytuał, który budził we mnie poczucie wyższości i mocy.

Kiedy młodociany podpalacz usiadł przy stole naprzeciwko matki, zrobił to, co robili w tej sytuacji wszyscy młodsi chłopcy. Splatali ręce przed sobą, wbijali tępo wzrok w ścianę, nadąsani i nieprzystępni. Ledwie jednak ich wzrok padł na zbolałą twarz matki, wybuchali płaczem. Mały podpalacz wybuchnął płaczem. Jego matka wyjęła z kieszeni chusteczkę i podała mu ją nad stołem. Randy rzucił się do przodu, zasłaniając jedną ręką chłopca, a drugą blokując dłoń matki z chustką.

– Przykro mi – powiedział bezbarwnie. – To niedozwolone.

– Wolno pani uścisnąć go na odchodnym – wtrąciłam się – ale nie wolno mu nic dawać. To dla jego bezpieczeństwa.

Miałam dobrze przećwiczone podobne teksty. Oczywiście przepisy nie miały chronić dzieci przed chusteczkami do nosa. Wiedziałam doskonale, że moje słowa rozmijają się z prawdą. Ale byłam młoda, a państwowa edukacja i mój katolicki ojciec nie wyrobili we mnie własnego zdania; do tego bałam się kary, przesłuchań, napiętnowania, więc przestrzegałam wszelkich reguł Moorehead. Trzymałam się ściśle litery prawa. Co dzień punktualnie odbijałam kartę, przychodząc i wychodząc. Kradłam w sklepach, hołdowałam pewnym perwersjom, kłamałam – i to z upodobaniem – ale nikt nie przyłapał mnie na tym. Tym pilniej przestrzegałam reguł, bo to dobrze świadczyło o moim morale. Sugerowało, że jestem przyzwoita. Że nigdy w życiu nie

zadarłabym spódnicy, żeby wypróżnić kiszki na podłogę. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że przepis zabraniający rodzicom dawania dzieciom czegokolwiek służył tylko temu, żeby pogłębiać rozpacz chłopców. Dyrektor szykanował ich pod byle pretekstem, kierując się niepodważalną logiką. Tylko bardzo cierpiąca dusza jest skłonna do żalu za grzechy, a gdy żal osiągnie wysokie stężenie – rozumował – delikwent skruszeje i nareszcie zapragnie poprawy. Ostatnimi ludźmi na świecie, którym powierzyłabym zreformowanie kogokolwiek, byli dyrektor, doktor Frye i doktor Morris – choć nigdy go nie poznałam – oraz, niestety, Rebecca. Niewykluczone, że była z nich wszystkich najgorsza – niestety, zrozumiałam to poniewczasie. Owszem, na początku spadła mi jak z nieba: była czarująca, władcza, uosabiała wszystko, o czym marzyłam. Na razie jednak żadnych chustek do nosa. Żadnych zabawek, komiksów, czasopism ani książek. Niech sobie dzieciaki popłaczą. Ja też nie zaznałam od nikogo czułości. Dlaczego któryś z chłopców miał mieć więcej i czuć się lepiej ode mnie? Omiotłam wzrokiem krocze Randy'ego, kiedy z pokoju widzeń wychodził na korytarz. Cmoknął zniecierpliwiony, potem ciężko westchnął.

– Dam sobie radę – powiedział mały podpalacz, wycierając twarz rąbkiem bluzy.

Jego matka załkała. Pamiętam, że miała biały szalik, a kiedy się zsunął, okazało się, że skórę na szyi ma pomarszczoną i spuchniętą od żółtych i różowych blizn po oparzeniach. Widzenie zakończyło się, kiedy wskazówka zegara przesunęła się o siedem minut – wizyty trwały siedem minut, co miało chyba jakieś biblijne konotacje – więc skinęłam na Jamesa, który odprowadził podpalacza z powrotem do świetlicy czy gdzie tam należało, żeby zaraz wrócić z kolejnym chłopcem. Randy pilnował drzwi, kiedy na wyjściu odbierałam od płaczącej matki ostatni podpis. Z jej pisma biło wściekłe oburzenie. O ile jej poprzedni podpis był wyraźny i staranny, o tyle teraz litery zdawały się pospieszne, urywane, gniewne. Normalka. Poszkodowani byli wszyscy. Los nikomu nie oszczędził cierpienia. Każda z tych nieszczęsnych matek nosiła jakieś blizny – jak medal za odniesione rany, świadectwo serca pękającego z bólu, że jej dziecko, krew z jej krwi, dorasta w więzieniu. Starałam się tego nie widzieć. Musiałam, żeby nie zwariować, żeby nie utracić chwiejnej równowagi. Kiedy byłam czymś bardzo zbulwersowana, wstrząśnięta, miałam swój sposób, żeby się nie dać. Znajdowałam jakieś puste pomieszczenie i tam zgrzytałam zębami i szczypałam się po sutkach, kopiąc nogami powietrze, jakbym tańczyła kankana, dopóki nie zrobiło mi się głupio i nie zaczęłam się wstydzić. Ta

metoda zawsze działała.

Obserwując, jak Randy skrobie się po łokciu, a potem opiera o futrynę drzwi pokoju widzeń, nagle zorientowałam się, że już się w nim nie kocham. Kiedy patrzyłam na niego oczyma zamglonymi rodzącym się uczuciem do Rebekki, wydał mi się nikim, twarzą w tłumie, szarą i bez wyrazu, jak wyświechtany wycinek z gazety, czytany tyle razy, że się zupełnie opatrzył. Tak działa miłość – potrafi ulecieć w jednej sekundzie. Później też zdarzały mi się podobne sytuacje. Kochanek wychodził z mojego łóżka, jeszcze gorącego od miłosnej ekstazy, żeby napić się wody, a kiedy wracał, zastawał mnie oziębłą, znudzoną, daleką, obcą. Miłość da się czasami wskrzesić, ale blizny zawsze zostają. Drugiej rundzie nieuchronnie towarzyszy podejrzliwość, wyrachowanie, odraza do samego siebie. Niby jest się razem, a przecież nie jest.

Wrócił James, prowadząc, ku mojemu zaskoczeniu, Leonarda Polka. Leonard szedł nonszalancko, nieomal zawadiacko, z rękami skutymi z tyłu kajdankami. Był wyższy, niż przypuszczałam, i miał ten źrebięcy wdzięk, który znika, kiedy kościec w pełni się uformuje. Szedł niespodziewanie sprężystym krokiem. Twarz miał jasną, przytomną i spokojną jak nigdy dotąd; bijący z niej luz i dystans wzbudziły mój szacunek. Emanował zadowoleniem z siebie, a jednocześnie niewzruszoną obojętnością, jakby nic nie mogło wytrącić go z równowagi. To było to niewinne, nieme stworzenie, które niedawno podglądałam, jak dotyka się machinalnie na pryczy. Zajrzałam mu w twarz, żeby sprawdzić, czy nie skrywa czegoś pod maską zadowolenia, ale niczego nie znalazłam. W tej sferze był geniuszem, mistrzem. W życiu nie widziałam równie doskonałej maski.

James prowadził go przy szklanej ścianie poczekalni. Kiedy mijali panią Polk, siedzącą po drugiej stronie szyby, Leonard się uśmiechnął. Wyobraziłam sobie tego chłopca w półmroku sypialni rodziców, jak stoi z kuchennym nożem nad śpiącym ojcem, a światło księżyca błyska nagle na ostrzu, kiedy mocnym, zdecydowanym ruchem podrzyna gardło mężczyzny. Czy to możliwe, by ten młody źrebak był do tego zdolny? Randy wprowadził go do pokoju widzeń, posadził na krześle, rozpiął kajdanki i stanął w drzwiach.

– Pani Polk! – zawołałam.

Kobieta wstała z krzesła i podeszła do mnie. Pierwsze wrażenie mocno zapadło mi w pamięć, choć była całkiem niepozorna. Czarne pomarszczone spodnie opinały się wokół jej tęgich ud, a kolorowy, patchworkowy sweter uciskał biust i rozlany brzuch. Była odrażająca z tą swoją tuszą i niegustownym strojem. Nie była jakoś monstrualnie gruba, ale miała

wypchnięty bebech i zdawała się napuchnięta, zmęczona i nerwowa. Szła wyprostowana, jakby kij połknęła, charakterystycznym kaczym chodem grubasów, niosąc na ręce brązowy płaszcz. Nie miała torebki. Gdy wchodziła do pokoju, zauważyłam biały kłaczek na jej kręconych, teraz ciasno zwiniętych w kok włosach. Używała badziewnej, nietwarzowej szminki w intensywnym odcieniu różu. Studiowałam uważnie jej twarz, zastanawiając się nad poziomem inteligencji. Ponieważ miała nadwagę, brałam ją za idiotkę – nadal podświadomie uważam otyłych za łakomczuchów i debili. A jednak jej jasnoniebieskie przenikliwe oczy miały w sobie coś niepokojącego, podobnie jak oczy jej syna. Widziałam podobieństwo w ich oczach, piegach, pulchnych ustach. Kiedy oddawała płaszcz Randy'emu, żebym mogła ją oklepać z góry na dół, wydawała się zdenerwowana. Moja dłoń z plaśnięciem opadła na jej krzyże – miękkie i rozległe. Stłumiłam dziwny impuls, żeby ją objąć i troszkę pocieszyć. Była nieapetyczna i spanikowana, jak prowadzona na rzeź świnia.

– W porządku – powiedziałam.

Pani Polk odebrała płaszcz od Randy'ego i z rozbieganym wzrokiem usiadła przy stole naprzeciwko Leonarda. Chłopiec uśmiechał się jakby nigdy nic. Patrzyłam to na jedno, to na drugie. O ile Rebecca słusznie węszyła tutaj kompleks Edypa, o tyle moje wyobrażenia na temat kobiet, jakie podobają się młodym mężczyznom, okazały się z gruntu nietrafne: pani Polk była w moich oczach ostatnią osobą, dla której ktoś posunąłby się do morderstwa. Ale Lee Polk mógł być chory umysłowo. Nie sposób było odgadnąć, co kryje się w jego głowie. Na twarzy nie malowało się nic. Nie była to moja kamienna twarz i bezbarwna maska pośmiertna ani nieszczery entuzjazm, w jaki zazwyczaj przyoblekały twarze panie domu i cała rzesza nieszczęsnych, doprowadzonych do szaleństwa kobiet. Ani maska młodocianego mordercy, rezuna, ostrzegająca potencjalnych napastników, że kosa napotka kamień. Ani lukrowana maska mężczyzny, który pozuje na kruchego i delikatnego, jakby miał się rozpaść przy byle dotknięciu. Wyraz spokojnego zadowolenia na twarzy Lee czynił jego maskę perfidnie fałszywą, gdyż nie wyczuwało się w niej nawet cienia fałszu.

Pani Polk, chyba żeby się nie rozpłakać, zacisnęła mocno powieki i zrobiła głęboki wydech. Po chwili splotła dłonie i złożyła je na stole. Właśnie otwarła usta, żeby coś powiedzieć, gdy nagle głośny stukot obcasów z korytarza sprawił, że wszystkie głowy odwróciły się w tamtą stronę. W naszym kierunku sunęła Rebecca, z notesem w jednej i papierosem w drugiej dłoni. Zamarliśmy wszyscy, wpatrzeni w przybliżającą się zjawiskową postać

w gamie bladych fioletów; wokół jej ramion falowała burza ciemnorudych włosów. Emanowała spokojem i powagą; jej palce spoczywały leniwie na notesie niczym jaszczurki na nasłonecznionym kamieniu, jednak czuło się w niej jakieś napięcie. Siliła się na uśmiech, ale jej oczy błyszczały nerwowo. Za zasłoną urody kryła się ludzka, neurotyczna istota, skonstatowałam z ulgą. Uderzyło mnie, że jej nadejście idealnie zbiegło się w czasie z porą widzenia. Czyżby to ona wezwała panią Polk? Co zrobiła z aktami Leonarda? Skinęła głową Randy'emu i mnie, po czym stanęła między nami w progu, opierając notatnik o pierś. Obserwując matkę siedzącą z synem przy stole, pisała ciurkiem, w ogóle nie patrząc w zeszyt. Kiedy papieros zaczął parzyć ją w palce, niedbale strząsnęła popiół na podłogę.

Pani Polk cedziła przez zęby. Nie pamiętam już, co mówiła, ale mówiła niewiele. Coś tam o kuzynach Leonarda, chyba też o jakichś pieniądzach. Nic ważnego. Jej syn milczał. W pewnym momencie pani Polk ciężko westchnęła i wbiła wzrok w ścianę. Próbowałam podpatrzyć, co Rebecca pisze – niestety, gryzmoliła jak kura pazurem. Nie wiedziałam o istnieniu stenografii, więc uznałam, że bazgrze byle co, żeby wyglądało, że coś notuje. Łamałam sobie głowę, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy doktor Frye przychodził przyglądać się wizytom, nigdy nie robił żadnych notatek. Zastanawiałam się, co w ogóle Rebecca tutaj robi. Doktor Bradley dotąd nie zjawił się ani razu.

Po dłuższej chwili milczenia – chłopiec siedział ze wzrokiem wbitym w dłonie matki spoczywające na stole między nimi – pani Polk podniosła głowę i spojrzała Lee prosto w oczy. Miała pionowe bruzdy na obwisłych policzkach, jakby jej twarz była kiedyś większa i pełniejsza, ale skurczyła się i sfałdowała. Zaczęła płakać. Nie pamiętam, co mówiła, ale sens jej słów sprowadzał się do pytania: „Jak mogłeś mi to zrobić?" – zadawanego cichym żałosnym głosem. Potem kaszlnęła i głośno odchrząknęła. Jej dłonie były małe, czerwone i spękane, widziałam je dokładnie, kiedy wyciągała chustkę do nosa. Wytarła nos, a potem zmięła chustkę jak rozzłoszczone dziecko i gwałtownym ruchem wepchnęła ją do kieszeni. W tamtej chwili przypominała mi moją matkę z jej huśtawką nastrojów: w jednej chwili była promienna i rozszczebiotana, a w następnej znikała w piwnicznej pralni, kopiąc po drodze ściany. U pani Polk obserwowałam podobne rozdwojenie: co innego mówiła, co innego robiła. Rebecca przestała bazgrać i stała wsparta na jednej nodze, drugą rozgniatając na podłodze niedopałek. Randy kątem oka przyglądał się jej bezwstydnej, kokieteryjnej stopie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Zaczęła powoli wsuwać ołówek do ust; odwróciłam się dokładnie w chwili, gdy domykała zęby wokół końca z gumką, a na jej języku

pękła bańka śliny. Przeżywałam katusze, widząc wnętrze jej rozchylonych ust, nieskazitelnych, różanych i dziecinnych. Jasne, że Randy wolałby Rebeccę ode mnie. Nie musiałby się zmuszać, żeby ją pokochać. Przyoblekłam moją maskę śmiertelną, konając pod nią ze wstydu. Kiedy siedem minut Lee dobiegło końca, zastukałam w futrynę drzwi, a Randy skinął na Rebeccę, żeby cofnęła się, robiąc przejście dla pani Polk. Przedtem jednak pani Polk nie omieszkała uronić na stół paru łez.

– Obwiniam się o to – powiedziała bardziej do siebie niż do syna.

Lee z obojętną twarzą zerknął na zegar.

Wyszłam za panią Polk, kierując się do sekretariatu, jednak odwróciłam się i zdążyłam zobaczyć, jak Rebecca wchodzi do pokoju widzeń i przysuwa do Lee krzesło, na którym przed chwilą siedziała jego matka. Ledwie zaczęła mówić, twarz chłopca się rozluźniła. Słuchał z pochyloną głową. Miałam wrażenie, jakby między tymi dwojgiem istniała tajemna nić porozumienia; pytanie, od jak dawna. Rebecca była w Moorehead od paru dni, a już przysuwała się do niego blisko, zaglądała mu w twarz, unosząc brwi, patrzyła porozumiewawczo w oczy promiennym wzrokiem. Poprowadziłam panią Polk do blatu, podałam jej pióro i patrzyłam, jak składa podpis: Rita P. Polk. Jej pismo nie było ani trochę gniewne. Było obojętne, nijakie – bez wyrazu. Nie odwróciła się, żeby spojrzeć na syna, tylko zamrugała ciężko powiekami, westchnęła ze znużeniem, jakby podpisywała się na liście, wychodząc z pracy, a potem narzuciła płaszcz na plecy i ruszyła korytarzem do wyjścia. Wyobraziłam sobie, jak po powrocie do domu szydełkuje kolejny koszmarny sweter, klnąc i zgrzytając zębami, kiedy jej spadnie oczko. Było mi jej żal. Czułam, że ta kobieta, ta wdowa, nie ma więcej dzieci.

Zgodnie z procedurą dałam znak Jamesowi, żeby ruszył po następnego chłopca. Ale Rebecca wciąż rozmawiała z Lee. W pewnej chwili odwrócił się od niej, kładąc ręce na stole. W nagłym przypływie odwagi weszłam do pokoju widzeń, by poprosić ich, żeby wyszli. Mogłam wyraźnie odczytać litery wytatuowane na palcach Lee: LOVE. Poczułam głęboki niepokój. W milczeniu patrzyłam, jak Lee nagle zaczyna chlipać, a potem grzbietem dłoni ociera z policzka łzę. Rebecca położyła mu rękę na ramieniu, a drugą, pod stołem, na kolanie. W ogóle się z tym nie kryła. W mojej obecności miała odwagę zbliżać się aż tak bardzo do chłopca, dotykać go, przysuwać się do niego tak, że mógł w każdej chwili zajrzeć jej w dekolt albo podnieść głowę, żeby ich wargi się spotkały. Stałam jak słup soli. Czyżby naprawdę mnie nie widzieli? Jak to możliwe, że chłopiec nie wykręcał się, nie wyrywał? Po prawdzie, wydawał się całkiem zrelaksowany. Jak miałam im przerwać?

Spuściłam oczy. James wrócił z następnym chłopcem i zastukał delikatnie w futrynę.

– Przepraszam – wydusiłam z siebie. – Trzeba już zwolnić pokój.

– Naturalnie – powiedziała Rebecca. – Możemy kontynuować w moim gabinecie – zwróciła się półgłosem do Lee. – Napijesz się coca-coli?

Lee kiwnął głową.

– Zaraz każę przynieść.

Kiedy wstali, Randy podszedł do nich z kajdankami.

– Dziękuję, dam sobie radę.

Wzięła Lee za ramię i poprowadziła korytarzem, mijając czerwonego na twarzy Jamesa, który całkiem zdębiał i ocknął się dopiero, kiedy chrząknęłam znacząco, wskazując wzrokiem chłopca, którego przyprowadził. Patrzyłam za tamtymi dwojgiem: Lee szedł teraz zupełnie swobodnym krokiem. To było niesamowicie dziwne i denerwujące, bo nie miałam pojęcia, co się dzieje, a Rebecca wydawała się bardziej zainteresowana małym Polkiem niż mną.

Do końca pory odwiedzin odgrywałam w myślach tę scenę: Rebecca z płaszczem włosów spływających na ramiona przysuwa się do Polka tak blisko, że Lee czuje zapach jej szamponu i perfum, jej pot i jej oddech. Ona z kolei czuje jego reakcje, jego rękę napinającą się pod jej dłonią, jego pierś wznoszącą się i opadającą w oddechu, bijące od niego ciepło. Ale ta ręka na kolanie – to koniec świata. Czy gdyby mnie tam nie było, gdyby byli sami, ta ręka zaczęłaby macać Lee po udzie, powędrowałaby do góry po wewnętrznym szwie spodni, delikatnie domknęła się wokół jego okolic intymnych? Czy Lee odgarnąłby włosy Rebekki i z rozchylonymi ustami upajałby się aromatem jej szyi? Czy całowałby ją po szyi, ujmując jej twarz w swoje prawie męskie dłonie, gładziłby palcami podpisanymi LOVE jej smukłe nadgarstki, a potem powędrował po jej ramionach do góry, aż do piersi, całując ją, przygarniając do siebie i tuląc w objęciach jej ciepłe, delikatne ciało? Jak daleko by się posunęli?

Puściłam wodze fantazji na całego, najpierw zazdrosna o Rebeccę, potem o Lee, a potem i o nią, i o niego, kiedy uprzytomniłam sobie, jak mnie wspólnie zdradzili, tak, zdradzili, bo w międzyczasie zdążyłam już przyzwyczaić się do myśli, że Rebecca jest moja. Była moją nagrodą pocieszenia. Była moim biletem w świat. Jej zachowanie wobec młodego Polka stawiało moje plany pod znakiem zapytania. Czy tego właśnie uczyli ją w Harvardzie – zjednywania sobie młodocianych przestępców wdziękiem i czułością, by następnie ich edukować? Może to było jakieś nowomodne podejście, za którym stała zaawansowana logika? Ale im dłużej się

zastanawiałam, tym bardziej to wszystko wydawało mi się podejrzane. Co do niego mówiła? Jak bardzo mogli się zbliżyć do siebie w ciągu tych paru dni? Jakim gestem lub słowem zdobyła jego zaufanie? Próbowałam sobie ich wyobrazić w gabinecie Rebekki. Chciałam wiedzieć, co się tam dzieje. Korowód odwiedzających przesuwał się. Cierpiałam męki odrzucenia. Użalałam się nad sobą. Pomyślałam, że powinnam z miejsca odejść z Moorehead, żeby oszczędzić sobie dalszych katuszy. Kolejny raz wyobrażałam sobie, że rozpędzonym dodge'em spadam z urwiska na nadmorskie skały. Czyż nie byłoby to cudowne? Wreszcie pokazałabym wszystkim figę: ani myślę być dalej niewolnicą cudzych reguł. Wolę umrzeć niż żyć pośród was, brać udział w owczym pędzie, jeździć po waszych zakichanych ulicach, godzinami pokutować w waszym zakichanym więzieniu – co to, to nie. Stałam na posterunku bliska płaczu. Nastroju nie mógł mi poprawić nawet Randy, pachnący dymem i wypastowaną skórą.

Nagle mój wzrok padł na notatnik, który Rebecca zostawiła na parapecie obok stołu. Po wyjściu ostatniego odwiedzającego natychmiast złapałam zeszyt i poszłam do gabinetu Rebekki, zadowolona, że mam pretekst, by sprawdzić, co się tam wyprawia. Liczyłam na to, że Lee wciąż u niej siedzi i przyłapię ich na gorącym uczynku. Trudno powiedzieć, czego konkretnie się spodziewałam, ale przytknęłam ucho do drzwi, próbując wyłowić ewentualne jęki i westchnienia czy co tam robią ludzie, kiedy się pieprzą. Jeśli się kochali, to robili to gładko i bezgłośnie, jak zgrana parka rzezimieszków, bo nie było nic słychać. Zastukałam do drzwi gabinetu.

– O, Eileen – zaszczebiotała, otwierając. – Wszystko w porządku?

Zrobiłam krok do tyłu, czując się idiotycznie, jak jakiś natręt. Wzięła ode mnie notatnik, podziękowała. Miała nadzieję, że nie czytałam jej zapisków.

– Nigdy w życiu. – Nawet gdybym chciała, nic bym nie wskórała, bo nie szło słowa odczytać z jej gryzmołów.

– Żartuję. – Roześmiała się. – To mój sekretny pamiętnik. – Przycisnęła zeszyt do piersi.

Śmiała się w jakiś szczególny sposób: najpierw odrzucała głowę do tyłu, eksponując gładki, krągły podbródek jak z białej porcelany i przymykając oczy w euforii, by zaraz gwałtownie je otworzyć – oczy uwodzicielki, piękne oczy – a na koniec pochylić lekko głowę do przodu z uśmiechem życzliwej kpiny. Odwróciłam się, żeby odejść, ale zatrzymała mnie, kładąc dłoń na moim ramieniu. Od lat nikt nie dotykał mnie w ten sposób. Dreszcz przeszedł mi po plecach. Natychmiast wybaczyłam jej to, że mnie zdradza z młodym Polkiem. Słyszałam, jak pokasłuje w głębi gabinetu.

– Jedno słówko, Eileen. Co byś powiedziała na to, żebyśmy wpadły gdzieś na koktajl wieczorem? Nie znam nikogo w tym diabelnym mieście i z rozkoszą postawię ci koktajl, jeśli nie pękasz.

Sposób, w jaki mówiła, był tak sztuczny i wydumany, że postanowiłam nie pozostać jej dłużna. „Jedno słówko". Kto dziś używa takich wyrażeń? „Koktajl". Było w niej coś nieszczerego, zorientowaliście się już, prawda? Była straszliwie pretensjonalna, a później, z perspektywy czasu, dostrzegłam, jak obrażała moją inteligencję, wciskając mi podstępnie swój kit. „Diabelny" kit. Ale w pierwszej chwili myślałam, że dostąpiłam zaszczytu przyjęcia do elitarnego grona wybrańców. Czułam się mile połechtana. Byłam też mocno skołowana. W życiu nie złożono mi podobnej propozycji, więc byłam zachwycona, ale i stremowana, jakby mi ktoś znienacka wyznał miłość. Zalała mnie fala wdzięczności. W jednej chwili zapomniałam o ojcu i moich wieczornych obowiązkach.

– Okej.

– Okej? To znaczy, że uległaś moim naciskom? – zażartowała. Leciutko uchyliła drzwi i teraz widziałam Lee Polka, który siedział na krześle po drugiej stronie jej biurka, przeglądając wielką książkę z obrazkami. Kiedy mnie zauważył, podniósł książkę, zasłaniając twarz.

– Jasne. Może o siódmej w O'Hara's? – Byłam zaszokowana łatwością, z jaką te słowa wypłynęły z moich ust. Miałam nadzieję, że maska pośmiertna nie zawiodła mnie i mówię nonszalanckim tonem.

O'Hara's była mroczną speluną z drewnianymi boksami odwiedzaną przede wszystkim przez przedstawicieli klasy robotniczej. Klientelę stanowili głównie gliniarze, strażacy i dokerzy; ci ostatni cuchnęli niemożliwie potem i solą. Dwie samotne kobietki w takim miejscu będą obiektem co najmniej dwuznacznych spojrzeń. Ale ja nie pękałam. Byłam naiwniaczką, byłam popychadłem, ale nie byłam tchórzem.

– To jedyny pub w mieście – zaznaczyłam.

– Brzmi zachęcająco – mruknęła Rebecca. Uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Do zobaczenia więc. Siódma, mur-beton. Dobrze powiedziałam? Mur-beton? – Zamknęła mi drzwi przed nosem.

Zaproszenie było nie lada wyzwaniem. Musicie pamiętać, że byłam durną staroświecką frajerką, do tego tchórzem. Nigdy nie wychodziłam sama wieczorem. Nawet potańcówki w college'u były nadzorowane, a wśród moich koleżanek z akademika panowało przekonanie, że ta, która odłączy się od stada, jest dziwką, puszczalską, chutliwą jawnogrzesznicą, osobą niekulturalną i złą. Odwiedziny w lokalu typu O'Hara's raczej nie były

zalecane. Ale skoro Rebecca decydowała się na to, to ja też. Co miałam do stracenia? Wyszłam z pracy wcześniej, żeby zdążyć dojechać do domu i się przebrać. Chciałam włożyć sukienkę, pomalować się i spryskać perfumami matki, oczywiście bez wielkiego pindrzenia się. Kiedy kobieta jest przesadnie wysztafirowana, to albo jest gdzieś po raz pierwszy, albo jest wariatką.

Ja nie byłam po raz pierwszy w O'Hara's. Sandy, barman, tęgi, ospały mężczyzna z głębokimi kraterami po trądziku na twarzy i złotym krzyżykiem na szyi, lubił flirtować. Bywałam w tym miejscu dziesiątki razy, najpierw jako mała dziewczynka wysyłana, żeby wyrwać ojca z popijawy z kolegami po służbie – matka czekała na nas w samochodzie – a później jako jego trzeźwa towarzyszka, kiedy pił, odmawiając powrotu do domu. Szczególnie zapadł mi w pamięć pewien jesienny wieczór, kiedy wróciłam z college'u na weekend i matka wysłała mnie do pubu, żebym przywiozła ojca. Kiedy wracaliśmy do domu w świetle księżyca, oparł mi głowę na ramieniu i zaczął mówić, że jestem dobrą dziewczynką, że mnie kocha, że przykro mu, że nie umie być lepszym rodzicem, że wie, że zasługuję na prawdziwego ojca. W pierwszej chwili dałam się rozmiękczyć, ale potem jego dłoń zaczęła wędrować w stronę mojej piersi. Strąciłam ją bez walki.

– Coś ty taka niedotykalska, Joanie – mruknął, wciskając się w swój fotel.

Nigdy nikomu o tym nie wspomniałam.

Tamtego dnia przed wyjazdem z Moorehead dopiłam wermut, który trzymałam w szafce. A potem pojechałam do alkoholowego po dżin i piwo dla ojca, i nową butelkę wermutu dla siebie. Chciałam sobie chlapnąć przed spotkaniem z Rebeccą w O'Hara's, bo byłam mocno spięta. W domu postawiłam torbę z dżinem obok ojca, który spał na fotelu z twarzą wciśniętą w poduszkę; marszczył czoło, unosząc brwi, jego ciało było pokracznie powykręcane pod flanelowym szlafrokiem. Pobiegłam do prysznica na palcach. Gwoli wyjaśnienia: nie byłam lesbijką, ale Rebecca mnie przyciągała, byłam spragniona jej uwagi i aprobaty, podziwiałam ją. Można powiedzieć, że mnie kręciła. Czułam się, jakbym szła na spotkanie z Marlonem Brando, Jamesem Deanem, Elvisem, Marilyn Monroe. W tak doborowym towarzystwie każdy normalny człowiek chciałby wyglądać porządnie, pachnieć ładnie. Bałam się, że Rebecca może przysunąć się do mnie jak do Polka i wyczuć, że nie podmyłam się, a mam miesiączkę. Może już to poczuła, tylko nie dała nic po sobie poznać? Jak w tej sytuacji rozpoznać, czy poczuła, i co mam robić, żeby po sobie nie pokazać, że wiem, że poczuła? Wszystko przez te nieszczęsne okolice intymne. Gotowość mojego ciała do rodzenia wydawała mi się czymś wulgarnym, oznaką braku klasy;

czułam, że gdyby Rebecce przeszło przez myśl, że mam menstruację, byłoby po mnie. Nie przeżyłabym tego. Takie to właśnie myśli chodziły mi po głowie, kiedy się zajadle szorowałam.

Po wyjściu spod prysznica zawinęłam włosy w turban z ręcznika i nasłuchiwałam, jak ojciec tłucze się na dole, licząc na to, że uda mi się wykraść z domu bez rozmawiania z nim. Wieczorna cisza w domu, zakłócana tylko cichym buczeniem rur i wyciem wiatru za oknem, upajała mnie jak muzyka. Jak zwykle, ubierając się, skorzystałam z garderoby mamy, wybierając to, w czym czułam, że jest mi do twarzy – czarną sukienkę z golfem, z wełenki, i złotą broszkę w kształcie wieńca z liści. Uczesałam włosy, wciąż jeszcze wilgotne, pomalowałam usta nową szminką, wciągnęłam kolejną parę kradzionych pończoch, wreszcie postałam chwilę sfrustrowana przed szafką z butami matki, które były na mnie o pół numeru za duże. Nie miałam żadnych własnych butów z wyjątkiem znoszonych półbutów i botków, więc wybór padł na botki. Czułam się w nich głupio i niezdarnie, ostatecznie jednak była zima. Z kolekcji zimowych okryć matki wybrałam czarną pelerynę, potem złapałam jeszcze torebkę, zamknęłam cicho drzwi i wybiegłam do samochodu. Był taki mróz, że do chwili, kiedy ruszyłam z podjazdu, włosy zdążyły mi zamarznąć w pasemka, które szeleściły przy uchu jak martwe odwłoki owadów, gdy wstrzymując oddech, jechałam przy zasuniętych szybach. Zaparkowałam pod zepsutą latarnią naprzeciwko O'Hara's, poprawiłam szminkę w lusterku wstecznym i ślizgając się, ruszyłam do pubu.

Kiedy otwarłam drzwi, znalazłam się w ciepłym zgiełkliwym mroku; zobaczyłam Rebeccę siedzącą z nogą założoną na nogę na wysokim stołku barowym naprzeciwko boksu, w którym tłoczyła się grupka młodych niechlujnych mężczyzn. Wyglądali na lekko spoconych i uśmiechali się wstydliwie, gapiąc się w kufle. Każdy miał obowiązkowo grubą kurtkę w szarą, niebieską bądź czerwoną kratę, a na głowie albo obcisłą wełnianą czapkę, albo papachę – ich twarze były rumiane i spierzchnięte od wiatru, słońca i mrozu. Słuchali uważnie Rebekki, która mówiła coś, czego nie mogłam dosłyszeć w zgiełku.

– O, Eileen! – zawołała tylko, przebijając się głosem przez dym i kolędy z szafy grającej. Śpiewał Frank Sinatra albo Perry Como – nigdy nie potrafiłam ich odróżnić.

Boks pełen mężczyzn zamarł; kiedy podchodziłam do Rebekki, ich spojrzenia spoczywały jednak nie na mnie, lecz na niej. Mimo to czułam się kimś ważnym, niczym jakaś celebrytka. Rebecca odwróciła się na stołku,

ignorując swoich wielbicieli, i pomachała do mnie, jakbyśmy były najdroższymi przyjaciółkami, które spotykają się wreszcie po okrutnej rozłące, jakby stała wzruszona przy burcie transatlantyku, sycąc oczy moim widokiem, tak wiele miała mi do powiedzenia. Piła martini; próbowałam podpatrzyć, jak trzyma kieliszek, odrywając od szkła wskazujący i mały palec, niczym na wytwornym koktajl party. W O'Hara's wyglądała jak przybysz z innej planety. Była ubrana tak samo jak w pracy, ale włosy zaplotła w warkocz. Płaszcz przerzuciła przez siedzenie sąsiedniego stołka barowego. Kiedy już byłam blisko, odwróciła się i zdjęła płaszcz, dokładając go do futrzanej czapki i skórzanych rękawiczek.

– Zarezerwowałam oba stołki na wypadek, gdyby ktoś chciał się dosiąść; wiesz, o czym myślę. Siadaj, proszę. Czego się napijesz?

– Chyba mam ochotę na piwo.

– Piwo, jak miło.

Czuło się, że piwo jest dla niej obcym trunkiem. Nie ulegało wątpliwości, że pochodzi z tak zwanej dobrze sytuowanej rodziny, na tyle dobrze, że mogła mieć w nosie, co inni o niej myślą. To nie pieniądze popychały ją do czynu, lecz coś innego – może jakiś odrębny system wartości? Ale mimo wyraźnej swobody i wyrafinowania osoby pochodzącej z wyższych warstw, a przynajmniej o wiele wyższych od warstwy, do której zaliczałam się ja i klientela O'Hara's, sprawiała wrażenie osoby mocno stąpającej po ziemi. To chyba te jej piękne włosy, ciemnorude, nieokiełznane, dzikie, najbardziej sprawiały, że nie sposób było pomawiać ją o snobizm. Sandy podszedł do nas, wycierając dłonie w ścierkę, którą potem przewiesił przez rękę. Wsparty łokciem na barze nachylił się w stronę Rebekki.

– Co teraz podać, ślicznotko? – zagadnął, nie zwracając na mnie uwagi.

Rebecca ledwie raczyła na niego spojrzeć. Ku mojemu zdziwieniu położyła dłoń na mojej dłoni. Jej ręka była gorąca, delikatna.

– Boże, jesteś zmarznięta na kość! W dodatku masz mokre włosy! Jedno piwo poproszę – zwróciła się do Sandy'ego – i kusztyczek whisky, żeby rozgrzać koleżankę. I jak, w porządku? – Uśmiechnęła się do mnie. – Strasznie się cieszę, że dotarłaś. – Uścisnęła moją dłoń i odchyliła się do tyłu, studiując mnie bacznie z zabawnym wyrazem twarzy. A kiedy zdjęłam pelerynę, powiedziała: – No, no, wyglądasz szałowo…

Spiekłam raka. Wcale nie wyglądałam szałowo. Prawiła mi komplementy, co mnie krępowało. Wychyliłam whisky.

– Bałam się, że tu nie trafię, ale udało się – świergotała, machając ręką w stronę sterczącej ze ściany głowy rekina młota. – Czy to nie zabawne?

Prawdę mówiąc, to smutne. No, może smutne to za dużo powiedziane – paplała.

Mężczyźni wyszli z boksu i stali teraz, opierając się o bar, przy Rebecce, ale ona nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Ktoś wrzucił monetę i szafa zagrała *Mr Lonely* Bobby'ego Vintona. Nie cierpię tej piosenki. Sączyłam piwo małymi łyczkami, podczas gdy Rebecca narzekała na zimno, na gołoledź, na zimy w Nowej Anglii. Byłam zadowolona, że mogę po prostu siedzieć przy niej, być z nią i słuchać, jak mówi.

Po paru minutach obrzuciła mnie bacznym spojrzeniem.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Wszystko w porządku. – Patrzyła na mnie wyczekująco, więc czułam się zobowiązana dorzucić coś jeszcze. – Coś jest nie tak z moim samochodem. – Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. – Musiałam jechać z opuszczonymi szybami, bo inaczej w środku zbierają się spaliny.

– Z tymi rzeczami nie wolno żartować. Musisz się koniecznie napić jeszcze whisky. – Skinęła na Sandy'ego, pokazując nasze puste kieliszki. – A mąż nie może tego naprawić?

– Nie mam męża – odparłam półgębkiem, żeby Sandy nie usłyszał. Na kilometr było widać, że nie mam męża. Rebecca tak się tylko wygłupiała.

– Wolę z góry niczego nie zakładać. Niektórzy ludzie są uprzedzeni wobec niezamężnych kobiet – stwierdziła. – Osobiście nie wiem, o co ten cały szum. Sama jestem singielką. Nie interesuje mnie małżeństwo, ot co. – Postukała paznokciem w nóżkę kieliszka.

– Lepiej nie mów o tym przy tych kolesiach. – Zaśmiałam się, rozbawiona własnym dowcipem. Przyglądałam się spod oka mężczyznom, którzy mruczeli do siebie pod nosami, jakby chcieli coś rozważyć, zanim podejmą decyzję. Wszyscy wydawali mi się znajomi – mogli być znajomymi Joanie – ale nie wiedziałam, jak się nazywają.

– Wiesz, że jesteś paradna – paplała dalej Rebecca. – Zawsze byłam singielką. A kiedy jestem z facetem, to krótko, tylko żeby się zabawić. Nie lubię wiązać się z żadnym miejscem ani osobą. Jedni widzą w tym *modus vivendi*, inni patologię, zależy, z kim rozmawiam. – Urwała, patrząc na mnie wymownie. – Czy raczej do kogo mówię, paplam, trajkoczę. – Wytrzeszczyła komicznie oczy.

– Do Eileen – odparłam prostodusznie i zarumieniłam się dopiero po chwili, kiedy dotarło do mnie, że Rebecca pije do mojej małomówności.

Byłam zadowolona, że nie jest zamężna ani nie ugania się za facetami. Tym właśnie zajmowały się dziewczęta w tamtych czasach: polowaniem na męża.

Ciekawe, czy wyszła kiedykolwiek za mąż? Najchętniej wyobrażam ją sobie z jakimś niewysokim safandułą – najlepiej Żydem – bo czuję, że dobrze by jej zrobił inteligentny, spokojny introwertyk, odporny na jej gadulstwo i dowcipne riposty. Ktoś, kto potrafiłby ją wziąć w cugle. Sandy postawił przede mną nowy zestaw drinków.

– Proszę dopisać do mojego rachunku – powiedziała Rebecca, celując palcem w mój kieliszek i kufel.

– Tamci płacą. – Sandy skinął głową w stronę boksu.

– O nie, tylko nie to – zaprotestowała. – Mowy nie ma. Tu jest zaliczka. – Pchnęła banknot dwudziestodolarowy przez ladę.

Sandy nie tknął go i przyrządził Rebecce następne martini, zapewne drugie w jego życiu. Zapamiętałam wyraźnie sceny z pubu i opisuję, żeby wyjaśnić, co stanowiło o nieodpartym uroku Rebekki i jak udało jej się zdobyć moje zaufanie. Najpierw roznieciła moją zazdrość, potem gasiła ją umiejętnie lekceważeniem mężczyzn w pubie i mężczyzn w ogóle, uśpiła moje podejrzenia, że coś ją łączy z Lee Polkiem, i uspokoiła obawy, że mogłaby mi odbić Randy'ego. Podniosła kieliszek do ust i postukała palcem w banknot, który wciąż leżał na barze.

– Mam dość mężczyzn z tymi ich pieniędzmi. – Dobrze wiedziała, co mówić. – Ale już dosyć o mnie. Powiedz coś o sobie. Od jak dawna pracujesz w Moorehead?

– Trzy, cztery lata? – Nagle straciłam rachubę. W obecności Rebekki moja przeszłość robiła się dziwnie płaska. – Miałam tu być tylko przejściowo, kiedy na czas choroby mamy wróciłam do X-ville. Ale potem mama umarła, a ja zostałam w więzieniu. I tak jakoś zleciało – powiedziałam ze sztucznym entuzjazmem.

– O Boże, to straszne. – Pokręciła głową. – To brzmi naprawdę koszmarnie. Więzienie to nie jest odpowiednie miejsce do zabijania czasu. Dobry Boże. Do tego mama ci umarła? Pewnie chciałabyś się stąd wyrwać, co?

– Dobrze mi tutaj – zełgałam, sięgając po piwo.

– Nie uwierzysz, ale ja też jestem sierotą.

Jakoś nie miałam ochoty wyrywać się z informacją, że ojciec jeszcze żyje.

– Moi rodzice umarli, kiedy byłam mała. Utonęli – wyjaśniła. – Wychował mnie wujek na słonecznym Zachodzie. Nie mogę pojąć, jak znosicie tutaj rok w rok tę zimę. Te obrzydliwe ciemności i piekielny ziąb doprowadzają mnie do szaleństwa. – Rozgadała się o oceanie, o tym, jak kocha plaże. Jako dziecko całymi dniami bawiła się na słonecznej plaży itepe, itede. A potem opowiedziała o przeprowadzce do Cambridge, o tym, jak wiosłowały

z koleżankami po Charles River. Wychwalała zieleń, historię, wyśmiewała się z tamtejszych intelektualistów, nazywając ich „sztywniakami". Oznajmiła, że jest „paradoksalnie zakochana w Nowej Anglii". Nie wspomniała słowem o studiach na Harvardzie ani o swoim życiu zawodowym. – Tutaj wszystko jest jakby bardziej realne, nie uważasz? Tu nie ma miejsca na fantazjowanie i sentymenty. To właśnie mnie frapuje. Mimo że czuje się tutaj chwałę przeszłości i powiew historii, ludziom jakby brakuje wyobraźni.

Zamieniłam się w słuch. Miałam whisky i piwo, i Rebekkę, więc było mi wszystko jedno, co sądzi o moich rodzinnych stronach. Ograniczałam się do potakiwania. Naturalnie, głęboko się myliła. My, mieszkańcy Nowej Anglii, może nie grzeszymy polotem, ale głowy mamy nie od parady. Potrafimy sensownie zaprząc wyobraźnię do roboty. Nie marnujemy umysłów na jakieś metafizyczne rojenia czy inne fiu-bździu, ale nie sposób zarzucić nam braku fantazji. Mogłam przytoczyć całą listę filozofów, pisarzy, malarzy. A poza wszystkim ja tu mieszkałam. Jednak rzadko otwierałam usta. Siedziałam tępo, kręcąc stopą w takt muzyki.

– Wybacz – podjęła po chwili. – Za dużo wypiłam, a wtedy robię się gadatliwa.

– Nie ma sprawy. – Wzruszyłam ramionami.

– Lepsze to niż zbytnia małomówność. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Żartowałam. – Zakręciła się na stołku, trącając mnie kolanami znacząco, zanim zdążyłam się obrazić. – Prawdziwym milczkiem jest Leonard Polk. Widziałaś go dzisiaj?

Potaknęłam. Zbieżność zainteresowania Rebekki Polkiem z nagłą wizytą jego matki w Moorehead wciąż wydawała mi się dziwnie podejrzana, ale nie czułam się uprawniona do zadawania pytań. Ostatecznie byłam tylko sekretarką.

– Co sądzisz o tej scenie między nim a matką? – Spojrzała na mnie z ukosa. – Też czułaś w niej coś dziwnego?

Wzruszyłam ramionami. Chyba nadal było mi wstyd, że podglądałam go w norze. Na samo wspomnienie jego postaci widzianej przez okienko w żeliwnych drzwiach serce zaczynało mi żywiej bić w piersi – te uwijające się pod kombinezonem dłonie, półprzymknięte, ociężałe powieki. Choć byłam w miejscu publicznym, i to z Rebeccą, ogarnęło mnie podniecenie. Podniecenie i wstyd – dla mnie jedno nie mogło istnieć bez drugiego.

– Diabli go wiedzą. Może milczy, bo nie miał nic ładnego do powiedzenia. Wiesz, jak to się mówi do dzieci: milcz, jeśli nie masz nic ładnego do powiedzenia.

– Naprawdę tak się mówi? – Skrzywiła się zniesmaczona. – Zastanawiałam się, czy Lee nie ukrywa czegoś albo czy nie złożył ślubów milczenia na znak protestu, że go zamknięto. A może chodziło mu tylko o to, żeby dręczyć matkę, dopiec jej, skoro mu się nie udało także jej poderżnąć gardła? Jak dobrze wiesz, przejrzałam jego kartotekę.

– Może masz rację. Nie ma chyba gorszej kary jak to, że ktoś nie chce z tobą rozmawiać. Mnie to w każdym razie doprowadza do szału. – Darowałam sobie informację, że mój ojciec całymi dniami potrafi patrzeć przed siebie szklanym wzrokiem, jakby mnie nie było, milcząc zawzięcie mimo moich błagań: „Powiedz, za co mnie tak karzesz? Co ci takiego zrobiłam?”.

Rebecca nie nalegała na dalsze wyjaśnienia.

– Czy wyczułaś gniew w pani Polk? – spytała.

– Była zmartwiona. Matki są zawsze zmartwione. – Zastanawiałam się, do czego Rebecca zmierza.

– Może milczy dla jej dobra? Z litości, rozumiesz? – Przekrzywiła głowę, patrząc mi badawczo w twarz.

Nie nadążałam za jej tokiem myślenia, ale kiwnęłam głową, siląc się na uśmiech.

– Zamiast kłamać, po prostu milczy. – Zanurzyła palec w kieliszku i possała go. – Powiem ci coś, ślicznotko.

Spłonęłam rumieńcem.

– Niektóre rodziny są tak chore i porąbane, że jedynym lekarstwem jest śmierć któregoś z jej członków.

– Z chłopcami zawsze jest kłopot. – Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Rebecca roześmiała się tylko.

– To samo powiedział mi dziś po południu dyrektor, kiedy pytałam go o Leonarda.

Zaskoczyła mnie tą informacją. Dopiła martini, a potem okręciła się na stołku, znowu zwracając się twarzą do mężczyzn w boksie. Wyzywającym gestem zapaliła papierosa, wydmuchując z ust słup dymu pod sam sufit.

– Spytałam go – podjęła głośniej, zezując na mężczyzn, którzy oniemiali otarli usta, a potem jakby życie w nich wstąpiło – czym Leonard zasłużył sobie na tyle dni w tej, jak mówicie, norze. Powiedział mi, słowo w słowo, to co ty, Eileen: „Z chłopcami zawsze jest kłopot”. – Położyła rękę na moim kolanie i zostawiła ją tam, jakby to było jej miejsce postoju. – Podejrzewam, że wykroczenie miało coś wspólnego z seksem. Musiał zrobić coś nieprzyzwoitego. Nam, dziewczętom, nie mówi się o takich sprawach.

Leonard wygląda mi na to. Wiesz, o czym mówię?

Oczywiście byłam wstrząśnięta. Ale wiedziałam dokładnie, o czym mówi. Dzień wcześniej miałam okazję podziwiać przez okienko jeden z przykładów.

– Wiem.

– Tak też myślałam. – Puściła do mnie oko i uszczypnęła w udo.

– Przypomnij nam, jak ci na imię! – wrzasnął jeden z mężczyzn, przerywając nasze intymne chwile.

Rebecca zdjęła rękę z mojego kolana, przytknęła ją do serca i powiodła dookoła wzrokiem niewiniątka.

– Ja? – spytała, zakładając odwrotnie nogę na nogę.

Mężczyźni poruszyli się nerwowo na krzesłach.

– Jestem Eileen, a to moja koleżanka. – Podniosła moją dłoń, wciąż jeszcze zmarzniętą na kość, leżącą bezczynnie na podołku. – Znacie moją koleżankę?

– Jak się nazywasz, malutka? – zagadnął mnie jeden z chłopaków.

Nie uwierzycie, jaki miałam ubaw, siedząc w towarzystwie Rebekki i całego stolika mężczyzn gotowych na każde skinienie; takie przynajmniej sprawiali wrażenie.

– Powiedz chłopcom, kochanie, jak się nazywasz – ponagliła mnie Rebecca, puszczając do mnie oko. – Koleżanka jest dzisiaj nie w sosie. No, mów śmiało, Rebecco. Panowie cię przecież nie zjedzą.

– Ten bez zęba to Jerry, jakbyście chciały wiedzieć – wyjaśnił pierwszy. – Pokaż im, Jerry.

Jerry, który siedział najbliżej mnie, uśmiechnął się, zadzierając górną wargę, żeby zademonstrować komiczną szczerbę.

– Już dosyć, Jerry – zmitygował go pierwszy, klepiąc po plecach.

– Jak się tego dorobiłeś, Jerry? – zainteresowała się Rebecca.

Sandy postawił na barze następną kolejkę dla nas. Szybko załatwiłam ciąg dalszy. Miałam dość mocną głowę, ale jak raz zaczęłam pić, nie mogłam przestać. W tamtej chwili byłam już raczej pijana.

– Biłeś się z żoną? – zażartowała.

Mężczyźni ryknęli śmiechem.

– Dokładnie jak mówisz. Jego stara potrafi przyładować jak Joe Frazier.

– Coś takiego. – Rebecca pokiwała głową, odwróciła się, żeby wziąć martini, i znów puściła do mnie oko. – Zdrowie Jerry'ego – wzniosła toast.

Mężczyźni podnieśli kufle i kieliszki, wiwatując. Kiedy zapadła cisza, podczas której każdy wychylił swój kielich, rozejrzałam się po wszystkich, zaszokowana moją nową pozycją w życiu. Oto byłam wielką panią, podziwianą i adorowaną.

– Słuchajcie, panowie, czy któryś z was potrafiłby naprawić rurę wydechową? – zagaiła Rebecca. – Wyglądacie na zmyślnych chłopaków.

– Coś nie tak z twoim samochodem? – spytał Jerry, sepleniąc.

– Nie moim, tylko koleżanki. Powiedz im, co się dzieje.

Pokręciłam nerwowo głową, zasłaniając się szklanicą piwa.

– Jak masz na imię, laluniu? – spytał jeden z mężczyzn.

– Rebecca – odpowiedziałam.

Rebecca roześmiała się.

– Zatańczymy, Rebecco? – zwróciła się do mnie.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki szafa zaczęła grać. Odstawiłam kufel. Sama nie wiem, skąd nagle znalazłam w sobie odwagę do tańca. Nigdy dotąd nie tańczyłam. Naturalnie, byłam pijana, ale mimo wszystko zaskakuje mnie łatwość, z jaką Rebecca poderwała mnie ze stołka. Przeniosłyśmy się na wolny kawałek podłogi obok szafy grającej. Wzięłyśmy się za ręce. Pozwoliłam jej prowadzić, chichocząc i przystając co chwila, żeby zakryć zawstydzoną i rozradowaną twarz. Bujałyśmy się na boki albo machałyśmy rękami, jak w shimmy. Tańczyłyśmy tak dobrą godzinę, najpierw do skocznych, wesołych melodii, później walcując do wolniejszych, miłosnych kawałków, z początku dla wygłupu, jednak potem pozwoliłyśmy się zahipnotyzować upojnej, rozkołysanej nucie. Patrzyłam z niedowierzaniem na poważną, melancholijną twarz Rebekki, która z przymkniętymi oczami obejmowała mnie to tkliwie, to znów namiętnie. Tańcząc, zataczałyśmy małe koło; trzymałam Rebeccę leciutko w talii, odsuwając od siebie sztywnymi rękami. Mężczyźni w boksie najpierw kibicowali nam gorąco – mieli przy tym niezły ubaw – ale potem się znudzili. Żaden nie odważył się tańczyć z nami. Kiedy muzyka w końcu ucichła, kręciło mi się w głowie na całego. Wróciłyśmy z Rebeccą na miejsca, do naszych drinków. Wciąż jeszcze byłam oszołomiona i podekscytowana, więc łyknęłam whisky i zapiłam piwem.

– Mam już dosyć – oświadczyła Rebecca, odsuwając od siebie martini, którego też skosztowałam; według mnie niczym się nie różniło od dżinu.

Sandy podszedł do nas, odliczając resztę dla Rebekki.

– Jak tato? – zwrócił się do mnie.

– To twój brat? – spytała Rebecca ze zdumieniem.

– Nie, tylko zna mojego ojca.

– No tak, jak to na prowincji. – Skrzywiła się.

Nigdy nie ufałam Sandy'emu. Wydawał mi się bardzo wścibski. Nie odegrał w tej historii ważnej roli, ale dla porządku zdradzę, że nazywał się Sandy Brogan i nie lubiłam go.

– Nie wiem, czy to dobry znak, że go tu nie widuję, czy może ma jakieś inne powody – powiedział. Tak albo jakoś podobnie.

– Ma inne powody – odparłam, narzucając pelerynę i nasuwając kaptur na głowę. Poczułam się ośmielona. – Możesz mnie poczęstować papierosem?

Sandy podsunął mi paczkę, a potem podał ogień.

– Dzielna dziewczyna – pochwaliła Rebecca.

– To dobre dziecko – potwierdził Sandy, kiwając głową. Stary dureń.

Paliłam niezdarnie, trzymając papierosa jak dziesięciolatka, między kciukiem a wyprostowanymi palcami, tak wpatrzona w żarzący się koniec, że zaciągając się, zezowałam. Kaszlnęłam, zarumieniłam się i roześmiałam, wtórując Rebecce, która wzięła mnie pod rękę. Wyszłyśmy z pubu, nie zwracając uwagi na mężczyzn z boksu.

Kiedy znalazłyśmy się na ulicy, Rebecca stanęła twarzą do mnie na tle ciemnej mroźnej nocy. Śnieg i gwiazdy migotały za nią niczym galaktyka nadziei, której centrum stanowiła Rebecca. Była cudownie ożywiona.

– Dziękuję ci, Eileen – powiedziała, patrząc na mnie przeciągle. – Kojarzysz mi się z malarstwem holenderskim. – Zajrzała mi w oczy. – Masz dziwną twarz. Oryginalną. Zwyczajną, a jednak fascynującą. Jest w niej jakiś cudowny niepokój, który mnie zachwyca. Założę się, że masz piękne sny. Pewnie dzieją się w zaczarowanych światach. – Odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się tym swoim diabolicznym śmiechem, a potem uśmiechnęła się słodko. – Może przyśnię ci się z moim jutrzejszym moralniakiem, który mnie raczej nie ominie. Nie powinnam pić, ale piję. *C'est la vie.*

Patrzyłam, jak wsiada do samochodu – zapamiętałam tylko, że ciemnego i dwudrzwiowego – i odjeżdża.

Ja jednak wcale nie miałam ochoty wracać do domu. Było jeszcze wcześnie, a ja czułam się cudownie. Nareszcie byłam kimś ważnym. Wróciłam więc do O'Hara's, przechodząc obok boksu z mężczyznami, którzy już byli pijani, śmiali się i walili pięściami w stół, aż piwo chlustało. Siadłam na stołku Rebekki, który zachował jeszcze resztki jej ciepła. Sandy podsunął mi popielniczkę i położył na barze podstawkę pod kieliszek obok mojej skulonej, sinej z zimna dłoni.

– Whisky – rzuciłam, gasząc papierosa.

Potem już nic nie pamiętam, aż do chwili, kiedy zbudziłam się z twarzą na kierownicy dodge'a, którym wbiłam się do połowy w zaspę przed domem. Na sąsiednim siedzeniu lśniła zamarznięta kałuża wymiocin. Pończochy miałam całe w oczkach. Ze wstecznego lusterka patrzyła na mnie twarz obłąkanej: włosy jak strach na wróble, broda umazana szminką. Chuchnęłam

w zlodowaciałe dłonie i wyłączyłam reflektory. Kiedy sięgnęłam po kluczyki, okazało się, że ich nie ma, podobnie jak mojej peleryny. Bagażnik stał otworem, torebka zniknęła.

Środa

Dom był zamknięty na klucz. Przez okna widziałam ojca śpiącego na rozkładanym fotelu w kuchni, przy otwartej lodówce. Czasem łapały go poty od rozpalonej kuchenki i piekarnika, wtedy otwierał na oścież drzwi lodówki. Na nogach miał buty. Jeśli nie liczyć niedziel, kiedy jeździł do kościoła pod nadzorem siostry, zawsze, gdy miał buty na nogach, należało się spodziewać kłopotów. Nie był groźny i agresywny, ale kiedy wyrwał się z domu, robił rzeczy, które dyrektor Moorehead uznałby za obrazę moralności: zasypiał na cudzym trawniku, miął pocztówki na stojaku w sklepie, wywracał automat z gumą do żucia. Do bardziej agresywnych wyczynów ojca zaliczało się sikanie do piaskownicy na placu zabaw, wymyślanie kierowcom na Main Street i rzucanie kamieniami w psy. Za każdym razem policja łapała go i odwoziła do domu. Robiło mi się słabo, kiedy słyszałam dzwonek do drzwi, a na ganku stał gliniarz z X-ville z ojcem, który był pijany albo tarł się po brodzie, a oczy uciekały mu w bok. Kiedy stawałam w drzwiach, policjant zdejmował czapkę i mówił przyciszonym głosem, natomiast ojciec rzucał się szukać w domu jakiejś flaszczyny. Jeśli jednak zostawał z nami i włączał się do rozmowy, podawali sobie z gliniarzem ręce i klepali się po plecach na znak miłości i zgody.

– Po prostu jestem na obchodzie – tłumaczył się gliniarz.

Jeśli zdradzał choć lekki niepokój, ojciec brał go na bok i zaczynał jeremiadę na temat gangsterów, mafii i dziwnych odgłosów w domu. Narzekał na kłopoty z sercem, bóle w plecach i na to, że ja, jego córka, zaniedbuję go, maltretuję i myślę tylko o jednym – jego pieniądzach.

– Niech jej ktoś wreszcie powie, żeby oddała mi buty! Nie ma prawa mi ich odbierać!

Jednak w chwili, gdy odwracał się do mnie, próbując złapać mnie drżącymi rękami za szyję, policjant kiwał głową na pożegnanie, obracał się na pięcie i wychodził, zamykając za sobą drzwi. Każdy bał się wciągnięcia w urojenia ojca – demony i gangsterów, duchy i mafiosów. Podejrzewam, że gdyby kogoś zabił, też uszłoby mu to na sucho. Policja to nie „kwiat amerykańskich chłopaków”, tylko klawisze cywilizowanego świata. Przyznam szczerze, że po dziś dzień ciarki mnie przechodzą na myśl, że gliniarze mogliby stanąć na moim progu.

Tamtego dnia dzwoniłam i dzwoniłam do drzwi, ale ojciec nawet nie

drgnął. Podejrzewałam, że trzyma klucze w kieszeni szlafroka lub, co gorsza, na szyi, tak jak sama miałam w zwyczaju – jakby co, to stryczek już gotowy. Właściwie mogłam, tak jak stoję, pojechać autostopem. Mój wygląd nie zbulwersowałby nikogo w Moorehead. Wszyscy mieli mnie w nosie.

Obeszłam dom dookoła i próbowałam otworzyć drzwi do piwnicy. Kiedy się schyliłam, żeby szarpnąć za klamkę, zaczęłam bekać, a potem zwymiotowałam. Nie był to miły ranek. Trudno o coś gorszego od pobudki ze smakiem wymiotów w ustach. Gołymi rękami odłamałam kawałek lodu z wierzchu zaspy i włożyłam do ust. Targnął mną ból głowy. Chyba wtedy wróciła mi pamięć poprzedniego wieczoru: przypomniałam sobie Rebeccę, Sandy'ego, wyjście z pubu i powrót do środka. Pamiętałam, że siedziałam w boksie, rozbłysk zapałek, przytykanie rozkołysanych salemów do męskich rąk, szorstki materiał sukienki drapiący w szyję, chyba że to był męski sweter, upadek ze stołka i śmiechy.

– Rebecca?! – zawołał ktoś.

– Słucham? – odparłam. Przez tamtą jedną noc byłam Rebeccą, kimś zupełnie innym.

Teraz całonocna popijawa z pewnością by mnie zabiła. Nie wiem, jak wtedy to przeżyłam, choć jestem pewna, że bardziej niż kac dokuczały mi wstyd i skrępowanie. Otrząsnęłam się ze strzępów wspomnień i podjęłam kolejną próbę dostania się do domu. Drzwi do piwnicy oczywiście okazały się zamknięte. Zastanawiałam się, czy nie wybić obcasem piwnicznego okna, ale wątpiłam, czy uda mi się sięgnąć dostatecznie wysoko, żeby włożyć rękę i otworzyć zamek w tylnych drzwiach. Wyobrażałam sobie, jak kaleczę się o strzaskane szkło, a krew tryska na śnieg. Tato raczej by się nie pogniewał, gdybym się wykrwawiła na tyłach domu. Na myśl o pokrwawionym śniegu żołądek podjechał mi do gardła, więc się pochyliłam, żeby rzygnąć, ale pociekła tylko żółć. Kiedy przypomniałam sobie o zamarzniętej kałuży wymiocin w samochodzie, zaczęło mnie piłować w skroniach. Wytarłam usta rękawem sukienki.

Gdy wróciłam na ganek i zadzwoniłam do drzwi, zauważyłam, że ojca nie ma na fotelu. Schował się przede mną?

– Tato?! – zawołałam. – Tato!

Nie mogłam wołać zbyt głośno, bo usłyszeliby mnie sąsiedzi. Ponieważ właśnie zaczynał się dzień i wkrótce kobiety miały wysyłać swoje pociechy do szkół, a mężczyźni wsiadać do aut, by jechać do pracy, za chwilę wszyscy mieli zobaczyć wbitego w zaspę starego dodge'a. Auto to jedno, ale kierowca chyba nie miał piątej klepki.

My, Dunlopowie, już i tak uchodziliśmy w okolicy za rarogów. To, że ojciec był policjantem, a więc szacownym obywatelem, który służył krajowi, nie stanowiło dostatecznej przeciwwagi faktu, że w ostatnich latach nie kosił trawnika i nie przycinał żywopłotu. Raz czy dwa każdego lata robił to za nas sąsiad, chyba po to, żeby zachować pozory, choć nazywało się to wdzięcznością za zasługi ojca i współczuciem dla mnie, chuderlawej dziewczyniny bez matki i z nikłą szansą na zamążpójście. Nasz dom był jedynym w okolicy, który nie miał kolorowych lampek w ogrodzie, pięknie ubranej choinki świecącej w oknie salonu i wianka ostrokrzewu na drzwiach wejściowych. Kupowałam słodycze na Halloween, ale żadne dziecko nigdy nie zadzwoniło do naszych drzwi. Kończyło się tym, że samotnie żułam i wypluwałam smakołyki na strychu. Nie lubiłam nikogo z naszych sąsiadów, podobnie jak ojciec – nawet tych luteranów, mimo ich podarunków i przysług. Uważałam ich za świętoszkowatych i czułam, że biorą mnie za niedorajdę, której auto zasmradza całą uliczkę po włączeniu silnika. Ale nie chciałam, żeby mnie potępiali jeszcze bardziej. Nie chciałam dawać nikomu kolejnego materiału do plotek. Musiałam wprowadzić samochód na podjazd, zanim wzbudzi czyjeś podejrzenia. Tak przebiegało moje rozumowanie. No i musiałam zmyć rzygi z siedzenia, zanim ojciec się zorientuje.

Choć pewnie już je widział. Myślę, że czekał na mnie w nocy; wyszedł z domu i wyjął kluczyki ze stacyjki, kiedy straciłam przytomność. Nagle wszystko złożyło się w całość: tamtej nocy uratował mnie przed zatruciem się tlenkiem węgla. Niewykluczone, że uratował mi życie. Prawdopodobnie, kiedy wyszedł, silnik wciąż pracował, a ojciec wyszarpnął kluczyki. Mogło tak być. Ale wolę sobie wyobrażać, że jego instynkt rodzicielski – impuls chronienia mnie, zachowania przy życiu – doszedł do głosu tamtej nocy, biorąc górę nad obłędem i egoizmem. Wolę łudzić się tą wersją niż myśleć, że miałam fart lub zadziałał szczęśliwy zbieg okoliczności. Tak czy owak, czułam wdzięczność, że żyję, i był to miły stan ducha. W pierwszej chwili przeraziłam się, czego zażąda ojciec w zamian za uratowanie mi życia, zaraz jednak pomyślałam o Rebecce. Teraz, kiedy była ze mną, nie musiałam błagać ojca o litość. Mógł na mnie wrzeszczeć i wymyślać mi, ale nie mógł mnie zranić, bo byłam przez kogoś kochana.

Znów zaczęłam dobijać się od frontu, ale ojciec nadal mnie ignorował. Przeszłam przez poręcz z kutego żelaza przy ceglanych schodkach ganku i zeskoczyłam przy krzakach rosnących pod oknem. Zajrzałam przez okna salonu. Nie były myte od lat, od wewnątrz pokrywała je gruba warstwa kurzu, więc prawie nic nie było widać. Nagle jednak dostrzegłam ojca

w nieznanej dotąd odsłonie: blady, chudy i kruchy, w samych tylko bokserkach, z butelką w ręku przechadzał się nerwowym, chwiejnym krokiem po salonie. Nie wiedzieć kiedy wyhodował sobie dwie małe piersi. Kiedy obrócił się tyłem, miałam wrażenie, że na plecach ma długie sine pręgi. To, że jeszcze nie umarł, było miarą jego krnąbrności. Waliłam pięścią w grube szkło, ale on tylko machnął ręką i dalej krążył po pokoju. Ostatecznie weszłam przez okno w salonie, które jak się okazało, nie było porządnie domknięte.

Wiedziałam dobrze, że jestem dorosła i mogę wracać, kiedy mi się spodoba. W naszym domu nie obowiązywały żadne reguły. Jednak kiedy mój ojciec dostawał swoich nieoczekiwanych napadów szału, mogłam go uspokoić tylko wtedy, gdy poddałam się jego dziwacznym, upokarzającym karom. Nie wpuszczał mnie do kuchni, raz za razem kazał w deszczu jechać do Lardnera. Kiedy robiłam coś dla siebie, coś, co wykraczało poza moje obowiązki wobec niego, uważał to za przestępstwo. Każdy przejaw mojej wolnej woli traktował jak ciężką zdradę. Byłam jego niańką, asystentką i dozorczynią. W gruncie rzeczy potrzebował ode mnie tylko jednego: dżinu. W domu rzadko brakowało alkoholu – byłam dobrą dziewczyną – ale tak się fatalnie składało, że choćbym na głowie stawała, samo moje istnienie doprowadzało go do szału. Nawet moje egzemplarze „National Geographic" były dla niego pretekstem do utyskiwań nade mną. Przerzucając kartki czasopisma, wyzywał mnie od komunistek. Tego ranka też czułam, że jest wściekły. Ale nie bałam się. Stałam w sieni, śnieg z butów osypywał się na dywan.

– Hej, nie widziałeś moich kluczyków? – zawołałam.

Wyłonił się ze schowka z kijem do golfa, poczłapał po schodach i usiadł na podeście piętra. Kiedy był naprawdę zły, milczał – cisza przed burzą. Nie obawiałam się, że mógłby mnie zabić. Aż tak daleko by się nie posunął. Ale tamtego ranka wydawał się trzeźwy, a kiedy był trzeźwy, potrafił być naprawdę wredny. Nie pamiętam dokładnie, co mówiliśmy, kiedy siedział nade mną, stukając kijem o tralki balustrady, ale pamiętam, że zasłaniałam rękami twarz na wypadek, gdyby rzucił we mnie kijem.

– Czy możesz oddać mi kluczyki, tato? – poprosiłam.

Wybrał jedną z książek, które piętrzyły się pod ścianami korytarza, i zrzucił z góry. Potem poszedł do pokoju matki, zdjął z łóżka poduszkę i też cisnął w dół.

– Usiądź sobie wygodnie – powiedział, zasiadając z powrotem na górze schodów. Przejechał kijem golfowym po tralkach, jak klawisz pałką o kraty. – Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie przeczytasz tej książki, i to od deski do

deski – oznajmił. – Nie śmiesz opuścić ani słowa.

Był to egzemplarz *Olivera Twista*. Podniosłam książkę, otwarłam na pierwszej stronie, przeczyściłam gardło… i umilkłam. Jeszcze przed tygodniem pokornie przeczytałabym kilka stron, dopóki nie zaczęłoby go suszyć. Tego dnia jednak po prostu odłożyłam książkę. Pamiętam, że spojrzałam w górę, wciąż zasłaniając twarz dłońmi. Przez palce zobaczyłam coś, czego raczej nie chciałam widzieć: siwą mosznę ojca wyłażącą z nogawki wymiętych, przyżółconych bokserek.

– Masz tam gdzieś kluczyki? – spytałam. – Spóźnię się do pracy.

Miałam wrażenie, że poczerwieniał ze złości na całym ciele. Na nogach miał czarne sznurowane półbuty.

– Włóczyłaś się przez całą noc, omal nie rozbiłaś samochodu, spałaś we własnych rzygowinach, a teraz nagle martwisz się o to, czy dojedziesz na czas do pracy? – mówił upiornym, grobowym, monotonnym głosem. – Nie chcę cię więcej widzieć. Wstyd mi za ciebie. Oliver Twist dałby wszystko, żeby móc mieszkać u nas, w naszym miłym domu. Ale tobie, Eileen, coś się ubrdało, że możesz wychodzić i wracać, kiedy ci się spodoba – powiedział łamiącym się głosem.

– Poszłyśmy się napić z koleżanką z pracy – zaczęłam się bronić. Wyznanie prawdy było błędem, ale chyba rozpierała mnie duma i chciałam mu się pochwalić.

– Z koleżanką z pracy? Masz mnie za idiotę?

Ani mi się śniło tłumaczyć. Dawniej błagałabym go o wybaczenie, stawałabym na głowie, żeby go udobruchać. „Wybacz!”, szlochałabym, padając na kolana. Miałam wprawę w robieniu takich cyrków; tylko moje najgłębsze upodlenie mogło go nasycić. Ale tamtego ranka nie zamierzałam się poniżać.

– Kim on jest? Chyba wypadałoby, żebym poznał chłopaka, zanim przyprawi ci brzuch i pośle do piekła.

– Błagam, oddaj kluczyki. Spóźnię się.

– Nigdzie nie pójdziesz w tym stroju. Eileen, jak ci nie wstyd? Tę sukienkę twoja matka miała na sobie na pogrzebie mojego ojca. Nie masz cienia szacunku dla mnie, dla matki, dla nikogo, a już na pewno nie dla siebie. – Wypuścił z rąk kij golfowy; nerwowo podskoczył, kiedy kij z łomotem potoczył się po schodach. A potem zaczął się trząść, aż musiał przysiąść na własnych dłoniach. Zwiesił głowę. – Jesteś skończoną szmatą – zakwilił. Wyglądało, że się zaraz rozpłacze.

– Skołuję ci flaszkę – powiedziałam.

– Jak on się nazywa? Gadaj.

– Lee – odparłam, niewiele myśląc.

– Lee? Po prostu Lee? – Pokręcił głową, krzywiąc się szyderczo.

– Leonard.

Zgrzytnął zębami, szczęki zaczęły mu chodzić. Zatarł ręce.

– No to już wiesz. – Odjęłam ręce od twarzy, jakby to kłamstwo miało moc osłonięcia mnie przed gniewem ojca. – Kluczyki.

– Są w szlafroku. Wracaj szybko i się przebierz. Nie chcę, żeby cię ktoś widział w tym stroju. Gotowi jeszcze pomyśleć, że umarłem.

Znalazłam szlafrok ojca w dawno wygasłym kominku. Wyjęłam kluczyki, wygrzebałam torebkę ze sterty chłamu przy drzwiach wejściowych, włożyłam płaszcz i wróciłam do auta. Wymiociny zaczęły już tajać; brzeg kałuży zachodził na pas bezpieczeństwa. To był koszmar. Fetor wsiąkł we wszystko, co miałam na sobie, i trzymał się płaszcza jeszcze kilka dni później, kiedy porzuciłam dodge'a i ślad po mnie zaginął. Nie miałam zamiaru jechać do monopolowego, który i tak był zamknięty o tej porze. Musiałam jednak wyciągnąć z zaspy samochód, co wymagało trochę wysiłku. Może i ojciec uratował mi życie w nocy, ale moje samopoczucie ani trochę go nie obchodziło. Wiedziałam, że nie mogę na niego liczyć. Gdy raz odważyłam się go poprosić, żeby przestał się mnie czepiać, wybuchnął śmiechem, a następnego ranka udał, że ma zawał serca. Pogotowie zastało go na kanapie z papierosem. Oświadczył, że dobrze się czuje.

– Odbiło jej, bo będzie miała ciotkę – wyjaśnił sanitariuszom. Na pożegnanie każdy uścisnął mu rękę.

Kiedy wycofałam samochód z zaspy, pojechałam znów do O'Hara's. Gdybym miała więcej oleju w głowie, urwałabym się właśnie wtedy, o poranku, pognała szosą w objęcia wolności i kto by mi co zrobił? Ale jeszcze nie mogłam odjechać. Nie mogłam porzucić Rebekki. Zaparkowałam przed pubem i weszłam do środka.

W środku było ciemno, jak zawsze; jedyne światło wpadało przez złuszczoną czarną farbę w oknie nad drzwiami. Od zapachu stęchłego piwa żołądek podjechał mi do gardła. Sandy stał przy barze ze szklanką wody w ręku.

– Czy mogłabym pożyczyć butelkę dżinu?

– Wykończyłyście mi cały dżin w nocy, dziewczynki. – Sandy zarechotał. – Myślisz, że tato w to uwierzy?

– Może mogłabym pożyczyć coś innego?

– Mam dżin, kochanie – powiedział ojcowskim tonem. Wszedł za bar,

schylił się, na chwilę znikając z pola widzenia, po czym wyłonił się z butelką gordon's. – Niech to będzie prezent pod choinkę. Oczywiście dla taty, nie dla ciebie. Ty zasługujesz na coś lepszego. Ale najpierw napij się ze mną – powiedział, stawiając na ladzie dwa kieliszki do wódki; odkręcił nakrętkę tak, że chrupnęła jak łamane kości. – Chlapniemy po jednym, a reszta będzie twoja.

Trącił kieliszkiem mój kieliszek. Wypiłam jednym haustem. Palący, mydlany smak przynajmniej zagłuszył w ustach smak żółci.

– Grzeczna dziewczynka – pochwalił Sandy.

Podając mi butelkę, drugą ręką pogłaskał mnie po twarzy. Odskoczyłam gwałtownie.

– Powiedz tacie, że to ode mnie, dobrze?

– Powiem. Dziękuję.

Więcej już go nie spotkałam. Zastanawiałam się później, jakie wspomnienia tamtej nocy Sandy zachował dla siebie: czy jego grube, poplamione piwem łapska macały mnie, jego usta spoczęły na moim ciele, kwaśny język wpychał mi się obleśnie do gardła? Tego już się nie dowiem. Sandy, gdziekolwiek gryziesz ziemię, współczuję ci, bo zakładam, że los – nierychliwy, ale sprawiedliwy – kiedyś dał ci po nosie za tamtą noc.

Kiedy po powrocie do domu odstawiałam butelkę na stole w kuchni, ojciec wyglądał, jakby spał, jednak zanim zdążyłam wyjść, zerwał się z fotela i chwycił mnie za nadgarstek.

– Leonard, mówisz? Leonard jaki?

– Polk – odparłam bez zastanowienia.

– Polk – powtórzył. Czułam wręcz namacalnie, jak kręcą się z mozołem zardzewiałe tryby w jego głowie. Pokręcił głową. – Ja go znam?

– Wątpię.

Wyrwałam się z anemicznego uchwytu ojca i pomknęłam na górę. Z ulgą przyjęłam dźwięk odkręcanego korka. Podejrzewam, że nasza rozmowa natychmiast wyleciała mu z pamięci. Nie słyszałam później z jego ust nazwiska Polk, choć mam nadzieję, że po mojej ucieczce szlag go trafił, gdy dotarło do niego, że przeoczył ten sygnał. „Jak mogłem nie zauważyć, że wpadła w bagno?" – mówił w moich fantazjach.

Wyjęłam kłąb szmat spod umywalki w łazience, wróciłam do samochodu i zepchnęłam wymiociny z fotela na śnieg. Chociaż udało mi się pozbyć ich w jednym kawałku, plama została. Posypałam ją proszkiem do mycia naczyń i zakryłam ręcznikiem. Musiałam bekać i wymiotować, chociaż pamiętam

tylko, że po wszystkim popędziłam pod prysznic. Wyszorowałam się znów energicznie tam – keczup kisił się przez całą noc – i spłukałam zaschnięte wymiociny z włosów. Mocno ściskałam w opuchniętych dłoniach ręcznik, wciąż jeszcze wilgotny po wczorajszych ablucjach. Granatowe pończochy, całe w strzępach, rzucone na podłogę w łazience wyglądały jak widma. Ubrałam się szybko, uczesałam mokre włosy, złapałam płaszcz i torebkę i zbiegłam do samochodu.

Wiem, że szczegółowy opis moich porannych czynności niewiele wnosi do tej historii, ale lubię wspominać chwile, kiedy byłam w ruchu. Teraz, na starość, nie poruszam się żwawo, a już na pewno nie zwijam się jak w ukropie. Moje ruchy cechuje wdzięk i wyważona elegancja, są jednak ślamazarne. Przypominam pięknego żółwia. Oszczędzam energię. Życie jest teraz dla mnie na wagę złota. Wracając do opowieści: kiedy wyszłam do samochodu, zastałam tarasujący nasz podjazd wóz patrolowy. Zamarłam. Policjant nazywał się Buck Brown. Pamiętam go, bo chodziliśmy razem do podstawówki. Był rosłym przymułem, sepleni, miał wiecznie zaspane oczy i białą piankę w kącikach ust. Należał do ludzi, którzy udają głupszych, niż są, żeby cię zwieść i zaniżyć poziom twoich oczekiwań. Nie cierpię tego typu mężczyzn. Poprawił czapkę na głowie i wcisnął ręce w kieszenie.

– Czy możemy zamienić parę słów, panno Dunlop? – wysepleni. Policjanci zawsze odnosili się do mnie bardzo oficjalnie. Chociaż znali mnie od Bóg wie ilu lat, nigdy nie zwracali się do mnie po imieniu. Nie należy ufać osobnikom, którzy klepią tępo formułki grzecznościowe. – Chodzi o pani ojca.

Jezu, znowu.

– Słucham, Buck – odparłam niecierpliwie. Próbowałam się uśmiechnąć, ale byłam za bardzo zmęczona. Poza tym nie miałam najmniejszych powodów, żeby mu się podlizywać. Zanim poznałam Rebeccę, zwykle brakowało mi pewności siebie i mocnych nerwów, żeby zachować się nieuprzejmie, kiedy było mi nieprzyjemnie. – Czego chcesz?

– Chodzi o broń.

Przez chwilę wyobrażałam sobie ojca w domu, może nawet w piwnicy, jak krwawi z rany postrzałowej, którą sobie zadał, bo za długo nie wracałam z dżinem. Może rzucił słuchawkę na kuchenny stół, wybrawszy uprzednio numer komisariatu? „Przebrała się miarka!”, tak mogły brzmieć jego pożegnalne słowa. Ale przecież przed chwilą widziałam go żywego i wystarczająco zdrowego, żeby mi dokuczać.

– Co z bronią? – spytałam.

– Przyjechaliśmy dzisiaj w nocy, ale pani nie było. – Zawiesił głos, patrząc

na mnie oskarżycielsko. Miałam go gdzieś, podobnie jak całą resztę. – Wczoraj wieczorem odebraliśmy kilka telefonów od sąsiadów i od dyrektora szkoły, że stary od Dunlopów… że pan Dunlop siedzi z rewolwerem w tym oknie – skinął w stronę okna salonu – celując do uczniów wracających ze szkoły.

– Jest w domu – powiedziałam. – Możesz sam z nim porozmawiać. – A może nie byłam aż tak odważna. Może powiedziałam tylko: „O Boże” albo: „Chryste Panie”, albo: „Tak mi przykro”. Aż nie do wiary, że ta dziewczyna, cała skłamana i znerwicowana, że ta żałosna ofiara była mną. Że ona była Eileen.

– Psze pani… – podjął Buck. Miałam ochotę napluć mu w gębę za tę „panią”. – Rozmawiałem z pani ojcem i zgodził się oddać broń pod pani opiekę, pod warunkiem że nie użyje jej pani przeciwko niemu. To jego słowa.

Nie bardzo rozumiałam, o co tyle szumu. Mało prawdopodobne, żeby ojciec trzymał broń naładowaną. Raczej za bardzo się bał. Inna rzecz, że czyścił ją regularnie.

– Mam obowiązek dopilnować tej sprawy. – Skinął w stronę domu.

– Nie rozumiem?

– Otrzymałem rozkaz, by niezwłocznie przekazać pani broń. Za chwilę dzieci będą szły tędy do szkoły.

Marzyłam tylko o jednym, żeby już być w więzieniu.

– To tylko chwilka. – Poprowadził mnie przez podjazd i schody do drzwi wejściowych.

– Tato, masz gościa! – zawołałam od progu.

– Wiem, w jakiej sprawie. – Wyszedł z kuchni, zataczając się, w szlafroku poplamionym sadzą z kominka. Uśmiechał się służalczym, pijackim uśmiechem: wargi rozciągnięte płasko, oczy zmrużone, jakby się nie posiadał z radości. Otwarł szafę w sieni, pogrzebał chwilę i wyjął rewolwer. – Masz, jest teraz twój.

– Dziękuję panu, sir – powiedział Buck z uroczystą powagą, komiczną i denerwującą zarazem. – Wierzę, że panna Dunlop doskonale zaopiekuje się pańską bronią.

– Jak i całą resztą, jak pan widzi. – Ojciec powiódł lufą po sypiącym się wnętrzu.

Buck cofnął się przerażony. Wyobraziłam sobie, że jeden z wiszących nad nim sopli odłamuje się i spada mu pionowo na głowę. Ojciec oddał broń Buckowi, który złożył ją ostrożnie na moich nadstawionych dłoniach.

Nigdy nie trzymałam w rękach rewolweru ojca, zresztą żadnego innego też

nie. Był ciężki, o wiele cięższy, niż się spodziewałam, do tego zimny jak lód. W pierwszej chwili zdjął mnie lęk. Nie znałam się na markach broni, ale zachowałam w pamięci każdy szczegół. Na drewnianej kolbie ktoś wyrył słowo „Dunlop". Gdy później przeglądałam książki na temat broni, znalazłam ten typ – smith & wesson model 10. Miał czterocalową lufę i ważył prawie kilogram. Po ucieczce trzymałam go jeszcze przez parę tygodni, a potem wyrzuciłam z mostu Brooklińskiego.

– To chyba wszystko – powiedział Buck i podreptał do radiowozu.

Ojciec poczłapał w drugą stronę, mamrocząc coś do siebie.

– Masz dzisiaj fart, Eileen – powiedział nagle nad podziw wyraźnie.

Nie pomylił się. Włożyłam rewolwer do torebki. Czekałam na rozwój wypadków. Spodziewałam się, że ojciec będzie walczyć, żeby odzyskać broń, ale z kuchni dobiegło mnie tylko szczękanie szkła, a potem fotel skrzypnął ciężko. Nie powiem, żeby historia z rewolwerem mną wstrząsnęła, bo przez lata zdążyłam się uodpornić na jego obecność w domu. Mimo to dziwnie się czułam z bronią w ręku. Zamknęłam delikatnie drzwi od frontu, żeby nie odpadł sopel, i wyszłam. Ojcu tak się wszystko mieszało w głowie, że wystawił swoje buty na ganek, chyba kiedy szorowałam zarzygany fotel. Możliwe, że chciał mi przypomnieć o moich obowiązkach, o tym, że byłam przede wszystkim jego pielęgniarką, jego niańką, jego strażniczką.

Jadąc do pracy, zastanawiałam się, jakie korzyści mogą płynąć z posiadania broni. To był rewolwer, który ojciec nosił przy sobie przez wszystkie lata służby. Kiedy byłam mała, miał nawet swoje miejsce przy naszym stole – tato na jednym końcu, mama naprzeciwko, my z Joanie po jednej ręce ojca, rewolwer po drugiej. Później, kiedy już przeszedł na emeryturę, szwendał się po domu, nosząc go w kaburze na gołe ciało. Czekając na czerwonym świetle, ostrożnie wyjęłam rewolwer z torebki, żeby przełożyć go do schowka, jednak na widok zamarzniętej myszy rozmyśliłam się. Mały gryzoń przeleżał w schowku aż do smutnego końca. To szczegół bez znaczenia, ale pamiętam doskonale mały łebek: długi ryjek, szeroko otwarty pyszczek, drobne ząbki, miękkie uszka. Chyba wtedy widziałam moją mysz po raz ostatni. Jechałam z bronią na kolanach. Działała na mnie tak jak pewnie na każdego: uspokajająco. Kojąco. Miałam kaca, stąd pewnie moja bezmyślność, ale kiedy tamtego ranka wjechałam na parking w Moorehead, zamiast zamknąć w bagażniku torebkę z bronią w środku, wniosłam ją ze sobą do więzienia i zostawiłam na biurku, na widoku. Serce biło mi żywiej z trwogi i podniecenia, ilekroć wkładałam rękę w czeluść brzydkiej torebki z burej skóry, żeby pomacać broń.

Choć w Moorehead poranek toczył się jak zwykle, wystarczyło, że z korytarza dobiegły kroki albo przeciąg otworzył drzwi, a podskakiwałam na krześle – kac walił mnie jak obuchem w głowę – podnosząc oczy z radosną nadzieją, że w drzwiach stanie Rebecca. Ale Rebecca się nie pojawiała. Tęskniłam za nią; chciałam znów czuć się tak jak poprzedniego wieczoru. Podniecenie dosłownie buchało ode mnie. Jak mogłabym opuścić X-ville teraz, kiedy była tutaj ze mną Rebecca? A może zgodziłaby się wyjechać ze mną? Mówiła przecież, że nie lubi zasiadywać się w jednym miejscu. Miałybyśmy niezłą zabawę. Fantazjowałam na temat metamorfozy mojego wizerunku w Nowym Jorku: jak będę się ubierać, jak zetnę włosy i jeśli uznam za stosowne, pofarbuję, jak będę nosić długą perukę i w razie konieczności okulary bez żadnych dioptrii. Jak mi się spodoba, zmienię sobie imię. „Rebecca" brzmiało całkiem nieźle. Ale co tam, jeszcze przyjdzie czas na to, żeby się troszczyć o przyszłość. Przyszłość może zaczekać. W pewnej chwili wybrałam się, jeszcze rano, do damskiej toalety, pomalować usta. Nagle drzwi za mną skrzypnęły i tanecznym krokiem weszła Rebecca; stanęła obok i przysunęła w lustrze swoją twarz do mojej.

– Cześć, staruszko – powiedziała do mojego odbicia. Była wesoła. Dowcipna.

– Dzień dobry – odparłam, podejmując z miejsca decyzję, żeby w moim głosie brzmiał dobry humor i pewność siebie, jakby nic się nie stało.

– Do twarzy mi w świątecznych kolorach? – spytała, okręcając się na pięcie. Miała na sobie kostium z czerwonej wełenki i zielony szalik na szyi. – Prawda, że zabójcze? – Zadarła głowę z żartobliwą dumą.

– Czarowne – przyznałam.

– Szczerze mówiąc, Jezus słabo na mnie działa – wyznała świętokradczo. – Ale dzieci chyba lubią Boże Narodzenie. – Stukając obcasami, weszła do kabiny i dalej rozmawiała ze mną, robiąc siusiu.

Słuchałam jej, obserwując w lustrze, jak na mojej twarzy wykwita szkarłatna plama. Starłam szminkę. Nowy odcień był zdecydowanie za jaskrawy. Ojciec miał rację. Wyglądałam jak dziecko, które dorwało się do kosmetyków matki.

– Jakie masz plany wigilijne? – ciągnęła Rebecca. – Może mogłybyśmy się spotkać, kiedy będzie wolne? – Spuściła wodę i wyszła z kabiny, podciągając pończochy i odsłaniając przy tym majtki. Miała uda szczupłe jak dwunastolatka i równie zwięzłe. – Wpadniesz do mnie jutro na drinka? Byłoby super. O ile nie masz innych planów.

– Nie mam planów. – Od lat nie obchodziłam Bożego Narodzenia.

Rebecca podciągnęła mankiet i z kieszonki na piersi wyjęła długopis.

– Zróbmy tak. Napisz mi tu swój numer telefonu. W ten sposób go nie zgubię, chyba żebym brała prysznic, na co się jednak nie zanosi. No chyba żebym musiała iść do lekarza albo gdybym przyjmowała mężczyznę. – Roześmiała się. – Unikam prysznica, jak mogę. Zresztą tu jest za zimno. Tylko mnie nie zdradź. – Podniosła ręce do góry, komicznie obwąchując dłonie, po czym przytknęła palec do ust, jakby prosiła o dyskrecję.

– Ja też. Czasem lubię się kisić we własnym brudzie. Jakbym skrywała pod ubraniem słodką tajemnicę. – „Jesteśmy takie same", myślałam. Rebecca rozumiała mnie. Nie musiałam niczego przed nią ukrywać. Akceptowała mnie – czy wręcz lubiła – taką, jaka byłam.

Wręczyła mi długopis i podała rękę. Ujęłam jej blady, smukły nadgarstek i zapisałam numer telefonu na skórze tak delikatnej i nieskazitelnej – jak u noworodka – że czułam się, jakbym popełniała świętokradztwo. Moje dłonie w świetle jarzeniówek były czerwone i spierzchnięte z zimna, szorstkie i spuchnięte, dlatego ukrywałam je w rękawach swetra.

– Dzisiaj wychodzę wcześniej – powiedziała. – Jutro do ciebie zadzwonię. Zobaczysz, będzie super.

Wyobraziłam sobie stół zastawiony półmiskami delicji i wyfraczonego lokaja, który nalewa wino do kryształowych kielichów. Zawsze o tym marzyłam.

W południe z ulgą wsiadłam w samochód, żeby podjechać do najbliższego sklepu po coś na lunch, co znaczyło, że znów będę mogła dotykać rewolweru i gnać moim dodge'em przed siebie z wiatrem we włosach. Tego dnia miałam wilczy apetyt. Kupiłam sobie karton mleka i pudełko krakersów serowych. Pochłaniałam je łapczywie, siedząc w samochodzie na parkingu Moorehead – wciąż w silnych oparach wymiocin – a potem wlałam mleko szeroką strugą do gardła, jak piłkarz z reklamy. Jeszcze nigdy lunch nie smakował mi tak wspaniale. Ciężar rewolweru na kolanach wyraźnie powiększał mój apetyt. W każdej chwili mogłam skierować lufę w kogoś, żądając portfela albo płaszcza, albo żeby mnie zabawiał – śpiewał, tańczył dla mnie, prawił mi komplementy. Mogłam rozkazać Randy'emu, żeby całował palce moich stóp. W radiu śpiewali Beach Boys. Wtedy jeszcze nie docierała do mnie ta muzyka – większość kawałków rockowych budziła we mnie ochotę, żeby podciąć sobie żyły – czułam, że jakaś szampańska balanga odbywa się tam, gdzie mnie nie ma – ale w tamtą środę bardzo możliwe, że kołysałam się nieznacznie na przednim siedzeniu. Byłam tak szczęśliwa, jakbym nie była sobą.

Kiedy wysiadłam na parkingu, depcząc po grudach soli, wyrósł przede mną gmach więzienia dla dzieci. Stary, szary budynek, który z daleka wyglądał jak letnia rezydencja milionera. Na przekór wszystkiemu kamienne rzeźby i detale, i wydmy wznoszące się za płotem wysypanego żwirem podwórza urzekały pięknem. Miejsce zdawało się tchnąć spokojem, skłaniać do kontemplacji, relaksu i tym podobnych. Z tego, co zrozumiałam na podstawie starych rycin, map i fotografii w gablocie ustawionej nie wiadomo dla kogo na korytarzu przy wejściu, obiekt został wzniesiony przed ponad stu laty i początkowo służył jako ośrodek odwykowy dla marynarzy, a później, po rozbudowie, został przekształcony w szpital wojskowy. Jak wiadomo, morska bryza odświeża i koi nerwy. Przez chwilę mieściła się też chyba w Moorehead szkoła z internatem; w czasach, gdy ta część stanu prosperowała jeszcze nieźle, zamieszkana przez wybrednych bogaczy, którzy cenili sobie sielskie życie ponad wielkomiejski zgiełk. O ile dobrze wiem, od frontu kiedyś był kolisty podjazd, stał pomnik Emersona i fontanna w angielskim ogrodzie. Później obiekt zamieniono na sierociniec, potem na centrum rekonwalescencji dla rannych weteranów, szkołę męską i wreszcie, dwadzieścia parę lat przed moim przybyciem, na więzienie dla chłopców. Gdybym przyszła na świat jako chłopiec, z dużym prawdopodobieństwem skończyłabym w Moorehead.

Kiedy z uszami czerwonymi od mrozu wychyliłam się przez okno dodge'a, żeby przypudrować nos w bocznym lusterku, zobaczyłam, jak oficer wychowawczy wypuszcza młodego chłopaka z tyłu radiowozu i prowadzi w stronę więzienia. Bardzo podniecało mnie przybycie każdego nowego więźnia, co jednak miało miejsce najwyżej raz w tygodniu. Dla mnie wiązało się to z przyjemnymi czynnościami, takimi jak zakładanie nowej kartoteki, pobieranie odcisków palców i, naturalnie, fotografowanie.

Panie z sekretariatu kosymi spojrzeniami powitały mój opóźniony powrót z lunchu. Pokrzepiona na duchu i ciele niedbale rzuciłam płaszcz na krzesło, zdarłam zębami bezsensowne rękawiczki, wydłubałam śpiochy z kącików oczu i zatarłam dłonie. Pani Stephens plotkowała z oficerem wychowawczym, podczas gdy nowo przybyły bawił się kajdankami. Był to nastoletni nalany blondynek z zadartym nosem, dużymi, mięsistymi dłońmi i, paradoksalnie, szczupłymi, dziewczęcymi ramionami. Mocno zaciskał powieki, żeby się nie rozpłakać, i było mi go żal. Siedział naprzeciwko mnie, skuty i nafaszerowany środkami uspokajającymi. Spytałam, jak się nazywa, i zapisałam jego imię i nazwisko, potem zmierzyłam go i zważyłam, zanotowałam kolor jego oczu, sprawdziłam jego twarz na okoliczność znaków szczególnych i wydzieliłam

mu wykrochmalony niebieski kombinezon. Czułam się jak pielęgniarka – oschła, troskliwa, obojętna. Mówiłam do niego przyciszonym głosem, zrobiłam mu zdjęcie. Pamiętam wyraz jego twarzy w obiektywie, osobliwą mieszankę rezygnacji i furii, łagodny smutek. Podobnie jak zdechła mysz w schowku mojego dodge'a widok chłopca podnosił mnie na duchu. „Nie chciałabym być na twoim miejscu", myślałam. Oficer wychowawczy stał za chłopcem z założonymi rękami, czekając, aż go poproszę, żeby poświadczył podpis. W pobliżu kręciło się dwóch strażników na wypadek próby ucieczki lub ataku na mnie, choć nigdy do niczego podobnego nie doszło. Chłopak nie mógł mieć więcej niż czternaście lat. Serce ściskało mi się na jego widok, pewnie dlatego, że byłam w dobrym humorze, a on jak na swój wiek był mały i pulchny; z jego smutku wnosiłam, że podobnie jak ja należał do istot nieprzystosowanych, boleśnie zranionych przez otoczenie, wrażliwych i nieufnych. Wkładając do szafki jego dokumenty, podpatrzyłam, że został zamknięty pod zarzutem dzieciobójstwa przez utopienie.

Kiedy odfajkowywałam te procedury wstępne, czułam się całkiem zwyczajnie, jak każda inna osoba wypełniająca rutynowe obowiązki. Lubiłam mieć jasne wytyczne i przestrzegać reguł. Dawało mi to poczucie ładu, ulgę, wytchnienie od męczącej, uporczywej gonitwy myśli. Jestem pewna, że wiele osób uważało mnie i do dziś uważa za dziwną. Oczywiście zmieniłam się bardzo przez tych pięćdziesiąt lat, ale nadal potrafię wprawić niektórych w głębokie zakłopotanie, choć teraz z całkiem innych powodów. Zrobiłam się zbyt szczera, zbyt kochająca. Jestem czuła, namiętna, wylewna aż do przesady. Ale wtedy byłam po prostu jakimś dziwolągiem. Nieprzystosowaną bidulą. Nie było jeszcze takiej mody na kryzys wieku dojrzewania. Moja kamienna twarz przeraziłaby mnie, gdybym ją dzisiaj zobaczyła w lustrze. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że byłam dosyć gruboskórna. W końcu nie bez kozery pracowałam właśnie w więzieniu. Nie byłam też szczególnie miła. Wolałabym być kasjerką w banku, ale który bank by mnie zatrudnił? Ani by się obejrzeli, jak zaczęłabym podkradać z kasy. Więzienie stwarzało mniej pokus.

Godziny widzeń wlekły się w nieskończoność. Patrzyłam z zachwytem na moją obskurną torebkę przewieszoną przez krzesło za biurkiem. Gdyby ktoś ją potrącił, rewolwer szczęknąłby o metalowe oparcie. Co pomyślałaby o mnie Rebecca, słysząc, że jestem uzbrojona? Miałam lekkie obawy, że noszenie broni jest w złym guście. Polowanie, wyłączając milionerów, to rozrywka dla agresywnych warstw niższych, prymitywnych wieśniaków, prostaków i odrażających, niewrażliwych głupców. Przemoc była po prostu

jedną z wielu naturalnych funkcji ludzkiego ciała, równie prozaiczną jak pocenie się czy wymioty. Można ją w pewnym sensie przyrównać do seksu, z którym zresztą często idzie w parze.

Przez resztę dnia mechanicznie wykonywałam swoje obowiązki. Próbowałam się znów zafiksować na Randym, nawykowo obserwując go siedzącego na jego stołku, ale moja fascynacja nim osłabła. Jak ulubiony szlagier słyszany zbyt wiele razy zaczyna irytować czy jak swędzące miejsce rozdrapane do krwi, tak twarz Ran-dy'ego nagle wydała mi się pospolita, wargi dziecięco pulchne, prawie kobiece, uczesanie głupie i pretensjonalne. Krocze przestało mnie hipnotyzować, ręce zobojętniały, prysł czar męskich muskułów. Zrobiło mi się wręcz lekko niedobrze, kiedy wyobraziłam sobie, że zbliża się do mnie w ciemnościach, a z ust zalatuje mu kiełbasą, kawą i papierosami. Serce to bardzo niestały i nienasycony narząd, który wciąż łaknie nowości. A przecież Randy był naprawdę wart grzechu. Żałuję, że nie wyznałam mu miłości zawczasu, zanim pojawiła się Rebecca. Miałam na jego punkcie prawdziwą obsesję. Nieczęsto się zdarza, żeby ktoś tak dalece zawładnął drugim człowiekiem. Randy, gdziekolwiek jesteś teraz, wiedz, że wiem, jaki byłeś piękny. Kochałam cię do szaleństwa.

W tamtą środę, ani trochę tego nie przeczuwając, opuściłam mury więzienia po raz ostatni. Zostawiłam bałagan na biurku, wermut i czekoladki w szafce, książkę z biblioteki w szufladzie. Nie pamiętam moich ostatnich chwil w Moorehead i czasem zastanawiałam się później, co się stało z moimi rzeczami albo co wygadywały na mnie panie z sekretariatu, kiedy po świętach nie stawiłam się w pracy. Pani Stephens pewnie z powrotem musiała nadzorować widzenia, a pani Murray rejestrację nowych więźniów. Nie sądzę, żeby od razu podniosły alarm. Jeśli Rebecca po wszystkim wróciła do więzienia, mogła próbować mnie jakoś kryć, mówiąc na przykład, że pojechałam odwiedzić krewnych. Wszystko jedno. To, co się działo po moim odejściu z Moorehead, nigdy nie spędzało mi snu z powiek.

Wracając wieczorem do domu, byłam zmęczona. Koszmarny ból, jaki mnie dopadał w trzeci dzień okresu, już dawał znać o sobie. Byłam zbyt skonana, żeby zatrzymać się przy Lardnerze. Jeżeli ojcu czegoś trzeba, to już jego zmartwienie. Nie umrze, jeśli raz napije się mleka czy jedną noc prześpi na trzeźwo. A może zresztą umrze. Wszystko jedno. Chyba właśnie w tamtej chwili, czując ciężar broni w torebce na kolanach i skręcając w ciemny, oblodzony podjazd wyrąbany w wysokich zaspach, zaczęłam się zastanawiać, czyby go nie uwolnić od jego nędznego żywota. Mogłam go zastrzelić, ale to

byłoby nieapetyczne i niechybnie napytałabym sobie biedy. Pigułki mojej matki były lepszym wyjściem, ale zostało ich tylko kilka w buteleczce. Brała je, zgodnie z zaleceniami doktora, żeby ulżyć śmiertelnym męczarniom, twierdziła jednak, że bierze je po to, żeby jej nieszczęsna córka – miała na myśli mnie – nie musiała przez cały dzień słuchać jej jęków i skowytów, złorzeczeń i przekleństw. Podbierałam jej czasem pigułkę lub dwie w okresie, gdy czekałam, aż „kopnie w kalendarz". Takiego właśnie określenia użyłam, dzwoniąc do Joanie po śmierci matki. Spędziłam poprzednią noc w głębokiej czerni, którą mi załatwiły miłosierne pigułki, a kiedy się obudziłam, na łóżku obok mnie leżało zimne ciało, gniewny trup mojej matki.

Kiedy wchodziłam na ganek, torebka z rewolwerem ciążyła mi na ramieniu. Przemknęłam na palcach pod pionowymi sztyletami z lodu. Nawet w ciemnościach biło w oczy, że sień została oczyszczona ze starych gazet i butelek, a nawet zamieciona. Ładny, okrągły biały obrus na kuchennym stole świadczył o tym, że ktoś zajrzał posprzątać. Może komisariat przysłał kogoś z nowicjuszy, żeby nie poszło w miasto, że ojciec żyje w chlewie. A może ojciec sam posprzątał – nagrzał kocioł wody i krzątał się na trzeźwo przez cały dzień. W przeszłości zdarzało mu się brać do majsterkowania – budował regał, żeby zaprowadzić porządek w piwnicy, kładł izolację na strychu – ale rzucał wszystko, ledwie kawa wystygła i uznał, że już zasłużył na piwo. Jego szumnie zapowiadana abstynencja nigdy nie trwała dłużej niż jedno popołudnie. Kiedy odchodziłam z domu, w zakamarkach strychu nadal poniewierały się różowe rolki izolacji. Przez lata były ostatnią rzeczą, którą widziałam przed zaśnięciem.

Płaszcz ojca wisiał na wieszaku przy wejściu, ale kiedy zapaliłam światło w kuchni, fotel ojca okazał się pusty. Wyjęłam z lodówki dwie kromki chleba, posmarowałam jedną majonezem, na wierzch położyłam drugą i zjadłam ze smakiem. To był mój obiad. Minęły lata, zanim nauczyłam się zdrowo odżywiać, a raczej minęły lata, zanim pojawił się we mnie odruch, żeby się zdrowo odżywiać. Dopóki mieszkałam w X-ville, kurczowo trzymałam się nadziei, że uda mi się jakoś wymigać od wyglądu dojrzałej kobiety, który według mojej oceny nie zapowiadał niczego dobrego.

Spod zamkniętych drzwi sypialni matki sączyło się światło i dobiegał głośny, nieregularny oddech śpiącego ojca. Pigułki mamy były nadal w szufladzie stolika nocnego, ale nie odważyłam się wejść do środka, nie chcąc ryzykować, że zbudzę ojca. Na górze schodów leżała opróżniona do połowy butelka dżinu. Zabrałam ją ze sobą na strych. Poprzedniego lata ojciec nad ranem spadł ze schodów, kiedy szedł do mnie, krzycząc, że mafia

z piwnicy chce nas zabić. Budząc się, usłyszałam, jak potyka się i zwala po schodach, które trzaskają niczym pioruny, by wylądować na dole z głuchym łoskotem. Musiałam wskoczyć w ubranie i pomóc mu dokuśtykać do samochodu. Zawiozłam go na pogotowie, gdzie wpompowano w niego litry płynów i zbadano wątrobę, po czym lekarz przekazał mi marną nowinę, że gdyby ojciec przestał pić, to mógłby od tego umrzeć, a jeśli będzie pić nadal, to się zapije na śmierć.

– Nie kijem go, to pałą – podsumował lekarz. – Radziłbym ci zjeść puszkę szpinaku, młoda damo – dodał, patrząc na moje posiniaczone kolana.

Wróciłam potem do domu, zrobiłam pranie, wykąpałam się. Pod nieobecność ojca dom sprawiał wrażenie, jakby mieszkali w nim obcy ludzie. Choć cały mój dobytek trzymałam pod tym dachem, pokoje wydawały się puste, nieznajome. Drażniło mnie to.

Ojciec wrócił do domu o lasce, z zabandażowaną kostką i szwem na brodzie. Obnosił się dumnie ze swoją raną, najpierw przemywając ją sporadycznie, a potem nałogowo, spirytusem, którego coraz częściej się domagał. Też spodobał mi się ten zapach i kiedyś za plecami ojca upiłam łyk, krztusząc się potężnie.

Teraz wzięłam dżin i torebkę na strych, przebrałam się w piżamę i wsunęłam rewolwer pod poduszkę. Czułam się odświętnie, jakbym odmawiała wieczorny pacierz albo jak w dzieciństwie wkładała pod poduszkę pierwszy ząb, który mi wypadł. Po przebudzeniu znalazłam pod poduszką dwie lśniące pięciocentówki. Byłam wstrząśnięta nie tyle przemianą zęba w srebro, ile myślą, że matka lub ojciec zakradli się do mnie w nocy, kiedy byłam nieprzytomna, niczego nieświadoma, bezbronna. Pamiętam, jak rano łamałam sobie głowę – co jeszcze robili ze mną we śnie? Często zastanawiałam się, co mogłam przespać, jakie ich kłótnie, jakie tajemnice. Kiedy myślę teraz o moim dzieciństwie, w pamięci pojawiają się nieliczne obrazy domu, mebli i ich ustawienia, zmian pór roku w ogródku na tyłach domu. Jeśli chodzi o matkę, to najlepiej pamiętam jej ciało w łóżku, lekkie jak piórko, chłód jej dłoni, których dotknęłam chyba po raz pierwszy od dzieciństwa, jej ramię, które ugięło się pode mną, kiedy z płaczem przytuliłam się do niej.

Przez chwilę piłam, wspominając, potem odstawiłam butelkę i wydobyłam wieczorną lekturę. Zdradzę wam, że w stosach „National Geographic” przechowywałam kilka świerszczyków ojca. Wyjęłam jeden i wertowałam z rozbawieniem, dopóki sen mnie nie zmógł.

Wigilia

Mama nie robiła mi do szkoły drugiego śniadania. Kiedy inne dzieci zajadały kanapki, siedziałam ze wzrokiem wbitym w kolana, a w brzuchu burczało mi z głodu. Po powrocie do domu natychmiast opychałam się chlebem z masłem i tym, co udało mi się wypatrzyć w zabałaganionej kuchni. W moim dzieciństwie obiady Dunlopów trudno było nazwać pożywnymi. Posiłki trwały krótko i były krępujące. Rodzice kłócili się tylko w obecności mojej i Joanie, jakby potrzebowali widowni do przerobienia swoich problemów. Matka jojczyła, ojciec zrzędził, rzucał w nią widelcem przez stół, zerkając przy tym na smith & wessona, który spoczywał obok jego talerza. Jeśli grymasiłyśmy z Joanie, mama waliła szmatą w podłogę tak mocno, że dźwięk przypominał wybuch fajerwerku albo trzask pioruna. Nie pamiętam, o co się wiecznie kłócili. Szybko połykałam jedzenie, wrzucałam talerz do zlewu i biegłam na górę. Na domiar złego mama była beznadziejną kucharką. Sama zaczęłam się dobrze odżywiać dopiero przy drugim mężu. Wytłumaczył mi, że stek to nie jest łykowaty, cienki płat ścięgien przyschnięty do patelni, tylko pulchny, soczysty, wonny smakołyk, którego najlepszą część da się jeść nawet drewnianą łyżką. W pierwszym miesiącu wspólnego mieszkania przytyłam z pięć kilo. Tam, w X-ville, obiady Dunlopów składały się co najwyżej z łykowatego kurczaka, purée ziemniaczanego z pudełka, fasoli z puszki, zwiędłego bekonu. Boże Narodzenie różniło się tylko nieznacznie. Pamiętam, że co roku jedliśmy kupne ciasto biszkoptowe. Dunlopowie nigdy nie grzeszyli obżarstwem.

Za to alkohol podczas świąt lał się szeroką strugą, a jakże. Oto jak wyglądały nasze świąteczne celebracje: mama stawia na stole szejker do koktajli – „Zróbmy to, jak Pan Bóg przykazał!" – żeby spreparować drinki o nazwach: Diplomat i Stormy Weather. W dawnych czasach drinki miały urocze nazwy: Maggie May, Old Fashioned. Mama robiła swoje, a tata swoje, Blue Blazery i koktajle, z wyśmienitych składników, które dostawał na każde Boże Narodzenie od mundurowych kolegów. Mieliśmy w domu książeczkę z rozmaitymi przepisami. Naturalnie, zdarzało mi się skosztować gotowego produktu, kiedyś zżułam pół butelki wisien w likierze przy okazji miksowania Lee Burnów, Mamie Taylor i Manhattanów. Moim ulubionym koktajlem był Whisky Milk Punch, bo w smaku przypominał zwykły koktajl mleczny. Zapamiętałam też dobrze Morning Glory, przy którym zlecano mi rozbijanie

jajek, jakbym była jakąś podkuchenną. Lubię tamte wspomnienia: patefon gra, ogień buzuje, ja siedzę grzecznie gdzieś w kącie, spijając pianę z koktajlu, i ciągle jeszcze liczę na porządne prezenty pod choinką – mikroskop, pudełko farb – podczas gdy Joanie zabawia gości w salonie, rytmicznie wyginając się w takt Elvisa.

Boże Narodzenie było jedynym dniem w roku, kiedy rodzice przyjmowali gości. Ciotka Ruth, moja jedyna ciocia, nie interesowała się zbytnią mną i Joanie, kiedy byłyśmy małe – coś, czego nigdy nie mogłam pojąć ani wybaczyć – i piła wyłącznie dżin z wermutem. Dżin musiał płynąć w krwi Dunlopów od pokoleń. Niewykluczone, że przeznaczenie dopadło ciotkę Ruth wcześniej niż ojca. Wermut raczej niespecjalnie jej służył. Wiecznie chodziła skrzywiona, skórę na nieomal wklęsłej twarzy, lśniącej jak kałuża, miała bladą jak wosk. Na dnie wszelkich jej uczuć zawsze tliła się gorycz. Na Gwiazdkę rok w rok przynosiła coś w rodzaju szynki z puszki czy słoja masła orzechowego, tanią szkocką dla taty, czekoladki dla mamy. Nie miała dzieci i lubiła rządzić, żądając od nas odmawiania modlitwy przed przystąpieniem do posiłku. Moja matka, która zwykle zdążyła się już upić, wywracała oczami albo szczypała mnie pod stołem, żeby mnie rozśmieszyć. W święta mama była całkiem do rzeczy. W każdą Wigilię, kiedy szłam do łóżka pijana i napchana ciastem biszkoptowym, liczyłam na jakiś cud. W pierwszy dzień świąt ojciec zawsze dawał mnie i Joanie po banknocie dolarowym oblepionym kłaczkami z dna kieszeni spodni od munduru. Parę razy dostałyśmy od mamy nowe skarpetki albo ołówek i na tym się kończyło.

Po śmierci matki zawarliśmy z ojcem niepisaną umowę, że damy sobie spokój z Gwiazdką. Tylko jednego roku zrobiłam mu prezent – którego bezużyteczność była jak policzek – krawat. Joanie przysyłała nam zwykle kartkę, jeśli przypomniała sobie w porę. Wiedziałam, że urządza przyjęcia świąteczne u siebie, ale nigdy mnie nie zapraszała. Nie mam jej tego za złe. Nie byłam zbyt zabawna.

Budząc się w tamtą pamiętną Wigilię, ostatnią, którą spędziłam w X-ville, miałam sześćset czterdzieści siedem dolarów zachomikowanych w szkatułce na biżuterię. W tamtych czasach była to całkiem spora sumka. Oszczędności życiowe. No i miałam broń. Wyciągając rewolwer spod poduszki, czułam się bajecznie. Byłam świadoma jego bogatej historii. Ojciec najpierw używał go na służbie jako atrybutu władzy, a potem jako straszaka na gangsterów, których nikt poza nim nie widział. Owi wyimaginowani przestępcy wiedzieli, że nie ma z nim żartów. Trzeba przyznać, że kiedy człowiek trzyma broń

w garści, wstępuje w niego szatańska pycha. „Ten rewolwer utoruje mi drogę do wolności”, myślałam w wigilijny poranek, mierząc do wyimaginowanych wrogów. Wstyd mi, gdy myślę, jak łatwo ów gadżet dodał mi pewności siebie i wiary we własne możliwości. Postanowiłam pokazać go wieczorem Rebecce. Może namówię ją, żebyśmy poszły do lasu postrzelać do drzew? Albo na zamarznięty staw – postrzelać do księżyca? Albo pojedziemy na plażę, zrobimy orła na śniegu, a potem będziemy strzelać do gwiazd? Takie to właśnie romantyczne plany snułam na okoliczność wspólnego wieczoru z najlepszą przyjaciółką.

Leżąc na łóżku polowym, zachodziłam w głowę, jak się ubrać. Zakładałam, że Rebecca będzie ubrana wygodnie – żadnych długich sukien czy drogocennej biżuterii, w końcu będzie u siebie – za to ładnie; może w gruby kaszmirowy sweter i obcisłe spodnie, jak Jackie Kennedy na nartach. Co się tyczy samego domu, to wyobrażałam sobie ciemne orientalne dywany, wielkie kanapy z aksamitnymi poduszkami i niedźwiedzią skórę przed kominkiem. Albo bardziej surowe, nowoczesne wnętrze: podłogi z ciemnego drewna, stoliczek do kawy z mrożonego szkła, bordowe zasłony, świeżo ścięte róże. Byłam podekscytowana. Drzemałam, robiąc w myślach przegląd garderoby mojej matki i kompletując strój, w którym wystąpię wieczorem. Znałam na pamięć każdą sztukę. Jak już wspomniałam, nic na mnie nie pasowało, więc często nosiłam na sobie po kilka warstw swetrów albo długie kalesony, żeby czymś wypełnić ubrania. Leżąc, oddawałam się niezbyt eleganckiej manierze bębnienia pięściami po brzuchu i szczypania się po śladowych ilościach tłuszczu na udach. Wierzyłam, że im mniej mnie będzie, tym mniej będę mieć zmartwień. Może właśnie dlatego nosiłam stroje matki – żeby nie stracić ani na chwilę czujności, dzięki której nigdy nie osiągnęłam jej i tak drobnych rozmiarów. Życie matki, życie kobiety wydawało mi się czymś nieskończenie obrzydliwym. Nic w tamtych czasach nie przerażało mnie bardziej niż perspektywa zostania matką bądź żoną, choć w wieku zaledwie dwudziestu czterech lat pełniłam przy ojcu obowiązki jednej i drugiej.

– Eileen! – zawołał ojciec, gramoląc się po schodach na strych. – Monopolowy już się otwarł. Złaź na dół, ale to migiem.

Spojrzałam z góry: stał ubrany, wsparty pod boki.

– Dziś jest Wigilia, prawda?

– Nie, tato – próbowałam go nabrać. – Przegapiłeś. Wczoraj już było Boże Narodzenie.

– Mądralińska, ujdzie ci to płazem, jeśli teraz się pospieszysz.

– Dobrze. Ale kto będzie prowadzić?

– Ty prowadzisz. No już, wskakuj w auto. Jedziemy. Jadę z tobą.

Nieczęsto zdarzało się, żeby ojciec wychodził z domu jak zdrowi ludzie, ale tamtego ranka się uparł. Może jakimś szóstym zmysłem przeczuwał, że go porzucę, najprawdopodobniej jednak bał się, że sklepy zostaną pozamykane na święta, i wolał sam dopilnować, żebym kupiła dość alkoholu na dwa dni. Nigdy mi nie wyjaśnił, co go skłoniło, żeby przenieść się z fotela na górę. Mogło to być posunięcie strategiczne. Bez rewolweru był zdany na łaskę gangsterów, więc znalazł lepszą kryjówkę. Może uważał, że skoro i tak zginie, to śmiertelne łoże matki było najodpowiedniejszym miejscem. Naturalnie nie zamierzał się łatwo poddać. Zachowywał się czujnie jak zawsze.

– Szybciej, bo nic nie zostanie! – wrzasnął, otwierając drzwi, przez które wdarł się słoneczny poranek. – W święta wszyscy rzucają się na alkohol. Masz klucze? Zamknij dom. Ludzie o tej porze roku dostają małpiego rozumu. Krzywa przestępstw gwałtownie skacze w górę. Są na to naukowe dowody. Chryste, czemu się tak guzdrzesz?

Wyszłam na zewnątrz, wyjęłam jego buty z bagażnika i rzuciłam na ganek. Ojciec plótł jak najęty:

– Wszyscy wychodzą, nie zamykając porządnie drzwi. Jak tak można? Banda idiotów. Nie wiedzą, że w tym mieście roi się od złodziei?

Wsunął stopy w trzewiki i poczłapał do samochodu, krzywiąc się i osłaniając drżącymi rękami oczy przed światłem, jakby był jaskiniowcem, który nigdy nie wychodzi na zewnątrz. Usiadł na przednim siedzeniu i podał mi nogę, a potem drugą, żebym mu zawiązała sznurówki.

Ulice, którymi jechaliśmy do monopolowego, znów skrzyły się świeżym śniegiem. Latarnie były oplecione wstążkami i ostrokrzewem, witryny sklepów zdobiły świąteczne dekoracje. Ludzie szli szybko po chodnikach, ubrani elegancko w kapelusze, płaszcze w kratę, botki i grube rękawice. Rąbki damskich spódnic zawadzały o zaspy na poboczach. Wszyscy nieśli naręcza owiniętych w ozdobny papier prezentów, które ładowali do bagażników. Ludzie zdawali się poruszać w takt jakiejś niesłyszalnej muzyki. Na trawnikach przed domami dzieci lepiły bałwany; bawiły się też na dziedzińcu biblioteki publicznej. Brakowało mi później starej biblioteki w X-ville. W tamtych czasach nie zdawałam sobie sprawy, że te książki ratowały mi życie. Opuściłam szybę.

– Zimno – poskarżył się ojciec. Nigdy mu nie wspomniałam o problemie z rurą wydechową.

– Strasznie tu duszno – powiedziałam.

Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze śmierdziało rzygami, ale ojciec raczej tego nie czuł. Obstawiałam, że dżin, parujący przez pory skóry i obecny w każdym jego wydechu, zagłuszał pozostałe zapachy.

– Duszno? Komu to przeszkadza?

Sięgnął ręką przed moim brzuchem, ocierając się o uda, a potem, podkręcając szybę do góry, wbił mi mocno łokieć w kolana. Miał w nosie, że coś mnie boli albo krępuje. Kiedy zaczęłam pokwitać, czasami wieczorem, kiedy pili z matką przy kuchennym stole, wzywał mnie, żeby oszacować postępy moich piersi.

– Słabo ci idzie, Eileen – mówił, szczypiąc mój mikroskopijny biust. – Musisz się bardziej postarać.

– Dajże spokój – mitygowała go ze śmiechem mama. – Przestań jej dokuczać.

Aż pewnego dnia się zirytowała.

– Jest już za duża, żebyś jej dotykał, Charlie.

Naturalnie mogło być gorzej. Ojcowie innych dziewczyn ocierali się o nie, macali je i gwałcili. U mnie skończyło się na dźganiu palcem i drwinach. Mimo to czułam się zraniona i wściekła i w późniejszym życiu dostawałam szału, kiedy ktoś mierzył mnie i oceniał. Mężczyzna, z którym mieszkałam przez pewien czas, sugerował, że podświadomie marzę o dużym biuście i mam wyrzuty, że zawiodłam ojca małymi „buforami". Uważał, że „każda dziewczynka marzy o tym, żeby ją ojciec macał po cyckach". Debil. Był marnym muzykiem z zamożnej rodziny. Znosiłam go przez pewien czas wyłącznie dlatego, że liczyłam na to, iż dokopie się we mnie jakiejś mrocznej prawdy, co mu się bodaj udało. Byłam głupia, że zadałam się z tym typem. W ogóle byłam naiwna w relacjach z mężczyznami. Musiałam wiele się nauczyć na temat miłości, pomieszkać w wielu domach pewnej dzielnicy, zanim zmądrzałam. Teraz nareszcie mieszkam sama.

– Którędy jedziesz, u diabła? – syknął ojciec ze zgrozą, zsuwając się z fotela, kiedy brałam zakręt. Jak już wspomniałam, miał nierówno pod sufitem. Bał się własnego cienia. – Tędy się nie jeździ. Tu mieszkają złoczyńcy, a ja, psiakość, nie wziąłem broni.

– Będziemy rzucać w nich śnieżkami. – Roześmiałam się.

Broń, rzecz jasna, spoczywała w mojej torebce. Ojciec wolał wierzyć, że mu się gdzieś zawieruszyła. Miałam to w nosie. Nic nie mogło mi zepsuć dobrego humoru. Nareszcie będę miała fajne Boże Narodzenie, spędzone w towarzystwie Rebekki. Choćby mnie ojciec rozebrał do naga i tarzał po tłuczonym szkle, nic mnie nie ruszy. Wkrótce znajdę się w domu Rebekki,

a tam czeka mnie królewskie przyjęcie.

– Zabierz mnie stąd – zaskomlał ojciec, naciągając kołnierz płaszcza na głowę, kiedy staliśmy na światłach. – Gangsterzy – mamrotał, pokazując ręką za siebie; z jego oczu wyzierała panika.

Zachichotałam w odpowiedzi i zaczęłam krążyć po ulicach X-ville, mijając cmentarz i komisariat, po czym zawróciłam, zataczając koło na parkingu przed podstawówką. Zdaje się, że chciałam mu solidnie dopiec.

– Mów, co widzisz – błagał. – Jadą za nami? Widzieli mnie? Zachowuj się, jak gdyby nigdy nic. Nie rozmawiaj. Po prostu jedź. I otwórz okna; tak, to dobry pomysł. Jak będą do nas strzelać, to nie poniszczą szyb.

Ochoczo opuściłam szybę. Obłęd mojego ojca sprawiał mi tamtego dnia przyjemność. Był postacią komediową, a może wręcz slapstickową. Kiedy dotarliśmy do Lardnera, ojciec półszeptem obstalował u sprzedawcy, pana Lewisa, skrzynkę dżinu. Sam wziął z półki kilka paczek czipsów. Kupiłam butelkę wina na wieczór z Rebeccą, a tato nie pytał o nic. W drodze do domu leżał w poprzek na tylnym siedzeniu, trzęsąc się i pocąc. A kiedy wjechałam na podjazd, wyczołgał się z samochodu i zataczając się, ruszył po śniegu w stronę ganku, błagając mnie, żebym „szła szybciej, otwarła drzwi i wpuściła go do środka, bo na zewnątrz jest niebezpiecznie”. Spokojnie wyjęłam z auta skrzynkę z dżinem i postawiłam na schodkach, ale ojciec nie chciał czekać, wcisnął się przez okno do salonu, łając mnie za to, że go nie zamknęłam. Kiedy otwarł od wewnątrz drzwi wejściowe, oderwał wieko skrzynki, wyszarpnął ze środka dwie butelki i włożył jedną pod jedną, a drugą pod drugą pachę.

– Dochowałem się idiotki! – Zawrócił truchtem do środka, po drodze zrzucając buty. – Dwa dni się poniewierała! – wychrypiał i opadł na swój fotel z zamarzniętą gazetą, którą znalazł na ganku.

Byłam za bardzo pochłonięta własnymi planami, żeby pamiętać o zamknięciu jego butów w bagażniku.

Na górze znalazłam pigułki mamy, które schowałam do torebki. Wolałam je mieć na później, na wypadek, gdybym musiała spędzać Boże Narodzenie z ojcem po jego powrocie z kościoła. W tej sytuacji miałam zamiar przetrwać jakoś ten dzień pogrążona w głębokim półśnie. Wróciłam na łóżko polowe, ponownie oddając się fantazjom o wieczorze z Rebeccą. Wyobrażałam sobie, że mówi: „W życiu nie znałam kogoś takiego jak ty”. Albo: „Nigdy nie czułam z nikim tak głębokiego pokrewieństwa dusz. Tyle nas łączy. Jesteś cudowna”. A potem wyobrażałam sobie godziny ożywionej konwersacji, pyszne wino, ciepły ogień w kominku. „Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Kocham cię”,

mówiła Rebecca i całowała mnie w rękę tak, jak całuje się rączkę Fatimy albo dłoń księdza. Wyciągnęłam spod siebie dłoń, czerwoną i sprasowaną, i ucałowałam z nabożeństwem. „Ja też cię kocham", powiedziałam do swojej ręki, po czym śmiałam się z własnej głupoty, naciągając kołdrę na głowę. Czekałam na telefon od Rebekki. Nie wiedzieć kiedy zasnęłam. Nie pamiętam tamtych snów, ostatnich snów, jakie śniłam w rodzinnym domu, a szkoda. Mam nadzieję, że były przyjemne.

Pamiętam za to, że późniejszym popołudniem zbudziły mnie jękliwe nawoływania z dołu schodów.

– Co się stało, tato?! – wrzasnęłam, wyskakując z łóżka.

– Dzwonił telefon. Jakaś pani cię szuka. Może z policji, kto ją tam wie.

– I co jej powiedziałeś?

Czekałam na odpowiedź, przestępując z nogi na nogę.

– Nic. – Rozłożył ręce bezradnie. – Nie wiem nic, więc nic nie powiedziałem. Ani mru-mru.

Rzuciłam się pędem do kuchni, gdzie zastałam dyndającą na kablu słuchawkę, która postukiwała w szafkę kuchenną.

– Cześć, wigilijny aniołku – powitała mnie Rebecca, gdy przytknęłam słuchawkę do ucha.

Zanim zrelacjonuję wam moje wspomnienia z tamtego wieczoru, chcę zaznaczyć, że nigdy przedtem nie miałam prawdziwej przyjaciółki. Kiedy byłam dziewczynką, miałam tylko Joanie, która nie przepadała za mną, i jedną, może dwie koleżanki w podstawówce, zwykle, jak ja, outsiderki. W gimnazjum była jeszcze dziewczyna z nogami w klamrach, a w liceum grubaska, która się prawie nie odzywała, no i skośnooka córka właścicieli chińskiej restauracji w X-ville, ale nawet ona wypięła się na mnie, kiedy założyła grupę cheerleaderek. To nie były prawdziwe przyjaźnie. Przeświadczenie, że przyjaciel to ktoś, kto cię kocha, i że miłość to gotowość na wszystko, największe poświęcenie, żeby uszczęśliwić bratnią duszę, skazywało mnie na bolesny zawód, dopóki w moim życiu nie pojawiła się Rebecca. Trzymałam telefon przy sercu. Brakowało mi tchu. Miałam ochotę piszczeć z radości. Każdy, kto kiedyś był zakochany, zna to cudowne oczekiwanie, tę euforię. Czułam, że zaraz zacznie się coś niebywałego. Chyba jednak byłam zakochana w Rebecce. Obudziła w moim sercu uśpiony płomień. Już nigdy później nie czułam w sobie takiego ognia. Tamten dzień niewątpliwie był najbardziej podniecającym dniem w moim życiu.

Mówiła, żebym przyjechała, kiedy tylko zechcę. Ona sama miała nastrój „wypoczynkowy". „Po prostu posiedzimy i poplotkujemy. Zero wysiłku, sama

przyjemność. Jest parę płyt, które możemy puszczać, a może znów potańczymy, jeśli nas coś napadnie". Pamiętam każde słowo wypowiedziane tym spokojnym, modulowanym głosem. Nabazgrałam na czymś jej adres – nazwa ulicy nic mi nie mówiła. Odwiesiłam słuchawkę i stałam przez chwilę na miękkich nogach, półprzytomna ze szczęścia.

– Odwal się ode mnie – burknęłam, kiedy ojciec postukał w stół kuchenny, żeby wytrącić mnie z transu.

– Przynieś mi czipsy! – krzyknął za mną. Raczej już nie pamiętał o moim rzekomym wieczorze w towarzystwie Leonarda Polka. Pewnie spłukał to kłamstwo wczorajszym dżinem.

Pobiegłam na górę, szykować się do wyjścia. Moja twarz w lustrze nie wydawała mi się tak przerażająca jak zwykle. Skoro Rebecca miała ochotę ją oglądać, to może nie była aż taka straszna. Nie do wiary, co umysł wyprawia, kiedy serce wali jak młotem. Wybrałam z szafy mamy szary lniany kostium; czułam, że spodoba się Rebecce. Ważne, że nie był krzykliwy. Musiałam w nim wyglądać na starą babcię, ale wtedy wydawał mi się stosowny: stonowany, dojrzały, bez udziwnień. Z perspektywy czasu widzę, że był to idealny kostium asystentki – służbowy mundurek, bez cienia indywidualizmu. Włożyłam nylonową halkę, nową parę granatowych pończoch, botki i płaszcz z wielbłądziej sierści po mamie. Trudno się dziwić, że zapamiętałam doskonale elementy mojej garderoby, bo to w nich właśnie wyjechałam z X-ville i były jedynymi ubraniami mamy, które ze sobą zabrałam. Wbrew starannie przemyślanym planom wyjechałam tylko z kilkoma sztukami garderoby na grzbiecie i oczywiście z torebką wypchaną pieniędzmi i rewolwerem. Uczesałam się przed lustrem. Tłusta szminka wydała mi się nagle czymś pretensjonalnym, kiczowatym, kretyńskim. Postanowiłam wyjść bez makijażu. Ostatecznie Rebecca również się nie malowała. Myślę też, że moja tęsknota za bliskością Rebekki, pragnienie bycia rozumianą i akceptowaną przez nią skłoniły mnie, żeby pokazać się jej bez maski z makijażu i kamiennej twarzy.

Pamiętam, że wybiegłam do samochodu po mapę X-ville, a kiedy wracałam do domu po muldach skrzącego się śniegu, nogi rozjeżdżały mi się jak sarence. Rozsadzała mnie energia. Ostrożnie domykając drzwi, rzuciłam jeszcze okiem na zewnątrz. Zza nagich gałęzi drzew napływały dźwięki kościelnych dzwonów. Przez chwilę chłonęłam piękno dogasającego dnia: słońce zachodziło i na niebie pojawiły się pomarańczowo-niebieskie smugi. Byłam szczęśliwa, tak mi się w każdym razie wydawało.

Szybko znalazłam drogę do domu Rebekki, który stał w niedobrej dzielnicy

– co jakoś nie wzbudziło we mnie żadnych podejrzeń – po czym złożyłam mapę z powrotem i wsunęłam do kieszeni. Mam ją do dziś, przypiętą do wewnętrznej strony drzwi szafy. Przez ten czas wyblakła i stwardniała. Towarzyszyła mi latami i wylałam nad nią niejedną łzę. To mapa mojego dzieciństwa, mojego smutku, mojego raju, piekła i rodzinnych stron. Kiedy spoglądam na nią teraz, moje serce najpierw wzbiera wdzięcznością, a potem wzdraga się z odrazą.

Zanim wyruszyłam do Rebekki, łyknęłam wermutu na uspokojenie, włożyłam czarne skórkowe rękawiczki mamy i czapkę z lisa – nie miała szynszyli – po czym rzuciłam „do widzenia" ojcu, który nachylał się nad zlewem, obierając jajko na twardo.

– Dokąd to się idzie? – wybełkotał przyjaźnie.

– Na wigilię. – Porwałam butelkę wina.

W pierwszej chwili go zatkało!

– Proszę bardzo, pod warunkiem że się nie spóźnisz na obiad – zakpił. Chichocząc, włożył całe jajko do ust i wytarł ręce w koszulę.

Ostatni raz jedliśmy prawdziwy obiad wiele lat przed śmiercią matki, pewnie z okazji czyichś urodzin – spalona na wiór kura z patelni, gar rozgotowanego makaronu. Jajko na twardo i paczka czipsów to była cała świąteczna strawa ojca. Czy miałam wyrzuty sumienia, zostawiając go na wieczór samego? Bynajmniej. Byłam pewna, że wrócę na noc, pomóc mu dźwigać ciężar jego trosk, wysłuchiwać jego skarg, może nawet napić się z nim rano, zanim pojedzie do kościoła, a ja połknę ostatnią garść pigułek matki, które, na oko, byłyby zdolne wykasować mnie na resztę dnia. Wolałam nie żałować ojca, że zostaje w Wigilię sam, bo ile razy wyczuł we mnie litość, natychmiast odpowiadał celnie wymierzoną zniewagą.

– Jesteś blada jak upiór, Eileen – stęknął, moszcząc się w fotelu. – Dzieci na twój widok zsikają się ze strachu.

Zaśmiałam mu się w twarz. W tamtej chwili nie mógł mnie niczym zranić.

Wykopanym w zaspach tunelem wyjechałam na ciemną lśniącą jezdnię. Zmierzałam ku mojemu przeznaczeniu.

Spokój na ulicach, wirujące w powietrzu płatki śniegu, obrazki z życia rodzinnego za oknami domów, rozmigotane lampki na każdej choince pogłębiały nastrój przyjemnego oczekiwania, w jakim jechałam przez X-ville do Rebekki. Aromat pieczeni i ciasta łagodził smród spalin i wymiocin w dodge'u, zresztą wcale mi nie zależało na atmosferze świąt. Miałam Rebeccę. Życie było cudowne. Mój zarzygany, zaczadzony mikrokosmos był,

na przekór wszystkiemu, czarowny. Obserwowałam przez otwarte okno, jak goście schodzą się do jakiegoś domu, dziecko niesie placek w szklanym naczyniu żaroodpornym, a rodzice butelki wina opakowane w czerwoną folię i wstążki. Wyglądali na szczęśliwych, ale ja nie zazdrościłam nikomu tej Wigilii, święta stworzonego głównie dla ludzi, którzy lubili się użalać nad sobą i rozgrzebywać stare rany, podlewając to ajerkoniakiem i winem. Flaszka, którą kupiłam dla Rebekki, leżała na sąsiednim fotelu, ciągle w badziewnej torbie z szarego papieru, jaką dają w monopolowym. Dotarło do mnie, że powinnam zapakować wino w coś lepszego, poszukać gdzieś ozdobnego papieru i wstążki. Stanąć w progu z niechlujnie owiniętą butelką wydało mi się nagle skrajną niewdzięcznością, o ile nie wręcz zniewagą. Chyba Rebecce należy się coś więcej? Zastanawiałam się, czyby nie zastukać do pierwszych lepszych drzwi albo nie przekopać kubła na śmieci przed jakimś domem, żeby skombinować arkusz papieru w biało-czerwone paski lub inne świąteczne motywy, ale zabrakło mi odwagi. Jednak papierowa torba to był ciężki obciach.

Same niebiosa ulitowały się nade mną – kiedy jechałam Bayer Street, reflektory dodge'a omiotły szopkę ustawioną na śniegu u stóp niewielkiego pagórka. Jakaś staruszka wchodziła właśnie przez masywne drzwi do kościoła Najświętszej Marii Panny na szczycie wzgórza. To był kościół, do którego mój ojciec uczęszczał w każdą niedzielę. Zahamowałam przed szopką, bo coś przykuło moją uwagę. Szopka była niewymyślna, proste figury stały na śniegu, okolone drewnianym płotkiem sięgającym do kolan. Matka Boska klęczała obok Józefa, oboje mieli bordowe szaty przewiązane sznurem. Maryja trzymała na rękach zawiniątko w złotej tkaninie. Wysiadłam z samochodu i nagle doznałem olśnienia.

Figury były z malowanego drewna i nawet całkiem mi się spodobały. W dzieciństwie uwielbiałam lalki, ale po moich szóstych urodzinach matka zebrała je do kupy i wyrzuciła. Figura Matki Boskiej miała na twarzy szeroki uśmiech. Kiedy podeszłam bliżej i przystanęłam na odśnieżonym chodniku, zauważyłam, że jej usta ktoś powlekł czymś, co wyglądało jak czerwona jarmarczna szminka, a na wierzchu czarnym flamastrem dorysował wyszczerzone w upiornym uśmiechu zęby. Niezły numer. Z kościoła niosły się hymny, fisharmonia grzmiała triumfalnie nad anemicznym pieniem wiernych. Jakieś dziecko zaczęło płakać. Przeszłam przez płotek, zostawiając po sobie odciski butów. Szmatka wokół domniemanego Dzieciątka Jezus okazała się grubym syntetykiem koloru musztardowego, przytwierdzonym taśmą klejąca do wyciągniętych rąk Maryi. Zdjęłam rękawiczki i pomacałam

taśmę, lepką od wilgoci. Materiał okazał się gładziuteńki w dotyku. Muzyka ucichła i ksiądz zaczął odprawiać mszę. Jego głos brzmiał groźnie, co jednak nie powstrzymało mnie od zerwania taśmy z rąk Maryi i zdjęcia złotej szmaty. Pod spodem był pusty kanister na benzynę. Byłam zadowolona z siebie. W samochodzie owinęłam wino w kołderkę Dzieciątka. Całość prezentowała się nieźle. Zerknęłam w mapę i ruszyłam dalej.

Niektóre obrazy powracają do mnie we wspomnieniach. Pamiętam cmentarz spowity śniegiem, który mienił się odcieniami błękitu, rzeźbione zwieńczenia płyt nagrobnych sterczące spod skorupy śniegu i długie, zanikające cienie drzew. Słońce właśnie zaszło i na ulicach robiło się ciemno. Latarnie rzucały mdłe żółte światło, a niektóre ograniczały się do migotania. Domy stawały się coraz niższe i coraz ciaśniej rozstawione. Miejsce kolonialnych domów z czerwonej cegły, podobnych do tych w mojej dzielnicy, zajęły wypłowiałe drewniane chatki rozmiarów przyczepy kempingowej – domostwa tak zwanych mniej zamożnych, czyli, powiedzmy sobie szczerze, biedaków. Właściwie były to wiejskie chałupy, tandetna zabudowa typowa dla nadmorskich slamsów. Minęłam sklep na rogu, którego szyby były oklejone przedpotopowymi reklamami papierosów, a ceny chleba, piwa i jajek ręcznie wymalowane na szkle.

Kiedy dotarłam na ulicę Rebekki, tylko w nielicznych wąskich, lichych domkach paliło się światło. Dzielnica leżała bliżej morza niż moja, wiatr wiał tu mocniej, a domy zdawały się przywierać do ziemi, jakby broniły się przed czymś. Podwórka były ogrodzone metalową siatką, na podjazdach stały samochody. Zachodziłam w głowę, co kazało Rebecce wybrać tę, a nie inną dzielnicę. Za pensję w więzieniu na pewno stać ją było na wynajęcie mieszkania w jakimś ładnym miejscu. Wydawała się osobą zamożną – nosiła się modnie, jej ubrania wyglądały na kosztowne. Ale nawet gdyby chodziła w łachmanach, nikt by nie uwierzył, że jest biedna. Bogatych ludzi poznaje się nie po stroju, tylko po dumnie uniesionym podbródku, zdrowej cerze, wyważonych reakcjach. Kiedy ubogi usłyszy nagły huk, błyskawicznie ogląda się za siebie. Bogaty człowiek kończy zdanie, a potem odwraca głowę. Rebecca była bogata, czułam to, więc zastanawiał sam fakt, że mieszka w X-ville. Należałoby się spodziewać, że wybierze miejsce pełne życia, takie jak Boston, Cambridge, zapragnie mieszkać pośród młodych, interesujących ludzi, z dostępem do sztuki i wielu ciekawych rzeczy. Może nie lubiła długich dojazdów do pracy. Kto ją wie? Może nigdy nie była snobką, a ja niesłusznie zakładałam, że lubi otaczać się luksusem. Jadąc wolno jej uliczką, uznałam, że ma ona w sobie nawet pewien mroczny powab. Zastanawiałam się, ile

odwagi i serca wymagała od bogatej dziewczyny decyzja, żeby mieć za sąsiadów ludzi pracujących w fabrykach, na stacjach benzynowych i kutrach rybackich, o ile ktoś tutaj w ogóle pracował. To była jedna z dzielnic, w których mój ojciec mógł się wykazać, pałując nastolatków, urządzając naloty na domy, z których niosły się pijackie wrzaski, w których roiło się od zabeczanych dzieci, mężczyzn z długimi włosami i nalanych, pomarszczonych kobiet z tatuażami i pieńkami zębów, chodzących po domu w samej halce.

Aż wreszcie zobaczyłam dom Rebekki, ciemnobrązowy, piętrowy budynek z białymi wykończeniami i zamarzniętym wiechciem jakiejś rośliny przy drzwiach wejściowych. Mimo to był zdecydowanie mniej ponury od okolicznych domów. We wszystkich oknach świeciły się światła, z wnętrza dobiegała muzyka tak głośna, że słyszałam ją nawet w samochodzie. Stanęłam, zasunęłam szyby, przejrzałam się we wstecznym lusterku i wysiadłam z butelką w ręku. Od tamtej chwili pamiętam wszystko jak w zwolnionym tempie. Otwarłam furtkę i weszłam na podwórze. Moje czarne botki same znalazły wąską oblodzoną ścieżkę, byle jak odmiecioną ze śniegu. Szłam ostrożnie, żeby się nie pośliznąć i nie upaść, bo bałam się, że stłukę wino, w dodatku będę wyglądać pokracznie. Czułam się nieswojo. Dawno już nie byłam w żadnym fajnym miejscu. Wchodząc po schodkach, zauważyłam cień przesuwający się za żółtymi firankami. Przytrzymując biodrem ramę z moskitierą, zastukałam do drzwi z malowanej sklejki, które otwarły się niezwłocznie.

– Jesteś!

To była Rebecca. Trzymała na rękach brudnego białego kota wczepionego pazurkami w jej rozpuszczone włosy. Kot spojrzał na mnie i fuknął.

– Nie przejmuj się nim… nią – powiedziała. – Jest niespokojny, bo jego pani reaguje trochę histerycznie.

– Cześć – powiedziałam niepewnie. – Wesołych świąt.

– W ogóle prawie zapomniałam, że dziś Wigilia. Wchodź.

Rzuciła kota na podłogę z głuchym stukotem, a on uciekł, fukając. Rebecca też od pierwszej chwili sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Przemknęło mi przez myśl, że może przyszłam nie w porę. Zaczęłam się rozglądać, gdzie by powiesić płaszcz. Ze ścian sionki obłaziła ciemnobrązowa farba. Obskurna metalowa poręcz prowadziła na górę po niemożliwie brudnych schodach wyłożonych dywanem wystrzępionym kocimi pazurami.

– Przywiozłam wino. – Rozwinęłam złotą szmatę i odwróciłam butelkę etykietą do Rebekki.

– Równa z ciebie babka – pochwaliła. Było coś dziwnego w jej zachowaniu.

Wydawała się sztuczna i napięta, mimo to jej słowa mi schlebiały. – Świetnie, że o tym pomyślałaś. – Wyjęła papierosa z kieszeni przybrudzonego białego szlafroka kąpielowego, który narzuciła jak podomkę na normalne ubranie, co nie najlepiej wyglądało.

Może przyjechałam za wcześnie?

– Wybacz ten strój – przejechała dłonią po szlafroku – ale nie chcę pobrudzić ubrania. Zapalisz?

Zapalając papierosa, podsunęła mi paczkę. Poczęstowałam się, żonglując rękawiczkami, butelką i torebką. Rebecca podała mi ogień, ściskając zapalniczkę w drżącej dłoni i uciekając wzrokiem. Śmierdziało kocimi szczynami, dymem tytoniowym i zastarzałym potem, zupełnie jak z fotela mojego ojca. Do tego było zimno. Zostałam w płaszczu.

– Wybacz ten straszny bałagan, ale dopiero wzięłam się tam do sprzątania. – Skinęła w stronę kuchni. – Usiądźmy wreszcie i odkorkujmy wino.

Przeszłyśmy przez coś, co wyglądało jak salonik, mijając drewniany stolik, na którym piętrzyły się jakieś rupiecie i nieotwarte koperty, telewizor z szumem na ekranie, stertę prania rzuconą na kanapę. Ściany były gołe, jeśli nie liczyć kilku jaśniejszych prostokątów na burej tapecie – śladów po dawnych obrazkach. Muzyka z adaptera trzęsła domem, brzmiąc jak Rachmaninow albo Wagner, choć miałam wrażenie, że poznaję Pata Boone'a i jego ckliwe miłosne piosenki, brzmiące niepokojąco, mrocznie i złowrogo. Przez drzwi kuchenne, obok których wisiał telefon, widziałam samotne krzesło stojące przy niewielkim stole z laminowanym blatem, zlew pełen brudnych naczyń, otwarte opakowanie krojonego chleba, który rozsypał się po blacie obitym pożółkłym linoleum. Zegar tykał wysoko na ścianie nad kalendarzem otwartym na maju 1962 roku, ze zdjęciem salutującego marynarza o męskim podbródku. Obok stołu kuchennego stał kubeł na śmieci gotowy na przyjęcie łupin fistaszków walających się między puszkami piwa. Całość niewiele różniła się od mojego domu. Mimo wyostrzonej czujności nie potrafiłam określić, co w tym niechlujnym wnętrzu nie gra. Rebecca bawiła się włosami. Była inna niż zwykle. Wydawała się dziwnie nieswoja. Czułam się jak w filmie grozy: oto nadciąga szaleniec i zaraz rozpęta się koszmar. Uśmiechnięta jakby nigdy nic próbowałam rozszyfrować niejasne sygnały wysyłane przez Rebeccę.

– Siadaj – powiedziała, strzepując na podłogę popiół z papierosa. – Pozwól, że sprzątnę. – Wdzięcznym gestem zrzuciła łupiny orzeszków i puszki do kubła i położyła żółtą poduszkę na siedzeniu aluminiowego krzesła. – Siadaj, proszę.

Odkąd przekroczyłam próg, ani razu nie spojrzała mi w oczy. Przejechałam ręką po twarzy, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś nieapetycznego: krosty, której nie zdążyłam zauważyć, zaschniętego śpiocha, kapki wiszącej z nosa, ale niczego nie znalazłam. Usiadłam. Na chwilę zapadła między nami niezręczna cisza. Rebecca omiatała wzrokiem świeżo uprzątnięty stół, nerwowo strzepując papierosa, ja, mnąc rękawiczki w dłoniach, zapinałam i rozpinałam płaszcz.

– Mam nadzieję, że lubisz tę markę wina – przełamałam milczenie.

– Tak, jest super – bąknęła, odwracając się niepewnie w stronę szafek kuchennych. – Ja już mam chyba dość, ale ty się napij. Muszę tylko sobie przypomnieć, gdzie jest ten cholerny korkociąg. – Otwarła szafkę, w której zauważyłam przyprawy i kilka konserw, potem drugą z talerzami i spodkami. Wyciągnęła z łoskotem szufladę, żeby zaraz zatrzasnąć ją z powrotem. – Musi gdzieś tu być w tym bałaganie. – Wyszarpnęła kolejną szufladę, pogrzebała w łyżkach i widelcach. Następna okazała się całkiem pusta. – Jakoś nie mam szczęścia. Daj butelkę, zrobię to po swojemu. – Dzwoniąc pierścionkami o szkło, podeszła do zlewu, na moment jakby się zawahała, po czym ujęła butelkę u dołu i rąbnęła szyjką o brzeg. – Jeszcze troszkę. – Walnęła w zlew ponownie i tym razem szyjka ukruszyła się i upadła; wino rozlało się po brudnych kafelkach podłogi. – Gotowe. – Cisnęła szmatę na czerwoną kałużę i wytarła ją nogami obutymi w oficerki na obcasie. – Widziałam raz podobną akcję, w której obyło się bez rozlania. Ale może on użył młotka. Nie pamiętam dokładnie.

Miałam ochotę spytać, co to za „on”.

– Niezły pomysł – pochwaliłam. Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy. Uśmiechałam się, ale w głębi duszy niepokoiła mnie ta dziwna złośliwość rzeczy martwych i brak choćby prób zachowania dekorum przez Rebeccę.

Przez chwilę krążyła po kuchni, oblizując palce. Myślała o czymś intensywnie, ale nie miałam odwagi spytać o czym. W końcu spojrzała mi w oczy.

– Jestem beznadziejną gospodynią – westchnęła.

– Co ty opowiadasz? Powinnaś zobaczyć, jak ja mieszkam.

Z sufitu zwisała na drucie goła żarówka. Przez okno w kuchni wypatrzyłam samochód przykryty grubą warstwą śniegu, a za nim dwudrzwiowy wóz Rebekki, nieznacznie tylko przyprószony bielą. To wszystko było jakieś podejrzane. Czyżby to był dom jej chłopaka? Mieszkała w tej norze z jakimś miejscowym? Kto ją wie. Czy czułam się zawiedziona? Jeszcze jak!

Spodziewałam się szlachetnej porcelany, mahoniu, luster z rżniętego kryształu, obić z adamaszku, miękkich poduch, aksamitów – luksusów i dekadencji, jak w magazynach mody, tymczasem ten dom należał do jakiegoś nędzarza, gorzej, do człowieka w stanie ciężkiej depresji. Może byliście kiedyś w takim domu, obskurnym i przytłaczającym, pozbawionym życia i kolorów, jak szum na ekranie zdezelowanego telewizora. W późniejszych latach mieszkałam w wielu takich wnętrzach, których progu nie przestąpiłabym teraz za nic. Niesamowite, na ile rzeczy ludzie przymykają oczy, kiedy ich dusza jest pogrążona w mrokach. W tamtej sytuacji jedyną pociechą było dla mnie to, że ów dom był w jeszcze gorszym stanie niż mój.

Pozwolę sobie wtrącić parę słów na temat domów. Te piękne, nieskazitelne domy w kolonialnym stylu, które mijałam, jadąc przez X-ville, to w gruncie rzeczy maski pośmiertne praworządnych obywateli. Człowiek nie jest z natury tak idealny i uporządkowany. Taki dom wystawia właścicielom gorsze świadectwo niż rozpadająca się rudera. Właściciele wymuskanych domów to, mówiąc wprost, ludzie z obsesją śmierci. Dom wypielęgnowany, umeblowany w najlepszym stylu, pełen wysmakowanych ozdób, dom, gdzie każda rzecz ma ściśle wyznaczone miejsce, to grobowiec. Ludzie, którzy żyją pełnią życia, mają w domach bałagan. Przeczuwałam tę prawdę w wieku dwudziestu czterech lat, może dlatego, że od wczesnej młodości miałam obsesję śmierci. Próbowałam zagłuszyć moje lęki nie praniem i sprzątaniem, jak typowe gospodynie w X-ville, tylko dziwaczną dietą, natręctwami, huśtawką nastrojów, Randym i tak dalej. Świadoma myśl o śmierci dopadła mnie dopiero w tamtej kuchni, kiedy patrzyłam, jak Rebecca rozłupuje orzeszek ziemny, zjada i oblizuje palce – olśniło mnie, że pewnego dnia umrę, choć jeszcze nie teraz.

„Miłość jest ślepa” to sentencja, którą częstowałam wielu mężczyzn, na co odpowiadali z reguły: „Widać cię nie kocham”. Śmiać mi się chce, kiedy o tym myślę. Patrzyłam na Rebeccę przez różowe okulary, usprawiedliwiając jej niechlujstwo, które spokojnie mogło się równać z moim. Brud na kuchennym stole mógł świadczyć o tym, że tak samo jak ja nie lubi sobie zawracać głowy sprzątaniem. Na pewno stać ją było na to, żeby wynająć sprzątaczkę, po prostu jeszcze się tym nie zajęła, bo była w mieście od niedawna. Dla mnie i tak była cudowna. Nerwowość, rozczochrane włosy, spierzchnięte wargi – te braki w moich oczach dodawały jej tylko uroku. Przyglądałam się, jak przegląda, a potem zatrzaskuje szuflady i szafki. Szlafrok zsunął jej się z ramion jak etola. Ktoś taki jak ona mógł sobie

pozwolić na wszystko.

– Mam! – wykrzyknęła, stawiając na stole dwa kubki do kawy, porcelitowe kubki, jak w stołówce, nadtłuczone i pokryte od wewnątrz brązowym osadem. Niezdarnie nalała wino z rozbitej flaszki. – Lubisz muzykę? – spytała, podnosząc smukły palec do góry.

Była nienaturalnie podniecona. Zastanawiałam się, czy nie zażyła czegoś przed moim przyjściem. W tamtych czasach wiele kobiet brało pigułki odchudzające, po których były nerwowe i wybuchowe, a Rebecca z powodzeniem mogła do nich należeć. Kiedy teraz wspominam jej prostą jak trzcina sylwetkę, długie niesforne włosy, niespotykane monochromatyczne kreacje, dociera do mnie, że musiała być niesamowicie próżna.

– Naturalnie – odparłam, wodząc wzrokiem za jej palcem, który sugerował, że muzyka jest czymś namacalnym, co można dostrzec w powietrzu. – Przepadam za muzyką.

Pchnęła w moją stronę miskę pełną łupin orzeszków.

– To będzie popielniczka dla ciebie. Uważaj na wino. W środku może być tłuczone szkło.

– Dzięki. – Spojrzałam na ciemny płyn, którego zapach przypominał mi ten z zarzyganego dodge'a.

– Pycha – mruknęła, umoczywszy wargi. – Cudowne. Mam nadzieję, że nie wykosztowałaś się za bardzo. Zdrowie! – Podeszła do stołu, wyciągając kubek w moją stronę. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin Jezusa! – Zderzyłyśmy się kubkami. Roześmiała się, jakby napięcie w niej zelżało. – Jak zleciała dotąd Wigilia, panno Eileen?

– Całkiem przyjemnie. Spędziłam przedpołudnie z ojcem.

– Masz ojca? – zaciekawiła się. – Nie wiedziałam, że masz tutaj rodzinę. Mieszka gdzieś w okolicy?

– Niedaleko – bąknęłam. Mogłam jej wyznać prawdę: że do dnia, w którym pojawiła się w moim życiu, byłam niewolnicą na własne życzenie, że mój ojciec był stukniętym pijakiem, do tego stopnia wstrętnym, że życzyłam mu chwilami śmierci, ale atmosfera była już i tak dość ciężka. – Mieszka parę kroków ode mnie. Odkąd przeszedł na emeryturę, widujemy się często. Jest teraz dosyć samotny.

– Cudownie. To znaczy cudownie, że często go widujesz, a nie że jest samotny. – Roześmiała się.

Próbowałam jej zawtórować, ale nie wypadło to zbyt szczerze.

– A ty mieszkasz tutaj sama? – spytałam.

– Naturalnie – odparła ku mojej wielkiej uldze. – Po prostu nie trawię

współlokatorów. Potrzebuję własnej przestrzeni. Poza tym lubię hałasować. Mogę puszczać muzykę tak głośno, jak mi się podoba.

– Ja też nie znoszę mieszkać z kimś – skłamałam. – W college'u…

– Ludzie są, jacy są, i robią to, co lubią, chyba zgodzisz się ze mną? – weszła mi w słowo, opierając się o blat kuchenny.

Jej pytanie było czysto retoryczne. Patrzyła w skupieniu w swój kubek; wargi miała fioletowawe od wina, twarz zaczerwienioną. Ten jej szlafrok nie dawał mi spokoju. Był stary i poplamiony; zdecydowanie nie nadawał się do noszenia przy gościach. A może jej się nie chciało wysilać dla mnie?

– Uważam, że człowiek nie powinien robić czegoś, na co nie ma ochoty – rzuciła głosem dziwnie poważnym i zgaszonym. – Chyba że nam ktoś przystawi pistolet do głowy. Choć nawet wtedy mamy jakiś wybór. Ale nikt nie chce przyznać się do tego, że lubi być zły, lubi popełniać złe uczynki. Zamiast tego pozorują wstyd. Moim zdaniem cała Ameryka ma obsesję na punkcie wstydu. Pozwól, że cię o coś spytam, Eileen.

Odstawiłam kubek, który już świecił dnem, i spojrzałam na nią, wstrzymując oddech.

– Czy uważasz chłopców od nas, z Moorehead, za złych ludzi?

Liczyłam, że spyta mnie o coś innego. Starałam się ukryć rozczarowanie, unosząc brwi z namysłem, jakbym zastanawiała się głęboko nad odpowiedzią.

– Myślę, że wielu z nich miało po prostu pecha, i to potężnego.

– Chyba masz rację. – Odstawiła swój kubek i wrzuciła niedopałek do środka. Złożyła ręce na piersi i spojrzała mi w oczy. – Przyznaj się, panno Eileen, czy nie miałaś kiedyś ochoty zrobić czegoś naprawdę podłego, czegoś, co w twoim odczuciu było z gruntu złe?

– Właściwie to nie – skłamałam nie wiedzieć czemu. Obawiając się, że Rebecca przejrzy mnie na wskroś, nerwowo zasłoniłam się kubkiem, dopijając resztkę wina. Byłam złakniona zrozumienia, a jeszcze bardziej szacunku, ale nie mogłam przemóc lęku, że jeśli przyznam się do moich prawdziwych uczuć, narażę się na ostracyzm. Nie zdawałam sobie sprawy, jak banalne w rzeczywistości są moje tajone tęsknoty. – Mogę skorzystać z twojej łazienki?

– Łazienka jest na górze. – Skinęła w stronę sufitu.

Wzięłam torebkę i ruszyłam niepewnie na górę, ściskając metalową poręcz, żeby nie stracić równowagi. Wprawdzie ciężar broni w torebce też działał na mnie kojąco, ale musiałam po prostu przez chwilę potrzymać ją w rękach, żeby odnaleźć mój środek ciężkości. Idąc po schodach, ubolewałam nad własnym tchórzostwem. Jak mogę liczyć na szczęście z Rebeccą, skoro nie

umiem jej dopuścić do moich najskrytszych myśli? Oczywiście robiłam z igły widły, mimo to uporczywie beształam się w duchu. Czyż Rebecca nie zaprosiła mnie do siebie, nie otworzyła przede mną swojej prawdziwej istoty, niechby i niechlujnej czy nerwowej? Tak właśnie wygląda przyjaźń. Ale ja bałam się ją rozczarować. Na to, żebym odsłoniła się przed nią, żeby doszło między nami do prawdziwej bliskości, było zdecydowanie za mało alkoholu.

Drzwi do łazienki stały szeroko otwarte. W środku śmierdziało. Ściany były wyłożone różowymi kafelkami, stare rury miały rude zacieki na złączach, a wymiętą ceratową zasłonę prysznica pokrywał bury nalot pleśni. Gałka w drzwiach klekotała i nie chciała się domknąć, kran wanny ciekł, a sama wanna miała zielony osad na styku ze ścianą i śmierdziała stęchlizną. Na umywalce też był zielonkawy nalot; na brzegu leżała czerwona wyliniała szczoteczka do zębów i ciasno zwinięta, zaskorupiała tubka pasty do zębów z przeceny. Pod brudnym lustrem stała pomadka do ust; w środku odkryłam ciemnoróżowe resztki. Na drążku od zasłonki prysznica wisiały cieliste pończochy. Do białej powierzchni mydła przyschło parę krętych włosków, które uznałam za włosy łonowe Rebekki. Namydliłam twarz, spłukałam i zaraz poczułam się lepiej. Wytarłam ręce i wyjęłam rewolwer. Gładki dotyk drewna i stali działał na mnie kojąco. Wycelowałam broń we własne odbicie w lustrze. Przytknęłam do policzka – była twarda i chłodna, pachniała ojcem, ale nie cierpką wonią wpędzającego go w coraz głębszy obłęd dżinu, tylko miłym, swojskim dziegciowym zapachem whisky, zapamiętanym z dzieciństwa, kiedy byłam jeszcze na tyle głupia, że tato budził mój podziw. Schowałam rewolwer do torebki i poprawiłam włosy.

Zanim zeszłam do kuchni, cichutko obeszłam poręcz i zajrzałam do oświetlonych pokoi na górze. Pierwszy okazał się sypialnią: kapa na łóżku w zielone i różowe kwiaty, tandetna lampa na odrapanej komodzie, niełądne złote kolczyki na bladoniebieskim spodku, pusta puszka po piwie. Na drzwiach szafy wisiało lustro. Miałam ochotę zajrzeć do środka, ale nie chciałam nadużyć zaufania przyjaciółki. Prawdę mówiąc, Rebecca była skończoną fleją, której udawało się roztaczać wokół siebie pozory elegancji i wyrafinowania, a skoro jej to wychodziło, to dla mnie też była nadzieja. W drugiej sypialni nie zobaczyłam nic godnego uwagi: drewniane biureczko, goły materac na podwójnym łóżku, pluszowy miś i wentylator na nocnym stoliku, na ścianie mapa Stanów Zjednoczonych. To wszystko było dziwne, ale uznałam, że widocznie Rebecca wynajęła umeblowany dom, którego nikt nie posprzątał. W lustrze zobaczyłam ściągniętą, wymizerowaną twarz. Wyglądałam jak staruszka, jak trup, jak upiór; dopiero kiedy się

uśmiechnęłam, moja twarz nieznacznie się ożywiała. Trudno mi było uwierzyć, że tak piękna dziewczyna mogła zapragnąć mojego towarzystwa. Schodząc na dół, przyoblekłam twarz w maskę Leonarda Polka – zadowoloną, pewną siebie, pełen luz.

Kiedy siadałam z powrotem przy stole kuchennym, Rebecca ciągle jeszcze buszowała po szafkach.

– Mam go! – krzyknęła, odwracając się z korkociągiem w ręku. – Niestety, już po ptakach. Proszę, napij się jeszcze. – Wlała do mojego kubka resztkę wina. – Jak miło, że przyszłaś z winem – podziękowała kolejny raz.

– Rozumiem, że to przy okazji parapetówka, bo się świeżo wprowadziłaś? – zagaiłam ze sztucznym entuzjazmem.

– Parapetówka, lubię to słowo. Rzeczywiście, nic tu prawie nie ma oprócz parapetów. Przydałoby się trochę umeblować tę ruderę. – Zasunęła kołnierz szlafroka i otwarła usta, jakby chciała coś dodać, ale się rozmyśliła. Założyła rękę na rękę.

– Od jak dawna tu mieszkasz, jeśli wolno spytać?

– Jestem w mieście od paru tygodni. – Podciągnęła szlafrok. – Oczywiście liczyłam się z tym, że będzie zimno, ale nie spodziewałam się aż takiego szatańskiego ziąbu. Gorszy niż w Cambridge. Ale śnieg jest tutaj piękny, nie uważasz?

Rozmowa dalej toczyła się zdawkowo. Czar prysł, jakbyśmy przełamały lody, ale nasze ruchy wskutek wyziębienia były zwolnione i nienaturalne. Dotarło do mnie, że zmarnowałam szansę na przyjaźń z Rebeccą. Otwarła dla mnie drzwi do swojego wnętrza, ale ja zatrzasnęłam je przed jej nosem. Byłam nudna. Nie wnosiłam nic do rozmowy. Spróbowałam ratować sytuację, użalając się nad sobą.

– Nie wychodzę dużo. Tu się nic w zimie nie dzieje. Podobnie zresztą jak przez resztę roku.

– Jeździsz na łyżwach? – spytała ze sztucznym zainteresowaniem.

Pokręciłam głową z uśmiechem, ale zaraz się zreflektowałam.

– Oczywiście mogę pójść z tobą, jeśli masz ochotę.

– Super.

Sytuacja robiła się nieznośna. Krzesło wrzynało się w plecy, po domu hulał przeciąg. Mimo to popijałam dalej wino, kiwając głową i siląc się na uśmiech. Dobrze wiedziałam, co przed nią ukrywam – moje rozczarowanie, moje płonne nadzieje, moje tęsknoty. Ale co ukrywa Rebecca i dlaczego, pozostawało dla mnie nieprzeniknioną zagadką. Bez końca rozwodziła się nad swoją letnią opalenizną, nad tym, jak na dłuższych trasach łapią ją za

kierownicą skurcze w rękach, wymieniała ulubionych malarzy – jeśli dobrze pamiętam, wyłącznie przedstawicieli ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Umówiłyśmy się, że na wiosnę wybierzemy się do Bostonu połazić po muzeach, ale Rebecca przez cały czas sprawiała wrażenie, jakby ją coś trawiło, a ze mną obcowała tylko na powierzchni. „Może mam tylko prawo podziwiać ją z dala?", przemknęło mi przez myśl. Kimże byłam, żeby sobie roić, że ktoś taki jak Rebecca – piękna, niezależna, wykształcona – miałby nagle mieć ochotę spoufalać się ze mną? I co miałam w zamian do zaoferowania? Byłam nikim, nieudacznicą. Powinnam być jej wdzięczna, że się zgodziła wziąć na siebie ciężar rozmowy.

– Pływasz? Jeździsz na nartach? Skąd masz taką futrzaną czapkę? – Czułam, że bierze mnie pod włos, lituje się nade mną, a czasem wręcz nabija ze mnie i z mojego nudnego życia po to, żeby mnie rozkrochmalić.

– Polecę już – powiedziałam w końcu.

Pocieszałam się, że to nie jest nasz ostatni wieczór. Tak czy owak, jedno spotkanie to za mało, żeby mówić o prawdziwej przyjaźni. I lepiej się rozstać w nastroju nudy niż niezgody. Wstałam i zaczęłam wkładać rękawiczki. W tym momencie Rebecca też podniosła się ze stołka.

– Eileen – wyszeptała, podchodząc do mnie, głosem poważnym i przytomnym. – Zanim pojedziesz, chciałam cię prosić o pomoc. – Myślałam, że poprosi mnie o wyniesienie śmieci albo żebym pomogła jej przesunąć jakiś ciężki mebel, ale ona dodała tylko: – Nie idź jeszcze. Porozmawiajmy chwilę.

Wyglądała na strapioną. „Może jest chora", pomyślałam, „albo spodziewa się wizyty zazdrosnego kochanka?". Oczywiście, gotowa byłam zostać, chociaż straszliwie mnie suszyło. Do tego byłam głodna. Jakby czytając w moich myślach, Rebecca wstała i otwarła zdezelowaną lodówkę. Wyjęła kawał sera, słoiczek marynowanych cebulek i kilka plasterków szynki.

– Przygotuję kanapki. Wiem, że jestem kiepską gospodynią. – Umyła dwa talerzyki i wytarła brzegiem szlafroka. – Zjemy coś, to zaraz nam się humor poprawi.

– Ja się czuję doskonale – powiedziałam bez przekonania. Moje nieszczere słowa zawisły między nami jak rażący nietakt. Zaczęłam się z nich wycofywać, plącząc się nieco.

– Przestań. Obie czujemy jakiś fałsz między nami – ucięła Rebecca. – Ty to wiesz i ja to wiem, więc po co się wypierać? – Kręcąc głową, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niepewnie, po czym odwróciła się do mnie plecami, zbierając rozsypane na blacie kromki.

Zachichotałam piskliwie, nerwowo. Nie potrafiłam ocenić, czy Rebecca jest

zła, czy się wygłupia.

– Przepraszam – wybąkałam, ale ona nie zwracała na mnie uwagi.

Porzucając temat dziwnej, nieszczerej nuty, jaka zakradła się między nas, znowu zaczęła mówić o Moorehead, szykując jednocześnie przekąskę. Patrzyłam, jak nieporadnie kleci kanapki. Słuchałam jej wywodu, skubiąc spierzchnięte wargi i macając rewolwer przez torebkę. Sprawiała teraz wrażenie bardziej wyluzowanej, mówiła cieplejszym tonem. Odwrócona plecami do mnie, milkła co pewien czas, zaraz jednak podejmowała wątek, gestykulując nożem.

– Zatrudnili mnie, żebym opracowała ogólny program codziennego nauczania dla chłopców, jakby wszyscy byli w tym samym wieku i na tym samym poziomie. Mają wszyscy wyklepać te same lekcje. Co za nonsens. Nie jestem dziewiętnastowieczną nauczycielką w wiejskiej szkółce. Ci chłopcy są przecież zdolni do nauki. Większość potrafi pisać i czytać. Naturalnie, będę musiała ustalić metodą prób i błędów, co ich motywuje, a przede wszystkim odpowiedzieć sobie na istotne pytanie: co tu jest celem, czemu to wszystko ma służyć? Nie jestem tutaj przecież po to, żeby ich uczyć reperowania silników. Uważam, że powinni się zapoznać z literaturą, historią, filozofią, naukami ścisłymi, a to jest zadanie dla dziesięciu nauczycieli. Do Roberta nie dociera, że chłopcy mają umysły, mało, że mają świadomość. Uważa ich za stado bydła.

– Roberta? Mówisz o naszym dyrektorze?

– O nim. Jego jedynym zajęciem jest karanie chłopców za bicie kapucyna. – Znałam to określenie. – Wiedziałaś o tym, prawda? – Odwróciła się teraz profilem i widziałam malującą się na jej twarzy powagę. – Ten człowiek chyba upadł na głowę. Ta jego uwielbiana teologia moralna pasuje tutaj jak pięść do nosa. Na koniec dowiaduję się, że Leonard Polk siedzi w norze za „nieczysty dotyk". – Pokiwała głową. – Gdybym była na miejscu tych chłopców, dotykałabym się na okrągło. To chyba jedyna rozrywka dostępna w Moorehead. Czy może się mylę?

Odwróciła się do mnie, krzywiąc się z dezaprobatą. Oczy jej teraz błyszczały, jakby nagle wstąpiło w nią życie. Patrzyła na mnie, szukając zrozumienia.

– Bardzo dobrze – odparłam, wywijając młynka rękami po to, by zasygnalizować, że jestem elastyczna, tolerancyjna i wyzwolona.

– Słowo daję, nie wiem, o co tyle krzyku – ciągnęła Rebecca, kręcąc głową.

Próbowałam ją sobie wyobrazić, jak się dotyka i czym jej dotyk różni się od mojego, ponieważ zakładałam – w końcu znałam ją już trochę – że jest

bezwstydna. Zastanawiałam się, jak może wyglądać orgazm u kogoś, kogo podnieca coś innego niż wstyd. Nie mogłam sobie tego nijak wyobrazić. Siedziałam lekko otępiała, z ulgą przyjmując jej paplaninę. Mówiła teraz o tym, jak bardzo się cieszy, że pracuje w więzieniu, ile ciśnienia z niej zeszło, kiedy wreszcie obroniła pracę. Jest pewna, że uda jej się wiele zmienić w Moorehead na lepsze i że już polubiła niektórych chłopców.

– Jak rodzonych braci – zakończyła.

Wręczyła mi talerz i rzuciła kanapkę. Zaczęłyśmy jeść w milczeniu.

– Jak zdążyłaś się już pewnie zorientować, żyję inaczej niż większość ludzi – odezwała się po chwili.

– Ależ skąd, masz bardzo miły dom – zaprotestowałam grzecznie.

– Proszę cię, nie wysilaj się. Nie mam na myśli domu. – Schrupała na stojąco cebulkę. – Rozumiesz, mam swoje poglądy, ideały. Nie jestem jak tamte dwie, z którymi pracujesz. Nie jestem zwykłą panią od czegoś tam w szkole. Nic mnie też nie łączy z twoją matką. – Wstawiła swój talerz do zlewu. – Na pewno też masz swoje ideały, może nawet zbieżne z moimi?

Czułam, że próbuje wybadać, czy jak „większość ludzi” idę za głosem stada, czy jestem „inna”, jak ona. Kanapka podchodziła mi do gardła. Chleb był spleśniały, szynka gumowata. Mimo to żułam jak grzeczna dziewczynka, potakując.

– Zdążyłam w życiu przemyśleć to i owo – wyznała Rebecca, oblizując palce. – Nie wierzę w dobro i zło. – Podsunęła mi papierosa, a ja z chęcią przyjęłam pretekst, żeby odłożyć kanapkę. – Ci wszyscy chłopcy w Moorehead, oni nie powinni tam siedzieć, bez względu na to, co zrobili. Żadne dziecko nie zasługuje na taką karę.

Miałam w sobie tylko niecałe dwa kubki wina, a że nigdy na trzeźwo nie miałam odmiennego zdania niż rozmówca, zaskoczyły mnie własne słowa. Może przemówił przeze mnie ojciec policjant, bo mnie ta sprawa ani ziębiła, ani grzała.

– Popełnili przestępstwo; nie może im to ujść bezkarnie.

Rebecca milczała. Dopiłam wino. Minęło parę minut. Głowa zaczęła mi ciążyć. Najchętniej wycofałabym tamte słowa. Chyba obraziłam Rebeccę. Zaczęło mnie skręcać w brzuchu.

– Chyba już pójdę, musisz być zmęczona.

Od mojego przyjścia nie minęła nawet godzina. Czułam, że cała się lepię i jestem rozpalona. Drażnił mnie kurz, dym i smród zjełczałego jedzenia. Zgasiłam papierosa. Rebecca zatonęła w głębokiej zadumie; podejrzewałam, że myśli o mnie, o moich ciasnych horyzontach i braku serca. Uważa mnie za

małoduszną mieszczankę. Brzydzi się mną. Zrobiło mi się niedobrze. Czułam, że muszę natychmiast wyjść. Ale Rebecca miała wobec mnie inne plany.

– Czy mogę ci coś wyznać? – spytała z przejęciem dziwnie łagodnym głosem. Kucnęła obok mnie, oparta jednym łokciem o blat stołu.

Jeszcze nikt mi się nigdy nie zwierzał. Wstrzymałam oddech, patrząc jej w twarz. Była naprawdę piękna. Jej oczy nagle znieruchomiały, czujne i strwożone, jak oczy dziecka, które zabłądziło w lesie. Trzymała moją dłoń w roztargnieniu, a jej palce na mojej chropowatej skórze były chłodne i delikatne. Starałam się rozluźnić, żeby pokazać, że jestem otwarta, akceptująca, przystępna. Ale czułam, że na twarz wypełza mi z powrotem maska pośmiertna. Przymknęłam oczy i kiwnęłam z namaszczeniem głową, z nadzieją, że zostanie to odczytane jako potwierdzenie, że jestem godna pokładanego we mnie zaufania. Gdyby mnie wtedy spróbowała pocałować, chybabym się nie oparła.

– Chodzi o Lee Polka – zaczęła.

Czułam, że żarty się skończyły i zaraz zwymiotuję. Sięgnęłam po torebkę i zaczęłam wstawać. Modliłam się, żeby mnie nie poczęstowała gadką o tym, jak się całowali albo coś jeszcze gorszego. Złapała mnie za rękę i pociągnęła, żebym usiadła z powrotem.

Poczułam głęboką ulgę, kiedy zamiast „kocham go” usłyszałam: „Rozmawiał ze mną”. Mimo to na jej twarzy widniał nadal wyraz występnej dumy i zadowolenia, zupełnie jak na twarzy Joanie, kiedy parę lat wcześniej mówiła do mnie: „Lubi mi wylizać”. Rebecca ścisnęła moją dłoń i przełknęła głośno.

– Opowiedział mi wszystko. Co się działo, co zrobił i jak wylądował w Moorehead. Spójrz tylko na to.

Z kieszeni szlafroka wyjęła sfatygowaną fotografię, zdjęcie z wizji lokalnej. Na zakrwawionym dywanie u stóp rozbebeszonego łóżka leżał ojciec Lee Polka, przyrzucony skotłowanym prześcieradłem.

– To jest ojciec – ciągnęła. – W podobnych sytuacjach zwykle węszy się kompleks Edypa. Zabić ojca, ożenić się z matką. Ja też tak zakładałam.

– Obrzydlistwo.

Znowu spojrzałam na zdjęcie. Oczy mężczyzny były półprzymknięte, jakby patrzył w dół, próbując umknąć przed czymś wzrokiem. Ręce, zarzucone za głowę, były przyciśnięte do nocnego stolika. Widywałam już wcześniej w książkach i czasopismach zdjęcia zmarłych, głównie ważnych osób złożonych w mauzoleach, żołnierzy leżących na wznak na polu bitwy, ofiar śmierci głodowej. I oczywiście Jezusa na krzyżu. W kartotekach innych

więźniów Moorehead było jeszcze kilka takich fotografii, ale żadna z nich nie uchwyciła istoty śmierci tak jak zdjęcie pana Polka. Nawet zwłoki mojej matki nie zrobiły na mnie takiego wrażenia. Mama po prostu gasła z dnia na dzień, aż nic z niej nie zostało. Na tym zdjęciu natomiast czuło się żywą obecność śmierci. Wyrwałam rękę z dłoni Rebekki, wstałam, podbiegłam do zlewu i zwróciłam obrzydliwą kanapkę i wino.

– Przepraszam.

Rebecca stanęła za mną, masując mnie po plecach.

– Nie masz za co przepraszać. – Podała mi zimną, zatęchłą ścierkę. – Od takiego zdjęcia powinno się robić niedobrze.

Odkręciłam wodę, żeby spłukać wymiociny z talerzy.

– Nie zajmuj się tym – poprosiła.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Prawdę mówiąc, wcale nie czułam skruchy. Nagłe torsje mnie podnieciły. Chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się zwymiotować od samego patrzenia na coś. Najchętniej popatrzyłabym znowu na zdjęcie. Było w nim coś, czego nie umiałam rozgryźć do końca. W otoczeniu zmiętych prześcieradeł, koszuli nocnej w drobne prążki i czarnej plamy krwi na dywanie obwisła, sflaczała twarz pana Polka zdawała się coś ukrywać. Twarz bez wyrazu z fotografii była maską skrywającą prawdziwe życie. Gdybym mogła, weszłabym w tamto zdjęcie, obejrzała szczelinę na poderżniętym gardle, dotknęła krwi, zbadała ranę, czy nie kryje się w niej jakiś sekret, ale rana na zdjęciu nie była widoczna. Co te oczy widziały? Co było ostatnią rzeczą, jaką ujrzał pan Polk? Lee, nóż, ciemności, żona, jego własny duch wychodzący z ciała?

Fascynowało mnie wymijające spojrzenie nieruchomych oczu. Czułam, że pan Polk ukrywa jakąś tajemnicę, i chciałam ją zgłębić. Może ujrzał śmierć. Wiedział, że umiera. Może wszystko sprowadzało się tylko do tego.

– Skąd masz to zdjęcie? – spytałam Rebeccę.

– Wyjęłam z kartoteki Lee. Straszne, co?

Usiadłam z powrotem na krześle, trzeźwa i spokojna.

– Czy ja wiem? – skłamałam nie wiedzieć czemu.

– Lee zakradł się do pokoju rodziców z nożem kuchennym i poderżnął ojcu gardło. Jego matka twierdzi, że była w szoku. Nie zadzwoniła na policję od razu. Mówi, że zbudziła się i widząc martwego męża, uznała, że miało miejsce włamanie. Swoją drogą, jak można przespać coś takiego? To się w głowie nie mieści. Nóż znaleziono w zlewie, a Lee leżał w łóżku, tuląc swojego misia.

Rysy Rebekki stwardniały. Patrzyłam z bliska na jej twarz, na cieniutkie

zmarszczki wokół jej oczu, świeżą, różową, delikatną skórę. W okamgnieniu potrafiła zmienić się z dojrzałej kobiety w małą dziewczynkę. Miałam wrażenie, że oczy płatają mi figla, że jesteśmy w gabinecie śmiechu albo to wszystko dzieje się w jakimś śnie. Poklepała mnie po rękach, żeby mnie otrzeźwić.

– Ale Lee wcale nie jest winien – podjęła. – To właśnie wyjawił mi wczoraj. Całą swoją gehennę. To więcej, niż dziecko jest w stanie unieść w samotności. – Odwróciła się, jakby za bardzo uległa emocjom, ale kiedy z powrotem popatrzyła na mnie, była spokojna, opanowana, wręcz uśmiechnięta. – To zdjęcie jest koszmarne, zdaję sobie sprawę. Nie da się na nie patrzeć. Kiedy je zobaczyłam, a potem spotkałam Lee, nie mogłam pojąć, jak bystry, nieśmiały chłopaczek mógł posunąć się do czegoś takiego. Przecież to przeczy prawdopodobieństwu. Spytałam go, czy naprawdę to zrobił, czy zabił swojego ojca. – Postukała palcem w fotografię, w twarz nieboszczyka. – Powiedział, że tak, że to jego robota. Nie tyle powiedział, ile kiwnął głową. Spytałam go, dlaczego, ale tylko wzruszył ramionami. Nie od razu otworzył się przede mną, rozumiesz, musiałam go naprowadzić pytaniami. Na początku strzelałam na chybił trafił. Czy tato bił mamę? Czy matka kazała mu zabić ojca dla polisy ubezpieczeniowej? Co to było? Czułam, że tam coś śmierdzi. To było zresztą wypisane na twarzy jego matki. Sama ją widziałaś. Czułam, że ona coś ukrywa. Dlatego zadzwoniłam do niej i kazałam jej przyjść. Powiedziałam: „Myślę, że pani syn chciałby z panią porozmawiać". Widziałaś ich we dwoje. Biedny chłopiec unikał jej wzroku, dlatego po wszystkim spytałam go wprost: „Co twój ojciec ci zrobił? Czy on cię dotykał?". I Lee nagle zaczął mówić. W kilka minut wyrzucił z siebie wszystko. Ten człowiek, stary Polk, gwałcił go, gwałcił własnego syna. Nikt nie raczył nawet spytać chłopca o to. Wszyscy woleli nie wiedzieć.

Była tak zaperzona, że mało się nie opluła. Puściła moje dłonie; złapała mnie teraz za ramiona. Nie mogłam oderwać wzroku od jej różowych warg i dziąseł; ciemny osad po winie zebrał się w kąciku ust. Zdarzało mi się już słyszeć podobne historie. Miałam względne pojęcie, o czym mówi.

– Nie trzeba doktoratu z psychologii, żeby domyślić się, o co chodzi – ciągnęła buńczucznie. Puściła mnie. – W dodatku pobyt w więzieniu niczego nie załatwia. Dyrektorzy i psychiatrzy zakładów karnych bywają gorszymi psychopatami od więźniów, możesz mi wierzyć. Wiele się o tym nasłuchałam. Powiedz, Eileen – znowu ścisnęła mnie za ręce – co może kogoś skłonić do zabicia własnego ojca? – Patrzyła na mnie błagalnie. – Pomyśl tylko chwilę.

Od lat próbowałam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

– Ten ktoś musiałby się znaleźć w sytuacji bez wyjścia…

– …i to byłaby ostatnia deska ratunku – dokończyła za mnie Rebecca.

Znów oglądałyśmy zdjęcie, głowa przy głowie, tak blisko, że prawie stykałyśmy się policzkami. Rebecca patrzyła mi przez ramię, obejmując mnie ręką. Wichura trzęsła domem, szyby w nieszczelnych oknach dzwoniły pod naporem śnieżycy. Zamknęłam oczy. Od lat nie zaznałam takiej bliskości z drugim człowiekiem. Czułam oddech Rebekki na mojej dłoni, gorący, przyspieszony, choć równomierny.

– Pewnie się dziwisz, czemu matka przyglądała się temu bezczynnie? – podjęła temat.

Spojrzałam na nią. Jej twarz nagle zastygła z uniesionymi brwiami, z oczami i ustami szeroko otwartymi z przejęcia, a może w oczekiwaniu na coś. Wydawała się żywo czymś poruszona, podekscytowana do granic euforii. Przebiegł mnie zimny dreszcz.

– Moja matka nie żyje – wybąkałam tonem usprawiedliwienia.

Rebecca nie okazała najlżejszej irytacji tym, że wtrącam się ni w pięć, ni w dziesięć. Zamarłam w oczekiwaniu.

– Matki bywają bardzo trudne – powiedziała, wstając gwałtownie i patrząc na mnie z góry. – Kobiety często nie znoszą się nawzajem. To naturalne, wiecznie rywalizujemy ze sobą, zwłaszcza matki z córkami. Tylko nie myśl sobie, że ja cię nienawidzę. Nie uważam cię za rywalkę. – Głos jej nagle złagodniał. – Jesteś niesamowita.

Czułam się, jakbym się miała zaraz rozpłakać. Zamrugałam pospiesznie, ale oczy miałam suche.

– Jego matka – podjęła Rebecca – pani Polk, pamiętasz ją, prawda?

– Ta tłuścioszka?

– Ćśś – zmitygowała mnie.

Muzyka ucichła. Bałam się głośniej odetchnąć.

– Matka Lee to wielka zagadka – podjęła, stukając paznokciami o blat stołu, jakby chciała wypunktować każde słowo. – Wierz mi, Eileen, serce mi pękało, kiedy słuchałam opowieści chłopca. Ale musiałam wydobyć z niego prawdę, dla jego dobra. Lee wyznał mi, że co wieczór po obiedzie matka szła z nim na górę i zanim się położył do łóżka, robiła mu lewatywę. Potem sama siadała i oglądała *The Honeymooners* albo malowała paznokcie, drzemała czy co tam jeszcze, aż było po wszystkim. Dlaczego na to pozwalała? Odpowiedź jest prosta: bo było jej to na rękę. Musiała mieć z tego jakiś pożytek, pytanie: jaki?

Słuchałam tego z odrazą, ale i nie bez szczypty sceptycyzmu.

– To straszne – przyznałam. – Co za świństwo.

Rebecca odeszła od stołu i oparła się o blat kuchenny. Patrzyła w sufit. Teraz, kiedy odsunęła się ode mnie, dopadły mnie chłód i samotność. Zapragnęłam wstać, podejść do niej, wśliznąć się pod szlafrok, tulić do niej jak dziecko.

– Spróbuj się wczuć w jego sytuację, Eileen. Wyobraź sobie, że jesteś małym dzieckiem. – Zaczęła roztaczać przede mną wizję conocnych rytuałów w domu Polków, tak jak je sobie wyobrażała; wyjaśniła mi ze szczegółami, jak działa lewatywa, jak ciasne są otwory dziecięcego ciała, jak okolice intymne dziecka ulegają rozdarciu podczas stosunku płciowego, naszkicowała też psychologiczny portret ojca, rozwodząc się nad tym, jak bardzo musiał męczyć się przez całe życie w szponach żądzy, której nie miał jak zaspokoić. – Raczej wiadomo, co kierowało ojcem – ciągnęła. – Miał w mózgu poprzestawiane wtyczki. Możliwe, że robiąc te rzeczy z synem, wierzył, że to miłość. Choć brzmi to strasznie, niektórym miłość objawia się właśnie tak, a nie inaczej, i może ich popchnąć do molestowania własnego dziecka. Normalny człowiek nigdy by się do czegoś takiego nie posunął, ale pan Polk najwyraźniej potrzebował tego do życia.

Pomyślałam o moim ojcu i mojej matce, jak niewiele okazywali mi czułości jako nastolatce, jeśli nie liczyć podszczypywania i dźgania palcem. Mimo wszystko chyba miałam szczęście, choć trudno powiedzieć, kto z nas gorzej trafił, Polk czy ja.

– Ale ta cała matka, Rita, nie mogę pojąć, co nią kierowało.

Rebecce ta sprawa wyraźnie nie dawała spokoju. Osobiście miałam w nosie Polków; teraz, kiedy miałam Rebeccę. Byłyśmy wspólniczkami zbrodni, tak powiedziała. Byłam skłonna naciąć dłoń nożem, bodaj kuchennym, i zawrzeć pakt braterstwa krwi: teraz, zaraz, żeby zostać jej przyjaciółką, siostrą do końca świata. Ale siedziałam, słuchając tylko uważnie, udając najlepiej jak umiałam zainteresowanie, potakując, marszcząc czoło, trzepocząc rzęsami i tak dalej.

– Nie wydaje mi się, żeby bała się męża – ciągnęła Rebecca.

Wiedziałam, co ma na myśli. Kiedy pani Polk przed paroma dniami pojawiła się na widzeniu, nie sprawiała wrażenia ofiary. Szła z dumnie uniesioną głową, wydawała się bardziej gniewna niż załamana i zdawała się patrzeć z potępieniem na nas wszystkich: mnie, Randy'ego, Rebeccę, Leonarda. Nie wyglądała też na osobę, która przejmuje się tym, co inni o niej myślą. Była gruba. Ubierała się koszmarnie.

– Czuję, że ta kobieta posiada brakujący element łamigłówki – ciągnęła

Rebecca – i musimy go z niej wydobyć, żeby Lee mógł wreszcie zamknąć ten etap. Jak już wspomniałam, nie jestem zwolenniczką kary, ale wierzę w sens zadośćuczynienia. Ojciec Lee gwałcił go. Postępował podle, więc zginął. Lee zabił ojca, więc poszedł do więzienia. Matka też musi mieć coś na sumieniu, ale jej uszło to bezkarnie. Błagam cię tylko, Eileen, nie mów tego nikomu. – Schyliła się, łapiąc mnie za łydkę. – Obiecaj!

Kiwnęłam głową. Kiedy trzymała mnie za nogę, gotowa byłam jej obiecać wszystko. Ciągle jednak nie rozumiałam śmiertelnej powagi, z jaką angażowała się w sprawy Polków. Co ją to obchodziło? Czemu to miało dla niej aż takie znaczenie? Wyciągnęła do mnie swój szczupły mały palec. Bez wahania zahaczyłam o niego moim. Potrząsnęłyśmy dłońmi. Ten gest wydawał się tak szczery, niewinny, a przy tym tak perwersyjny, że mało się nie popłakałam ze szczęścia.

– To nie jest mój dom – powiedziała Rebecca. – To jest dom Polków. Rita Polk leży związana w piwnicy.

Powiem, że jako młoda, chowana właściwie pod kloszem dziewczyna rzadko miałam okazję być świadkiem ostrych konfliktów między ludźmi. Oczywiście nie mam wątpliwości co do tego, że utarczki moich rodziców przy obiedzie były tylko przykrywką głębszych pretensji, jakie mieli do siebie. Nigdy nie dochodziło do rękoczynów, chociaż w ostatnich latach, które przeżyłam z ojcem, zdarzało mu się czasem zaciskać sflaczałe dłonie na mojej szyi. Nie bolało mnie nic a nic. Więcej, dotyk jego rąk na szyi działał na mnie kojąco – w tamtych czasach były to jedyne przypadki, kiedy ktoś okazywał mi w ogóle jakiekolwiek uczucie. Kiedy miałam dwanaście lat, zaginęła dziewczynka z jednego z pobliskich miasteczek, a później fale wyrzuciły jej nagie zwłoki na plażę w X-ville. „Nigdy nie wsiadaj do obcego samochodu” i „Gdyby ktoś próbował cię porwać, krzycz głośno”, wbijali nam do głowy nauczyciele, ale ja ich przestróg nie brałam sobie zbytnio do serca. Przeciwnie, marzyłam skrycie, żeby zostać porwaną. Wtedy przynajmniej przekonałabym się, że znaczę coś dla innych, że mam jakąś wartość. Otwarta przemoc wydawała mi się o wiele sensowniejsza od stłumionej złości rodziców. Niewykluczone, że gdyby w moim rodzinnym domu w X-ville dochodziło czasem do rękoczynów, sprawy potoczyłyby się inaczej i nigdy bym stamtąd nie wyjechała.

Wiem, że mówiąc, iż ojciec nie kochał mnie nawet na tyle, żeby mi spuścić lanie, wychodzę na osobę, która przesadnie użala się nad sobą. Ale co mi kto zrobi? Jestem stara. Mam kruche kości, siwe włosy, mój oddech jest płytki

i wątły, jem jak ptaszek. Nazbierało się w moim życiu zadr i sińców, a żyję już tak długo, że litowanie się nad sobą przestaje być szkodliwym nawykiem, tylko, jak zimny okład na rozpalone czoło, koi niepokój w obliczu zbliżającego się nieuchronnie pożegnania z tym światem. Biednam ja, biedna…

W młodości nie zwracałam uwagi na samopoczucie fizyczne. Młodzi ludzie uważają, że są niezniszczalni, że wszystko wiedzą lepiej i nie mają zamiaru słuchać jakichś durnych przestróg. Właśnie ta odwaga w połączeniu z głupotą pchnęły mnie, żeby wyjechać z X-ville. Gdybym wiedziała, w jak niebezpieczne miejsce się udaję, chybabym się nie odważyła na wyjazd. Nowy Jork w tamtych czasach nie był miejscem dla samotnych dziewcząt, zwłaszcza takich jak ja – naiwnych, niezaradnych, nękanych wściekłością, niepokojem i poczuciem winy. Gdyby ktoś mnie uprzedził, jak często będę nagabywana i obmacywana w metrze, ile razy będzie mi pękać serce, jak wiele drzwi zatrzasną mi przed nosem, ile razy będę wyć w głębi duszy, chyba zostałabym z ojcem w domu.

W Moorehead zdarzało mi się trafiać w aktach więźniów na przygnębiające historie o przemocy. Napaści, wandalizm, oszustwa – mało się nimi przejmowałam, dopóki nie zaczęły dotyczyć mnie samej. Te historie były dla mnie równie egzotyczne jak artykuły w „National Geographic”. Podniecały moją niezdrową wyobraźnię, ale nigdy nie wywoływały we mnie lęku o własne bezpieczeństwo. Byłam naiwna i gruboskórna. Nie obchodziło mnie dobro bliźnich, zależało mi tylko na zaspokojeniu własnych potrzeb. W tej sytuacji, po wysłuchaniu rewelacji Rebekki, nie byłam szczególnie wstrząśnięta, za to poczułam się zraniona. Nagle dotarło do mnie, że za przyjaźnią Rebekki wcale nie stoi szacunek i sympatia, jak mi się wydawało. To, że Rebecca pozwoliła mi zbliżyć się do siebie, było elementem szerszej strategii. Uznała, że mogę jej się przydać i, jak się okazało, słusznie.

– Bardzo mi przykro – wybąkałam, starając się nie dać poznać po sobie rozczarowania. – Naprawdę źle się czuję.

Mogłam jej powiedzieć, że ma źle w głowie, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego, że powinni ją oddać do czubków, ale byłam tak urażona, tak bardzo wstrząśnięta jej podstępem, żeby mnie uwieść, a potem zrobić ze mnie swoją wspólniczkę, że nie stać mnie było choćby na kąśliwą uwagę, jakieś: „życzę powodzenia” czy coś takiego. W żadnym wypadku nie zamierzałam obnażać przed Rebeccą mojego złamanego serca, byłam już dość upokorzona. Dałam z siebie zrobić idiotkę. Jasne, że nigdy mnie naprawdę nie lubiła. Byłam żałosną dziwaczką, brzydką i mierną. W imię czego ktoś taki jak

Rebecca miałby ni stąd, ni zowąd zapałać do mnie przyjaźnią?

– Naprawdę muszę już iść.

Wstałam i wyszłam z kuchni. Rebecca dogoniła mnie na korytarzu i złapała za rękę.

– Błagam, nie odchodź jeszcze. Chyba się władowałam w niezłe tarapaty.

Była szczerze przerażona. Miałam ochotę się wyrwać, wrócić do domu, powiedzieć o wszystkim ojcu, zadzwonić na policję. Ale Rebecca patrzyła na mnie tak, jakby jej życie było w moich rękach.

– Eileen, naprawdę musisz mi pomóc. Błagam, nie zostawiaj mnie samej.

Zaczęłam się łamać. Podała mi papierosa i podpaliła dygocącymi dłońmi.

– Tylko tobie mogę zaufać.

Tym mnie sobie z powrotem zjednała. Na przekór wszystkiemu chciałam wierzyć, że mnie szanuje, że szuka we mnie sprzymierzeńca. Łzy zalśniły w jej oczach i spłynęły po policzkach. Otarła je mankietem szlafroka. Wydała z siebie drżące westchnienie i spojrzała na mnie błagalnie.

– Dobra. – Nikt jeszcze nie płakał specjalnie dla mnie. – Pomogę ci.

– Dziękuję ci, Eileen. – Uśmiechnęła się przez łzy i wytarła nos rękawem. – Wybacz, ale jestem w rozsypce.

Czułam satysfakcję na myśl, że się boi i jest w niebezpieczeństwie. Wzięła z kuchennego blatu kromkę chleba i przez chwilę skubała ją machinalnie.

– Sama nie wiem, jak się w to wpakowałam. Ale skoro się powiedziało „a", to trzeba powiedzieć „b".

Usiadłam, opierając się wygodnie, założyłam nogę na nogę, jak wielka dama, i splotłam ręce na podołku.

– Może zadzwońmy na policję i opowiedzmy, co się stało – zasugerowałam opanowanym tonem. – Powiemy, że to był wypadek. – Zdawałam sobie świetnie sprawę, że moja propozycja zakrawa na kpinę, ale delektowałam się desperacją Rebekki. Chyba coś mi się należało za moją lojalność?

– I co niby powiemy? Że ją niechcący związałam? Wsadzą mnie do więzienia! – krzyknęła.

– Mój ojciec był policjantem.

Zamarła z przerażenia.

– Oczywiście nic mu nie powiem, chodzi mi tylko o to, że gdybyśmy im wyjaśniły, że pani Polk rzuciła się na ciebie…

– Jeszcze nam tego trzeba, żeby policja się nami zainteresowała! Wiesz przecież, że pan Polk był policjantem. Gdyby policja naprawdę strzegła sprawiedliwości, nie byłoby mnie tutaj. Nie chcę trafić do więzienia, Eileen. Ludzie nie zrozumieją, że miałam dobre chęci. – Obróciła w palcach kromkę

i wyrzuciła do zlewu. Zapaliła papierosa. Zerknęła na pustą butelkę. – Chętnie bym się napiła.

– Żadnego alkoholu – powiedziałam zdecydowanie, zadowolona, że stan Rebekki skazuje ją na moje opinie. – Wydobywanie zeznań wymaga przytomności umysłu. – Zgasiłam papierosa i klasnęłam w dłonie. – Do roboty!

Rebecca uśmiechnęła się słabo.

– Opowiedz, co się tutaj działo. Ze szczegółami.

Zauważyłam z satysfakcją, że zadrżała. Zaczęła krążyć po kuchni, czochrając się po głowie.

– Wszystko zaczęło się wczoraj po południu. Wprosiłam się do domu pani Polk. – Mówiła teraz opanowanym głosem, starając się, by jej słowa brzmiały pewnie, spójnie i wiarygodnie, jakby już trenowała wystąpienie przed sądem. – Powiedziałam jej, że wiem o tym, co robiła i co robił jej mąż, i powtórzyłam to, czego dowiedziałam się od Lee o lewatywach, molestowaniu seksualnym i całej reszcie.

Machnęła ręką w stronę pięterka, gdzie regularnie dochodziło do gwałtów. Nie bardzo rozumiałam, co się tam działo, kto co robił i komu do czego w tym wszystkim miała służyć lewatywa. Nie mogłam się w tym połapać. Perwersje mnie podniecały; w teorii wiedziałam, na czym polega homoseksualizm, ale kompletny brak doświadczenia i mgliste wyobrażenie na temat stosunku nie pozwalały mi go sobie wyobrazić w jego wynaturzonej formie – gwałtu na małym chłopcu.

– Co tak konkretnie robił mu jego tato? – spytałam. – Pytam, żeby nie było niedomówień.

Rebecca stanęła jak wryta, patrząc na mnie jak na idiotkę.

– Sodomia. Penetracja analna. Mówi ci to coś?

Kiwnęłam głową, zaszokowana.

– Mów dalej – powiedziałam przez ściśnięte gardło. – Słucham cię.

– Pani Polk oczywiście wyparła się wszystkiego. Nazwała swojego męża świętym, twierdziła, że pierwszy raz w życiu słyszy słowo „lewatywa”. „Nawet nie wiem, do czego to służy”. Ale ja nie ustępowałam: „Dlaczego nie wzięła pani Leonarda i nie uciekła? Jak mogła pani patrzeć na to przez palce? Co skłaniało panią do współuczestnictwa w tak okrutnej zbrodni?”. Ale ona milczała. Kazałam jej sobie przemyśleć wszystko. Zostawiłam mój numer, choć czułam, że nie zadzwoni. Wczoraj w nocy nie mogłam zmrużyć oka. Jak śmiała mi tak łgać w żywe oczy? Wróciłam więc dzisiaj rano. Naturalnie nie miała mi nic nowego do powiedzenia. Jeszcze bardziej nabrała wody w usta.

Nazwała mnie wariatką. Zagroziłam, że na nią doniosę. Zaczęłyśmy się bić, bo moje słowa doprowadziły ją do furii. Próbowałam jej wytłumaczyć, że chodzi mi o dobro Lee, ale jej też chcę pomóc. Nie chciała mnie słuchać. Dostała szału i rzuciła się na mnie. Popatrz.

Rozchyliła szlafrok i podciągnęła bluzkę, odsłaniając drobne zadrapania, nic poważnego, nic, co by zostawiło trwałe ślady. Jej tors był idealny i szczupły, biała skóra błyszczała, żebra przypominały klawiaturę z kości słoniowej, delikatne mięśnie opinały zwarty brzuch. Przez czarną koronkę atłasowego stanika widziałam zarys drobnych piersi.

– Musiałam ją obezwładnić. – Wzruszyła ramionami. – Nie miałam wyjścia. Groziła, że zadzwoni na policję. Co bym im powiedziała?

– Dobrze jej tak.

Patrzyłam przed siebie stalowym wzrokiem z twarzą bez wyrazu: chciałam, żeby Rebecca brała mnie za istotę stoicką i niewzruszoną, wiedzioną potępieniem dla obmierzłej zbrodni popełnianej na dziecku, która nie spocznie, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość, choć nie bardzo wiedziałam, na czym by to miało polegać.

Rebecca wydawała się już bardziej opanowana. Odgarnęła włosy do tyłu.

– Właściwie nic jej nie zrobiłam. Nic jej nie boli. Darła się tak długo, że musiałam puścić muzykę na cały regulator. Ale już się uspokoiła. Liczyłam na to, że w końcu powie prawdę, przyzna się do swojego udziału w tej zbrodni i jakoś wyjdziemy na prostą. Ale ona wypiera się wszystkiego. Nie chce ze mną w ogóle rozmawiać. Nie mogę trzymać jej związanej w nieskończoność i siedzieć z nią w lodowatej piwnicy. Zasługuje na najgorsze, ale ja nie jestem jakąś sadystką. Rozumiesz?

Szczerze mówiąc, nie wiem, czemu Rebecce tak bardzo zależało na moim współuczestnictwie. Czy naprawdę liczyła na moją pomoc? A może miałam być tylko świadkiem jej przemyślnego planu, rozgrzeszyć ją z jej winy?

Po dziś dzień się zastanawiam, czy jej współczucie dla Lee było naprawdę szczere. Co pchnęło ją do tego, żeby się angażować w dramat rodziny Polków? Czy uważała się za powołaną, by żądać zadośćuczynienia za cudze występki? Wierzyła, że inteligencją i sprytem doprowadzi do wyrównania krzywd? Ludzie uprzywilejowani od urodzenia miewają urojenia wielkości. Ale teraz wyraźnie się bała. W pani Polk natrafiła na wyjątkowo zatwardziałego grzesznika.

– Zostaw ją tam jeszcze na parę godzin – zaproponowałam. – Jak trochę skruszeje, to zacznie gadać.

– Ale ona dotąd nie puściła nawet pary z ust – uniosła się Rebecca. Znowu

stała z założonymi rękami, oparta o blat kuchenny. – Nie idzie słowa wydusić z tej przeklętej baby. Zawzięła się i milczy, jak jej syn.

– Upij ją – podsunęłam. – Alkohol rozwiązuje języki.

– To w ogóle nie wchodzi w rachubę. – Westchnęła ciężko. – Zresztą sklepy monopolowe są już zamknięte. W gruncie rzeczy chodzi o to, żeby spisała swoje zeznania i nie mogła się ich później wyprzeć. Ale ona nie boi się aż tak bardzo, żeby dało się z niej wydusić cokolwiek. Naturalnie, nie zamierzam jej bić. – Spojrzała na mnie, jakby szukała zrozumienia. – Zdarzyło ci się kiedyś pobić kogoś? – spytała takim tonem, jakby sama myśl o tym budziła w niej głęboką odrazę.

– Nie, ale zdarzało mi się bawić myślami tego rodzaju.

– Nie mogę się do tego posunąć, nie. – Znów zaczęła krążyć po kuchni, ugniatając w palcach gałki z kolejnej kromki chleba. Zaburczało mi w brzuchu. – Musimy to przemyśleć. Porządnie przemyśleć.

Minęło parę chwil. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł tak dziecinnie prosty, że aż śmieszny. Sięgnęłam do torebki, przewieszonej przez oparcie krzesła, wyjęłam ostrożnie rewolwer i położyłam na stole.

– To mojego taty. – Nagle mimo starań, żeby zachować powagę, moja twarz, jakby z własnej woli, zaczęła się rozciągać od ucha do ucha.

– O Boże – wybąkała Rebecca, wytrzeszczając oczy. Szlafrok zsunął jej się z ramion; kiedy szła do stołu, ciągnął się za nią po podłodze jak tren. – Prawdziwy?

– Prawdziwy. – Chciała go dotknąć, ale zabrałam jej rewolwer sprzed nosa i teraz ściskałam go z całej siły. – To nie jest zabawka. Może być naładowany. – Zaraz jednak dodałam, że raczej nie jest. Oby. Ojciec chyba nie był aż tak szalony.

– Niesamowity – szepnęła Rebecca. – Do czego go używasz? Po co go tutaj wzięłaś? – zaniepokoiła się mimo woli.

Co miałam na to powiedzieć, żeby mi uwierzyła? Wybrałam prawdę.

– Mój ojciec jest chory. – Popukałam się znacząco w skroń. – Boję się, co mu może wpaść do głowy, kiedy zostanie sam z bronią.

– Rozumiem. – Pokiwała ponuro głową. – Jesteś stróżem swojego ojca. Chronisz go przed nim samym.

– Chronię innych – poprawiłam ją. Nie chciałam, żeby widziała we mnie męczennicę. Chciałam być bohaterką.

– Zuch dziewczyna – pochwaliła mnie, patrząc z ukosa tym samym konspiracyjnym spojrzeniem, jakim poczęstowała mnie pamiętnego wieczoru w O'Hara's. – Zgrana z nas parka.

Wyobraziłam sobie nasz kryminalny tandem: Rebecca z jej arogancją i idealizmem i ja z nieruchomym spojrzeniem i spluwą. Odłożyłam rewolwer na stół. Czułam, że aż się pali, żeby go wziąć do ręki.

– Chodźmy na dół – powiedziała, poprawiając zsunięty szlafrok i mocno dociągając pasek. – Strasznie tam brudno – dodała, krzywiąc się.

Bynajmniej nie paliłam się do zejścia. Jeśli na dole naprawdę znajdowała się związana pani Polk, to oznaczało koniec mojego sam na sam z Rebeccą.

– A co, jeśli Lee kłamał? Jeśli to wszystko wymyślił? Miał lata na to, żeby wymyślić sobie pretekst morderstwa i jak zwalić wszystko na matkę. Nie bierzesz pod uwagę, że pani Polk może być niewinna?

Spojrzała na mnie z głęboką powagą, kładąc rękę na sercu.

– Gdybyś widziała łzy w oczach tego chłopca, słyszała, jak to opowiada własnymi słowami, czuła, jak drży, szlochając, nie miałabyś cienia wątpliwości. Przyjrzyj mu się. – Rzuciła zdjęcie pana Polka obok rewolweru. – Ten człowiek w pełni zasłużył na swój los. Nie widzisz tego?

Ponownie spojrzałam na zdjęcie, na półprzymknięte oczy o umykającym spojrzeniu. To martwe ciało było tak dziwne, tak niepokojące, że nie pozostawało mi nic innego jak wierzyć, że spotkała je słuszna kara, bo inaczej nie wiedziałabym, co z tym robić. W tamtych czasach byłam skłonna wierzyć w cokolwiek, byle uniknąć konfrontacji z brutalną prawdą o życiu. Taka jest młodość.

– Okej. Więc myślisz, że rewolwer może sprowokować ją do zeznań?

– Pamięć to ulotna rzecz – odparła Rebecca. Wydawała się teraz spokojniejsza, jej lęki wyraźnie zelżały. – Pani Polk przeżywa stan głębokiego wyparcia. Strzegła swoich sekretów tak pilnie, nie zdradziwszy ich raczej nikomu, że może mieć wręcz trudności z przywołaniem faktów. Ludzie jej współczują, jak się łatwo domyślasz. Zakładają, że jest smutna i samotna. Któż się będzie czepiał kobiety w takim stanie? Widzą w niej ofiarę i omijają z dala. Ale nikt jej nie zadał podstawowych pytań, dopóki ja się tym nie zajęłam. – Odgarnęła włosy do tyłu, zaplatając je zręcznie w warkocz. Była śliczna, nawet w świetle gołej żarówki, nawet z czerwonymi, zapuchniętymi oczami. – Odkąd Lee siedzi w Moorehead, ani razu nie była u niego. Przyjechała dopiero, kiedy zadzwoniłam po nią, przejrzawszy jego akta. – Zamyśliła się z wzrokiem wbitym w drzwi piwnicy. Po chwili znów odwróciła się do mnie. – Posłuchaj. – Uderzyła lekko dłonią w stół. – Jeśli pani Polk będzie przekonana, że zaraz zginie, nie będzie miała powodu, żeby się dalej wypierać. Spokojnie będzie się mogła przyznać. W ten sposób ulżymy jej, choćby i wbrew jej woli. To, co robimy, jest dobre, uwierz mi. Już wiem,

zasłonimy ci twarz. – Zdjęła mi szalik z szyi. – Tak będziesz wyglądała groźniej, w dodatku pani Polk cię nie pozna. Gdyby wiedziała, że jesteś z Moorehead, mogłaby mieć opory. – Okutała mi głowę szalikiem, a potem zsunęła całość w dół tak, żeby było mi widać tylko oczy. – Fajnie wyglądasz. – Roześmiała się. – A teraz weź rewolwer do ręki i pokaż, jak go będziesz trzymać. – Ujęłam broń w dłonie, wyciągnęłam ręce przed siebie i ustawiłam twarz w linii strzału. – Znakomicie! – Mlasnęła z aprobatą, biorąc się pod boki. – Zuch dziewczyna – powtórzyła kolejny raz.

Odpięła łańcuch zasuwy i pchnęła drzwi do piwnicy, odsłaniając strome schody. Wymacała w powietrzu brudny sznurek i pociągnęła, zapalając światło. Uśmiechnięta i lekko zdyszana ścisnęła mnie za ramię.

– Idziemy.

Wolną ręką zgarnęłam torebkę i ruszyłam za Rebeccą po schodach.

– Rito? To tylko ja! – zawołała Rebecca w głąb piwnicy miłym, łagodnym głosem pielęgniarki albo nauczycielki, czym mnie zaskoczyła.

Szalik na ustach łaskotał mnie w nos, mój oddech skraplał się pod spodem, ale widziałam wszystko wyraźnie. Schody były tak strome, a zejście trwało tak długo, jakbym schodziła na dno wielkiego okrętu albo grobowca. W świetle gołej, chyboczącej się żarówki nasze postaci rzucały wyraźnie czarne, na przemian skracające się i wydłużające cienie na podłogę z ubitej ziemi. Szłam ostrożnie, krok za kroczkiem, żeby nie upaść i nie narobić sobie wstydu. Spłynął na mnie wielki spokój. Chłód, mrok i wilgoć piwnicy koiły moje niespokojne, rozbiegane myśli, uśmierzały łomot serca. Przypomniałam sobie sfatygowany egzemplarz książki *Piwnica zagadek* z serii o Nancy Drew. Naturalnie, czułam się bardzo nieswojo jako Eileen konspiratorka czy Eileen wspólniczka z bronią, ale kiedy znalazłyśmy się pod ziemią, niepokój zelżał. Poczułam się jak u siebie. Kiedy zeszłyśmy na sam dół, zaczęłam stąpać pewnie po ubitej ziemi.

– Zachowuj się jakby nigdy nic – syknęła Rebecca.

Tak też się właśnie zachowywałam. Dłoń z rewolwerem nawet mi nie drgnęła. Kiedy skręciłyśmy za róg, zobaczyłam panią Polk. Siedziała rozkraczona na podłodze, plecami opierając się o ścianę. Miała na sobie brudne policyjne skarpety i pożółkłą koszulę nocną obszytą koronką przy szyi. Kręcone włosy opadały swobodnie na twarz mokrą od łez. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Przypominała starego grubego Kopciuszka, a jej wyblakłe oczy biegały pytająco od twarzy Rebekki do mojej. Zauważyłam, że Rebecca skrępowała jej nadgarstki paskiem od szlafroka i przywiązała do rury

na suficie. Chyba z braku wyboru, bo w piwnicy znajdowała się tylko stara, zardzewiała kosiarka do trawy, połamane krzesło i sterta drewna, która wyglądała jak szczątki jakiegoś mebla – stołu, może łóżeczka dziecinnego.

– Nie strzelaj! – krzyknęła kobieta, bezskutecznie próbując zakryć twarz związanymi rękoma. – Proszę, nie zabijaj mnie.

Rozbawiła mnie. Ani mi w głowie było ją zabijać. Na szczęście miałam zasłoniętą twarz, inaczej pewnie próbowałabym jej dodać ducha uśmiechem albo pokrzepiającą miną. Jednak broń trzymałam wysoko, celując w jej stronę.

– Zastrzeli cię bez skrupułów, jeśli nie powiesz prawdy – ostrzegła ją Rebecca życzliwym tonem.

– Jakiej znów prawdy?! – krzyknęła pani Polk. – Nie wiem, o co wam chodzi, na litość boską! – Patrzyła na mnie, jakby spodziewała się po mnie odpowiedzi.

Milczałam. Nawet kiedy mierzyłam z broni do tej nieszczęsnej kobiety, cała ta sytuacja w piwnicy miała w sobie jakiś element maskarady. Przypominało mi to trochę zabawę w siedem minut w niebie, kiedy wylosowaną parę zamykało się w szafie, gdzie przez chwilę w ciemnościach mogła robić, co chciała. Nigdy nie brałam udziału w grach towarzyskich, ale wyobrażałam sobie, że po wyjściu z szafy wszyscy zachowywali się jakby nigdy nic. Skoro nikt nikomu nie zrobił krzywdy, wszystko znów było po dawnemu. Mimo to po zabawie twoja popularność i prestiż mogły wzrosnąć lub, na odwrót, twoja reputacja doznawała uszczerbku, jeśli w szafie nie stanąłeś na wysokości zadania. Dla mnie w piwnicy gra toczyła się o szacunek Rebekki, który mnie czynił szczęśliwą. Naturalnie liczyłam na to, że jej plan się powiedzie: pani Polk przeżyje taką ulgę, kiedy się przyzna, jak z mężem traktowali syna, że naprawdę podziękuje Rebecce za wydobycie na światło dzienne skrywanej przez lata prawdy i wyrwanie jej z zaklętego kręgu mrocznych tajemnic i upiorów przeszłości. Będzie mogła zacząć od nowa budować relacje z synem. Poczuje się jak nowo narodzona. A nasza przyjaźń z Rebeccą rozkwitnie i wszystko skończy się happy endem.

– Błagam, czego ode mnie chcecie? – wyjęczała pani Polk.

– Wyjaśnienia. – Rebecca wypięła pierś do przodu i wzięła się pod boki. – Wiemy, Rito, że nie było ci łatwo w małżeństwie z mężczyzną, który miał upodobanie do małych chłopców. Wierzymy, że w samotności dręczyło cię sumienie. Nic więc dziwnego, że przeżywasz piekło. Powiedz nam tylko, co kazało ci współdziałać z mężem i robić Lee lewatywy? Dlaczego nie zwróciłaś się z tą sprawą do nikogo? Wyrzuć to wreszcie z siebie.

– Nie wiem, o czym mówisz – żachnęła się pani Polk, umykając wzrokiem. – W życiu nie zrobiłabym krzywdy Lee. To mój syn. Krew z mojej krwi. Na litość boską, jestem jego matką!

– Zrób coś, Eileen – powiedziała Rebecca.

Podskoczyłam na dźwięk mojego imienia, ale opanowałam się i z rewolwerem w wyciągniętych przed sobą rękach podeszłam do pani Polk. Ze strachu zakwiliła dziwnie, a potem zaczęła wzywać pomocy. Gdzieś na zewnątrz rozszczekał się pies, echo jego ujadania odbijało się od ścian piwnicy, nakładając się na krzyki kobiety. Rebecca zakryła uszy dłońmi.

– Cicho – rzuciłam, ale wrzaski pani Polk zagłuszyły mój głos. – Przestań się drzeć, bo ci to nic nie pomoże! – ryknęłam porządnie pierwszy raz w życiu. – Stul pysk!

Umilkła, próbując opanować głośny, urywany oddech. Śliniła się. Zrobiłam krok do przodu, celując w jej twarz. Próbowałam sobie wyobrazić, jak ojciec zachowywałby się w podobnej sytuacji.

– Nie myśl sobie, że będę się z tobą patyczkować. Pies z kulawą nogą nie zauważy, że zniknęłaś. Będziesz tu gnić do końca świata. Zakopiemy cię, o, tutaj – tupnęłam mocno nogą w ubitą ziemię – i nikt nigdy nie trafi na ślady, bo wszyscy mają gdzieś, czy żyjesz, czy zdechłaś.

Przyznam, że lata w moim domu i w więzieniu nauczyły mnie przemawiania do ludzi tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zdawałam sobie sprawę, że mam stosowne kwalifikacje, żeby wycisnąć ohydną prawdę z tej kobiety. Zerknęłam na Rebeccę. Chyba była pod wrażeniem mojego wystąpienia. Cofnęła się o krok z rozchylonymi lekko ustami, dając mi dłonią dyskretne znaki, żebym to ciągnęła. Czułam podniecenie. Nasunęłam szalik na nos i nachyliłam się nad panią Polk, której zalana łzami twarz zrobiła się czerwona jak świńska polędwica.

– Zdajesz sobie sprawę, że śmierć byłaby dla ciebie najlepszym wyjściem – podjęłam. – Duma nie pozwala ci stawić czoła temu, co zrobiłaś swojemu dziecku. Wolisz umrzeć niż przyznać się do winy, żałosny prosiaku.

Kopnęłam ją w nogi. Mój głos odbijał się od ścian dziwnym, szybkim echem. Pani Polk odchyliła wykrzywioną trwogą twarz, zaciskając powieki, które jednak co pewien czas uchylała, żeby sprawdzić, co robię. Zajęczała.

– Chcesz umrzeć?

Doskoczyłam do niej, zatrzymując lufę na centymetr przed jej twarzą. Przeniosłam wzrok na Rebeccę. Stała w rozkołysanym cieniu, obserwując mnie z pełnym szacunku uśmiechem.

– Przyznaj się! – ryknęłam na panią Polk jeszcze groźniej.

Symulowana wściekłość dała mi taki zastrzyk adrenaliny, że wstąpiła we mnie autentyczna furia. Serce załomotało mi w piersi. Zrobiło mi się ciemno przed oczami – widziałam tylko dygocące na ziemi cielsko pani Polk. W jakimś obłędzie znów doskoczyłam do niej. Kucnęłam, próbując walnąć ją rewolwerem w czubek głowy, ale musnęłam ją tylko, lekko zawadzając dłonią o jej włosy. Mimo to zaczęła ciężko dyszeć, zalewając się kolejną porcją łez.

Rebecca włączyła się do akcji.

– Nie jestem w stanie cię chronić, dopóki się nie przyznasz. Dla Eileen zabić to nie pierwszyzna.

– To prawda – przytaknęłam.

To była komiczna scena: dwie dziewczyny, które improwizują, jak się da. Gdybym to miała zrobić teraz, przytknęłabym po prostu lufę do serca pani Polk, pozostawiając gadkę Rebecce. Nie dałabym się ponieść, jak wtedy. Do dziś jestem zażenowana, kiedy wspominam tamte sceny. Choć musiałam wyglądać idiotycznie, wymachując bronią, rewolwer wyraźnie działał na panią Polk. Jej twarz straciła arogancki wyraz, a kiedy otwarła oczy, wyczytałam w nich trwogę i pogodzenie z losem.

– Opowiadaj, co się działo w tym domu – syknęłam złowrogo. Przytknęłam lufę do jej skroni.

– Błagam, nie rób mi krzywdy – zaskomlała, dygocząc.

– To nie będzie konieczne, jeśli zaczniesz mówić – rzuciłam pojednawczo.

Mimo to dalej tylko wyła i szlochała. Po paru minutach zmęczyła mi się ręka, więc opuściłam broń. Ilekroć pani Polk otwierała oczy, podnosiłam rewolwer z powrotem. Wreszcie uniosła dumnie podbródek.

– Niech ci będzie. Wygrałaś – powiedziała.

– Zdecydowałaś się mówić? – spytałam, podnosząc głos nie wiedzieć po co.

– Świetnie. – Rebecca klasnęła w dłonie. – Chwała Najwyższemu.

Odsunęłam się od pani Polk i usiadłam na zimnej ziemi, podciągając kolana pod brodę. Oddech skraplał się pod szalikiem. Przyglądałam się, jak pani Polk nabiera tchu, próbując się opanować. Rewolwer rozgrzał się w mojej dłoni.

– Czekamy – pogoniłam ją.

Kiwnęła głową. Zastanawiałam się, jak bliskie stosunki z Polkami utrzymywał mój ojciec, kiedy był jeszcze gliniarzem, czy gawędzili czasem z panem Polkiem przy kawie, narzekając na dzieci i małżonki. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek spotkała pana Polka, a nawet jeśli, to nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. To ponoć jest częste u zboczeńców: na oko nie dałbyś za

nich trzech groszy, dopiero za zamkniętymi drzwiami zamieniają się w monstra. Sądzę, że gdyby pani Polk poszła zgłosić go na policję, jej zeznania wzięto by za wytwór chorej wyobraźni. Żonka plecie duby smalone, żeby pogrążyć męża. Durna baba. Nie wątpię, że mój ojciec tak właśnie odebrałby jej słowa.

– Zaraz wracam – szepnęła Rebecca.

Zaskoczona, znowu podniosłam rewolwer do góry.

– Dokąd idziesz? – Zaniepokoiłam się, widząc, że zmierza w stronę schodów. Pani Polk, chlipiąc i rzężąc, rozglądała się zdezorientowana.

– Przynieść coś do pisania – mruknęła. – Podpiszesz swoje zeznania – powiedziała dobitnie do pani Polk. – Podpiszesz też oświadczenie, że nigdy nie pójdziesz z tym na policję.

Na odchodnym dała mi znak, żebym trzymała panią Polk na muszce, co zresztą robiłam, po czym pomknęła na górę po stromych schodach, zamykając za sobą drzwi do kuchni. Po chwili jej kroki na górze umilkły, widać poszła na piętro. Oparłam broń na kolanach i spojrzałam na panią Polk.

– Nie obchodzi mnie ani trochę, co robiłaś – powiedziałam. – Przyznaj się, to cię wypuści i nigdy więcej nie będziesz nas oglądać.

Wyobrażałam sobie, że to koniec naszych trudności. Pani Polk się poddała. Spodziewałam się, że Rebecca wróci, rozwiąże panią Polk i będzie gładzić ją po plecach, gdy ta, kwicząc i płacząc, będzie się kajać. Skierowałam lufę w jej stronę, spodziewając się, że znowu zacznie wyć z przerażenia. Ale ona tylko spojrzała na mnie chmurnie.

– Powiem wam i co potem? Co mam dalej robić?

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – Może uciec?

Zaczęła znowu płakać, tym razem cicho; smarki ciekły jej po brodzie.

– Nie mam dokąd uciec – powiedziała. – Nie mam pieniędzy. Nie znam nikogo.

Wzruszyłam ramionami. Myślałam o stercie banknotów, którą zostawiłam na strychu w domu. Czy byłabym gotowa dać te pieniądze pani Polk, zaprzepaścić szansę własnej ucieczki po to, żeby wysłać ją w świat i nie bać się, że policja będzie nam deptać po piętach? Przyznam, że bawiłam się przez chwilę tym pomysłem. Na górze Rebecca kręciła się po domu; pod jej krokami skrzypiała podłoga. Nie mogłam się już doczekać, kiedy wróci, żeby zasypać mnie gradem pochwał, dziękować mi z całego serca, nazwać mnie swoją idolką, aniołem, świętą. A potem urwiemy się razem. W Nowym Jorku ludzie całują się pod jemiołą, tańczą, kochają. A ja? Tkwiłam samotnie

w piwnicy z przywiązaną do rury kobietą. Miałam już dość przyglądania się zasmarkanej pani Polk. Swoją rolę odegrałam na medal. Wstałam i otrzepałam z ziemi tył płaszcza.

– Ona chce tylko pomóc – powiedziałam, skinąwszy lufą w stronę sufitu. Dotarło do mnie, że mogę skończyć w więzieniu, jeśli coś pójdzie nie tak. Ale nie czułam strachu. Opuściłam lufę.

– Wiesz, ona ma rację – odezwała się pani Polk. – Ta pani. To twoja znajoma? – Mówiła wysokim, monotonnym głosem. Flegma bulgotała jej w gardle. – To prawda, co mój syn mówił o ojcu. Mitch, mój mąż, miał chore nawyki. Rozumiesz, dziwne upodobania. Myślałam, że niektórzy mężczyźni tak po prostu mają i nic się nie da na to zaradzić. Nigdy tego nie pochwalałam, ale mam na swoją obronę to, że nie mogłam odejść. Przysięga małżeńska zobowiązuje do szacunku dla męża i posłuszeństwa, a ja ją składałam. Zresztą dokąd miałam niby pójść? – Jej oczy zalśniły w półmroku. Przełknęła ślinę, spojrzała w sufit i kaszlnęła. Gdzież ta Rebecca? – Na początku myślałam, że Mitch po prostu dogląda śpiącego Lee, jak dobry ojciec – podjęła pani Polk. – Że sprawdza, czy mały śpi spokojnie. To naturalny odruch u rodziców. Ale te wizyty zaczęły się dziwnie przeciągać. Spędzał u małego coraz więcej czasu. Niekiedy orientowałam się przez sen, że wstaje z łóżka. Kiedy indziej czułam, że wraca, całuje mnie, przytula i takie tam. Przestaliśmy się kochać od urodzenia Lee. Straciłam, straciliśmy na to ochotę. A tu nagle Mitch znów zaczął mieć na mnie ochotę, co bardzo mi schlebiało. Jednak zaczęłam mieć nawracające zakażenia na dole, znaczy się w okolicach intymnych. – Westchnęła. – Lekarze mówili, że powinnam się częściej podmywać. Byłam pewna, że to moja wina. A potem zaczęłam się zastanawiać, czy Mitch nie przywiózł czegoś, kiedy któregoś lata pojechał do Toronto do brata, tak w każdym razie mówił. Może złapał rzeżączkę? Prawdę mówiąc, nie wiem, co myślałam. Tak czy owak, infekcja powracała. Aż wreszcie zbudziłam się kiedyś w środku nocy, poszłam na górę i zobaczyłam Mitcha w łóżku Lee. Z początku nie dotarło do mnie, co robią, przysięgam. Nikt nie spodziewa się czegoś takiego po własnym mężu. Nie chciałam wierzyć, ale z czasem się pogodziłam. Uznałam, że to chyba jakoś specjalnie małego nie boli. Pewnie to nic strasznego. Zresztą Lee nigdy nie wspomniał o tym słowem, więc doszłam do wniosku, że mu to nie przeszkadza. Łudziłam się, że po prostu za mało wiem o mężczyznach. Może wszyscy to robią z synami? Mogło tak być, tylko ja o tym nie wiedziałam, bo niby skąd? A Lee nie wyglądał, jakby mu się działo coś złego. Był grzecznym, spokojnym dzieckiem, miał niezłe stopnie. Słodka dziecina, siedział cichutko, bawił się

grzecznie z dziećmi z sąsiedztwa, nigdy nie miałam z nim żadnych kłopotów, więc pogodziłam się z tą sytuacją. Aż któregoś dnia olśniło mnie, że gdyby był czysty, wszyscy byśmy na tym skorzystali. Może skończyłyby się wreszcie te infekcje, przez które stosunki z Mitchem były bardzo bolesne. Lee zresztą nigdy nie jadł dużo, a ja po pewnym czasie zorientowałam się, czym go karmić, żeby lewatywa zadziałała szybko. Wiem, że to brzmi śmiesznie. Zdawałam sobie sprawę, że to, co robię, nie jest całkiem w porządku. Ale Lee był takim kochanym, dzielnym chłopcem, nigdy się nie opierał. Zawsze dbał o to, żeby wszyscy byli zadowoleni. Mówił, że nie chce, żeby ktoś się na mnie gniewał. Przynosił dla mnie z prac ręcznych śliczne kartki na Gwiazdkę i na walentynki. Miałam go za dobre dziecko, więc robiłam dobrą minę do złej gry. Co zresztą miałam robić? Oni nie mówią o takich rzeczach. Nie uczą, co masz robić w podobnej sytuacji.

– Oni, to znaczy kto?

Pani Polk nie odpowiedziała, tylko zgięła się wpół, kręcąc głową, jakby nie mogła się nadziwić własnym słowom. Na górze rozległy się kroki Rebekki, wolniejsze, już nie tak nerwowe. Pani Polk spojrzała w sufit i sapnęła, hamując łzy.

– Komu niby miałam powiedzieć? Ani myślałam komuś się z tym zdradzać. Próbowałam odnaleźć się jakoś w tym wszystkim. Wiesz, co się dzieje po urodzeniu dziecka? Mąż zaczyna patrzeć na ciebie jak na powietrze. Winiłam siebie. Jadłam za dużo i przestałam być atrakcyjna dla Mitcha. Nie kochaliśmy się ze sobą przez ładnych parę lat, dopóki nie zaczęło się to z Lee. A potem oswoiłam się z tą sytuacją. Całe dni spędzałam sama. Byłam gospodynią domową. Proszę mnie zrozumieć, poza nim nie miałam nikogo. Mitch nie odzywał się do mnie, po prostu wracał do domu, zjadał obiad, pił, a ja byłam kimś obcym, zbędnym meblem w tym domu. Nie trawił mnie, ale kiedy zaczął sypiać z Lee, wrócił do mnie. Czułam się, jakby kamień spadł mi z piersi. Był teraz zrelaksowany. Kiedy mnie tulił, czułam się cudownie. Z powrotem zaczął mnie kochać. Zrobił się czuły. Byłam pewna, że mnie kocha, zresztą dawał mi to do zrozumienia. Całował mnie, szeptał do ucha słodkie słówka, prawił komplementy. Znowu było jak dawniej, kiedy byliśmy młodzi, szczęśliwi i zakochani, a ja rozkwitłam od tego. Czy to grzech, chcieć się tak czuć? Zaszłam nawet w ciążę, ale poroniłam i w ogóle się tym nie przejęłam. Mój mąż wrócił do mnie. – Podniosła głowę, przyglądając mi się badawczo. – Ty tego nie zrozumiesz. Jesteś młoda, nikt jeszcze ci nie złamał serca.

Myliła się. Rozumiałam ją doskonale. Nie sposób było jej nie rozumieć.

Zaczęła znowu płakać, tym razem z głębokim smutkiem.

– Już dobrze, dobrze. – Pierwszy raz w życiu szczerze starałam się kogoś pocieszyć.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Potem skrzypnęły drzwi i rozległy się nad nami kroki. Odwróciłyśmy się, patrząc na Rebeccę, która frunęła po schodach, niosąc długopis i papier na twardej podkładce.

– Czy rozwiążecie mnie teraz? Powiedziałam już wszystko. – Pani Polk poszukała mnie wzrokiem.

Rebecca spojrzała na mnie pytająco. Skinęłam głową.

– To prawda – potwierdziłam.

Złość wywietrzała ze mnie do końca. Oczy pani Polk latały nerwowo od naszych twarzy do rewolweru na ziemi.

– Rozwiążemy cię, jeśli zgodzisz się na nasze warunki i podpiszesz umowę – oznajmiła Rebecca. Spojrzała na mnie nieufnie. – Co ona mówiła, Eileen?

Wolałam nie relacjonować spowiedzi pani Polk, żeby oszczędzić sobie ordynarnych słów.

– No, Eileen, co z tobą? – zniecierpliwiła się. – Jeśli nie złożysz zeznań na piśmie, nici z naszej umowy – zwróciła się do pani Polk.

– Jakiej umowy? – spytała pani Polk bardziej gniewnie niż ze strachem. Oczy jej już obeschły.

– Umowy, że się przyznasz do tego, co robiłaś, a my ci za to darujemy życie. – Rebecca też wydawała się zła, chyba i na panią Polk, i na mnie. – Podaj rewolwer, Eileen – zażądała obcesowo.

Posłusznie podałam jej broń, bo bałam się, że przestanie mnie lubić. Stała teraz, patrząc z góry na panią Polk, jak ja wcześniej.

– Mów, co jej powiedziałaś – naparła na panią Polk, nieporadnie trzymając rewolwer obiema rękami z palcami wspartymi na lufie. Łokcie sterczały jej na boki.

Pani Polk zerknęła w moją stronę, jakby szukała u mnie pomocy.

– Ostrożnie – powiedziałam do Rebekki.

Posłała mi spojrzenie pełne wyższości.

– Radzę ci nie być głupią, Rito – zwróciła się do pani Polk.

– No, strzelaj! – krzyknęła tamta. – Mam już i tak dość tego wszystkiego.

Dusiłam się już pod włóczkowym szalikiem. Zsunęłam go w dół i wytarłam spocone policzki rękawem płaszcza.

Pani Polk osłupiała.

– Ja cię przecież znam. Ty jesteś tą dziewczyną z Moorehead.

Rebecca odwróciła się do mnie.

– Czyś ty oszalała, Eileen? – spytała wstrząśnięta.

Szamotałam się z szalikiem, próbując podciągnąć go z powrotem.

– I tak przez ciebie wiedziała, jak mam na imię – powiedziałam i dodałam z przekąsem: – Rebecco.

Właściwie nie wiem, co się potem stało. Chyba Rebecca puściła jedną ręką rewolwer, żeby podwinąć mankiet szlafroka, a kiedy próbowała z powrotem złapać oburącz kolbę, dłoń jej się omsknęła. Rewolwer wypadł z rąk i rąbnął o podłogę. Rozległ się ogłuszający huk. Kucnęłam, wstrzymując oddech. Rebecca ukryła twarz w dłoniach i odwróciła się plecami do nas. Pani Polk zachowywała się cicho, przyciągnęła tylko grube nogi do swej bujnej piersi, odsłaniając gołe kolana i łydki. Pies znowu zaczął szczekać. Jeszcze echo wystrzału nie przestało dzwonić w uszach, kiedy każda z nas popatrzyła na pozostałe.

– Niech to szlag! – zaklęła Rebecca, celując palcem w prawy rękaw pikowanej podomki pani Polk, na którym szybko rozrastała się ciemna plama.

– Trafiłaś mnie? – spytała pani Polk z dziecinnym zdziwieniem.

– Niech to szlag – powtórzyła Rebecca.

Pani Polk znowu zaczęła wrzeszczeć, próbując zerwać więzy.

– Krew mi leci! – krzyczała. – Wołajcie doktora! – Reagowała histerycznie, jak każdy w podobnej sytuacji.

– Cicho bądź! – syknęła Rebecca, podchodząc z boku do pani Polk. – Sąsiedzi cię usłyszą, a to tylko pogorszy twoją sytuację. Zamknij się. – Zakryła usta kobiety dłonią.

Mówiłam jej przecież, że z bronią nie ma żartów. Pani Polk nic nie będzie, starałam się pocieszyć. Rana na obrośniętej sadłem ręce wyglądała na powierzchowną. Nic poważnego się nie stało. Ale pani Polk nie chciała się uspokoić. Dyszała jak oszalałe zwierzę, szarpała się, próbując wyrwać głowę z rąk Rebekki, żeby wezwać pomocy. Podniosłam rewolwer i czując rozgrzaną kolbę w dłoni, wpadłam na znakomity pomysł.

Możecie myśleć o mnie, że byłam zła i łatwo pobłażałam sobie, że byłam egoistką żyjącą w świecie własnych urojeń, że byłam tak zboczona i paranoidalna, że tylko śmierć i destrukcja mogły mnie zadowolić, sprawić, bym w końcu poczuła się szczęśliwa. Powiecie pewnie, że miałam umysł zwyrodnialca, że tylko cudze cierpienie mogło mi sprawić przyjemność i tak dalej. W tamtej chwili jednak próbowałam po prostu wymyślić, jak oszczędzić nam wszystkim kłopotu: mnie, Rebecce, pani Polk i mojemu ojcu. Mój pomysł zasadzał się na tym, żeby wziąć panią Polk do nas, zastrzelić, poczekać, aż umrze, a potem wetknąć upitemu do nieprzytomności ojcu

rewolwer w garść i odjechać w siną dal. Jasne, że chciałam uciec, zwłaszcza gdyby Rebecca zdecydowała się mi towarzyszyć. Szczerze wierzyłam w to, że zastrzelenie pani Polk jest jedynym sposobem uniknięcia skutków niefortunnego pomysłu Rebekki. Przecież nikt nie będzie szukał związku śmierci pani Polk ani z moją, ani z Rebekki osobą. Będziemy wolne.

Ale myślałam też o ojcu. Nie było na świecie sposobu, żeby go skłonić do abstynencji, żeby wziął się w garść, został ojcem, jakiego potrzebowałam. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak jest z nim niedobrze. Tylko potężny szok mógł go przebudzić. Świadomość, że zabił niewinną kobietę, mogła nim wreszcie potrząsnąć. Kiedy spytają ojca, czemu zastrzelił panią Polk, pewnie zacznie mamrotać coś o mnie i Lee, sugerując, że Lee jest moim chłopakiem, czym da dowód, że stracił rozum do reszty. Wsadzą go do więzienia, choć najpewniej wezmą do psychiatryka, gdzie będą skakać przy nim tak długo, aż wróci do zdrowia. Mnie, rzecz jasna, już od dawna nie będzie, ale on wyzdrowieje na tyle, by tęsknić za mną, żałować tego, jak się do mnie odnosił, i zachodzić w głowę, jak mi to wszystko wynagrodzić.

Jeśli o mnie chodzi, to już za długo odkładałam ucieczkę z X-ville, a strach i lenistwo stale powstrzymywały mnie przed ostateczną decyzją. Zabicie pani Polk zmusi mnie do wyjazdu raz na zawsze. Oczywiście będę musiała zmienić nazwisko, rozwiać się bez śladu. Tylko strach, że mnie posadzą, był w stanie pchnąć mnie do ucieczki. Mogłam zostać w X-ville, narażając się na piekło, albo ulotnić się, nie było innej opcji. Pani Polk musiała zginąć.

Bawiąc się rewolwerem, zastanawiałam się, co zrobić, żeby w drodze do mojego domu nie darła się przez cały czas. Teraz miotała się i wierzgała, kwicząc i gryząc, kiedy Rebecca zatykała jej usta, żeby ją uciszyć, choć było to warte tyle co zatykanie ręką przecieku w wale przeciwpowodziowym – pani Polk za nic w świecie nie chciała się opanować. Ręka jej krwawiła, co prawda niezbyt obficie. Rebecca spojrzała na mnie z desperacją.

– Co teraz?

Pogrzebałam w torebce i wyjęłam pigułki mamy.

– Może to? – Potrząsnęłam buteleczką. – Przeciwbólowe.

– Uspokajające? – rozpromieniła się Rebecca. Wyrwała mi proszki z ręki. – Co też tam jeszcze wyczarujesz z tej swojej torebki, Eileen?

– Mam jeszcze szminkę – odparłam prostodusznie, w pierwszej chwili nie wyczuwając kpiny.

Patrzyłam, jak Rebecca podchodzi do pani Polk, tym razem spokojnie i ostrożnie, jak do spanikowanego zwierzęcia. Kiedy złapała ją za brodę jedną ręką, w drugiej trzymając pigułki, kobieta zaczęła szarpać głową. Rebecca

szamotała się z nią jak farmer z narowistą krową, w końcu złapała ją za nos. Zaczęłam się zastanawiać, skąd naprawdę pochodzi Rebecca. Może ze wsi – była córką farmera, wychowała się na ranczu? Szczerze mówiąc, coraz mniej zależało mi na tym, żeby ją rozgryźć. Widziałam, jak pani Polk zaciska zęby i wstrzymuje oddech, patrząc z pogardą w oczy Rebekki. W końcu jednak poddała się i Rebecca wepchnęła jej do ust pigułki. Przyglądałam się temu z pewnej odległości, siedząc w kucki. W przypływie dziwnego impulsu miałam ochotę modlić się jakoś albo śpiewać. Przypomniały mi się rytuały przejścia, o których czytałam w „National Geographic", dziwaczne ceremonie, podczas których inicjowanych wiąże się albo zakleja się im usta, a potem zamkniętych w klatce bez jedzenia i picia porzuca na wiele dni na pustyni, podając potężne środki halucynogenne, które wymazują im z pamięci własne imię i wspomnienia z dzieciństwa. Po wszystkim wracają do wioski jako zupełnie nowi ludzie, wypełnieni duchem bożym, wolni od lęku przed śmiercią, powszechnie szanowani. Może to doświadczenie w piwnicy jest właśnie taką inicjacją, po której będę funkcjonować na jakimś wyższym poziomie. Nikt już nie będzie mógł mnie zranić. Będę niepokonana.

– Pożałujecie! – wrzasnęła pani Polk. – Wiem, kim jesteście, i powiem wszystkim, coście mi robiły.

– Nikt ci nie uwierzy – powiedział Rebecca bez większego przekonania.

– To się jeszcze zobaczy – powiedziała pani Polk, patrząc na mnie.

Tamtego wieczoru w piwnicy nie doszło do spektakularnego triumfu dobra nad złem: byłyśmy tylko we trzy, z twarzami lśniącymi od potu i łez w migotliwym świetle gołej żarówki. Usiadłyśmy z Rebeccą, czekając. Plama krwi na rękawie pani Polk przestała się powiększać. Ona sama oddychała coraz wolniej.

– Wynoście się stąd – jęczała. – No już, jazda stąd.

W miarę jak nasilało się działanie pigułek, głos pani Polk obniżał się stopniowo jak głos zwalniającej płyty. Kiedy ostatecznie zasnęła i jej ciało zawisło bezwładnie pod ścianą, zaczęłyśmy się naradzać szeptem z Rebeccą. Minęło dobrych dziesięć minut, zanim udało mi się przekonać ją do mojego pomysłu.

– Mój ojciec jest pijakiem, więc jeśli kogoś zabije, winą obarczą policję, że latami patrzyła na to przez palce. Po znalezieniu pani Polk najprawdopodobniej będą się starać zamieść całą sprawę pod dywan. Tak czy owak, włos nam z głowy nie spadnie.

Twarz Rebekki zmartwiała i spłaszczyła się, palce, kurczowo zaciśnięte na brudnym brzegu szlafroka, zbielały.

– Będziemy się musiały gdzieś zadekować – dodałam, starając się, żeby mój głos brzmiał pewnie. – Myślałam o Nowym Jorku.

– Jak ją wstawimy do domu twojego ojca? – Tylko to ją interesowało.

– Będziemy ją musiały zanieść do samochodu. – Sądziłam, że to proste.

– A potem ją zastrzelisz?

– Ojciec to zrobi, my tylko naciśniemy spust.

– My? – Uniosła brwi, odgarniając włosy z czoła.

– Ja – ustąpiłam. Nie widziałam w tym nic strasznego. Ta kobieta i tak nie miała po co żyć. Albo umrze szybko i bezboleśnie, albo będzie latami gnić w tym swoim koszmarnym domu, osaczona przez widma przeszłości. – Nie będzie jej bolało. Zobacz. – Kopnęłam panią Polk w tęgą nogę. – Jest całkiem nieprzytomna.

Po chwili marudzenia Rebecca ustąpiła. Wspólnie rozwiązałyśmy ręce pani Polk i podniosłyśmy ją z podłogi. Pamiętam, że byłam zaskoczona tym, jakie ciężkie potrafi być ludzkie ciało. Wzięłam panią Polk pod pachy, a Rebecca za nogi i zaczęłyśmy ją nieść po schodach, przystając co kawałek, przy czym ja szłam niżej, więc było mi o wiele ciężej. Musiałam zebrać w sobie wszystkie siły i kiedy dotarłyśmy na górę, kolana mi się trzęsły, a ręce rwały wściekle z bólu.

– Odpocznijmy chwilkę – poprosiłam, ale Rebecca nie chciała o tym nawet słyszeć.

– Bierzmy ją stąd jak najprędzej. Ty ją zawieziesz do ojca i przygotujesz go, a ja tutaj posprzątam. Nie możemy zostawić żadnych śladów.

Poderwała z ziemi nogi pani Polk. Kobieta ważyła chyba tyle co balia wody. Głowa jej opadła do tyłu; miała otwarte usta, widziałam brązowe zęby i prawie bezkrwiste dziąsła. Sprawiała wrażenie, jakby była już jedną nogą na tamtym świecie. Zanim wyniosłyśmy panią Polk na zewnątrz, Rebecca przystanęła, zdjęła szlafrok i narzuciła na nią. Chociaż starałyśmy się uważać, niechcący zawadziłyśmy pupą pani Polk o oblodzone schodki. Rebecca parę razy pośliznęła się i upuściła nogi kobiety na ścieżkę. To wszystko zakrawało na jakąś tragifarsę, tak komiczną, że poczułam znienacka, jak rozsadza mnie nagła wesołość. Kiedy pani Polk wylądowała wreszcie w samochodzie, musiałam parę razy głębiej odetchnąć, patrząc w rozgwieżdżone niebo, które wyglądało jak ciemna płachta pochlapana farbą. Bałam się, że ciszę tej nocy, świętej nocy, lada moment przetnie salwa histerycznego śmiechu. Czułam, że jestem pępkiem kosmosu, który wiruje wokół mnie. Rebecca wydawała się spięta. Zamknęłam drzwi samochodu i przywdziałam śmiertelną maskę, z trudem hamując podniecenie. Właśnie wpadłam na pewien pomysł, ale

szczegóły postanowiłam zachować dla siebie, bo musiałabym się gęsto tłumaczyć.

– Do zobaczenia – rzuciła nagle Rebecca i pędem zawróciła w stronę domu.

– Będę czekać! – zawołałam za nią. Mój głos potoczył się gromkim echem po ośnieżonym podwórzu.

Rebecca odwróciła się do mnie, przytykając palec do ust.

– Możemy jechać, gdzie tylko zechcemy – dodałam półgłosem. – Ty i ja. Mam pieniądze. Nikt nas nie znajdzie. – Podałam jej mój adres. – Przecznicę przed podstawówką. Trafisz?

Pomachała mi tylko ręką, wbiegła na oblodzone schody i zamknęła drzwi za sobą.

Zakończenie

Nie wzięłam z X-ville żadnych rodzinnych fotografii, więc mogę polegać tylko na wspomnieniach, które się zacierają. Zapamiętałam ojca takiego, jak go żegnałam – nieprzytomnego na łóżku. Joanie przetrwała w moich wspomnieniach jako młoda, ładna, seksowna dziewczyna, trochę bezmyślna. Oczywiście jest mi o wiele trudniej wspominać mamę. Pamiętam jej szorstkie, siwiejące włosy, kiedy odkryłam, że jest nieżywa, i kuliłam się obok niej, próbując wyrównać oddech, zanim pójdę powiedzieć naprutemu od tygodni ojcu, że już jej nie ma.

– Jesteś pewna? – spytał, kiedy stanęłam przed nim w tamten duszny, słoneczny poranek.

Pamiętam to poczucie straszliwego osamotnienia, kiedy patrzyłam na półprzymknięte drzwi, za którymi nie spała już moja matka. Płakać poszłam do łazienki. Pamiętam doskonale moje odbicie w lustrze, z czerwonymi, podpuchniętymi oczami. Wciąż dygocąc, rozebrałam się, a potem obejmując się rękami, miękkimi jak z waty, szlochałam pod prysznicem. Odeszła, kiedy miałam raptem dziewiętnaście lat i byłam chuda jak patyk, czym zasłużyłam na jej uznanie.

Nie lubiłam oglądać się na zdjęciach. Byłam pulchnym dzieckiem – bladą, nieatrakcyjną uczennicą podstawówki, która nie potrafiła na WF-ie wspinać się po linie i biegać jak reszta klasy. Chodziłam niezdarnie, kolebiąc się jak kaczka, bo moje grube toporne uda rozsadzały spodnie, które matka kupowała o numer za ciasne, łudząc się, że się dopasują. Z wiekiem nie przybyło mi wzrostu, za to zrobiłam się drobna jak ptaszek. Przez jakiś czas wciąż jeszcze miałam brzuch – okrągły, wystający brzuszek dziecka – ale kiedy wyjeżdżałam z X-ville, byłam chuda jak patyk i nie miałam grama tłuszczu, co zresztą mi odpowiadało. Naturalnie zdawałam sobie sprawę, że to nie jest całkiem w porządku. Obiecywałam sobie, że kiedy będę dorosła, będę się lepiej odżywiać i ubierać, że zostanę prawdziwą damą. Wyobrażałam sobie chyba, że po wyjeździe z X-ville urosnę z piętnaście centymetrów, zrobię się piękna i ponętna. Myślałam o Rebecce, wyobrażałam ją sobie w kostiumie kąpielowym – szczupłe biodra, długie uda jak u modelki z żurnala. Zdrowy połysk skóry. Może Rebecca jakoś mi pomoże, marzyłam, pokieruje mną, powie, dokąd iść, jak się ubrać, jak żyć, co zrobić ze sobą. Moje wyobrażenia na temat przyszłości z czasów, nim poznałam Rebeccę,

w znacznym stopniu się sprawdziły: zakładałam, że wprowadzę się do jakiegoś odrapanego mieszkania, może do pensjonatu dla dziewcząt, gdzie będę mogła bez przeszkód oddawać się cudownym czynnościom: czytać gazety, zajadać się cętkowanymi bananami, spacerować po parku, przesiadywać w swoim pokoju, jak normalny człowiek. Liczyłam na to, że towarzystwo Rebekki pchnie mnie w jakimś lepszym kierunku. Zapragnęłam osiągnąć coś wielkiego w życiu. Tak straszliwie tęskniłam za tym, żeby zostać kimś ważnym, żeby spoglądać na świat z wyżyn drapacza chmur, a tych, którzy ośmielą mi się sprzeciwiać, deptać jak karaluchy.

A oto jak wygląda teraz moje życie. Mieszkam w pięknym miejscu. Śpię w pięknym łóżku. Jadam piękne potrawy. Spaceruję po pięknych miejscach. Kocham ludzi. W nocy moje łóżko jest pełne miłości, ponieważ śpię w nim sama. Łatwo płaczę, z radości i ze smutku, i nikomu się z tego nie tłumaczę. Wychodząc z domu rano, jestem wdzięczna, że dane mi będzie przeżyć kolejny dzień. Wiele lat zajęło mi osiągnięcie tego stanu ducha. Kiedy miałam dwadzieścia cztery lata, moje marzenia sprowadzały się do tego, by spędzić popołudnie w anonimowym tłumie, włóczyć się po ulicach i nie myśleć o tym, że muszę wracać do ojca, zostawić za sobą dotychczasowe życie, poczuć się gdzieś jak u siebie. Jak już wspomniałam, moje zniknięcie nie okazało się remedium na wszystkie bolączki, ale pozwoliło mi wystartować od nowa. Kiedy dotarłam do Nowego Jorku w pierwszy dzień świąt, pod wieczór, zdążyłam wytrzeźwieć; byłam głodna, zdrętwiała i miałam opuchniętą twarz. Przez cały wieczór spacerowałam po Times Square, a potem poszłam na film pornograficzny, bo byłam tak zziębnięta i niespokojna, że nie poradziłabym sobie z zameldowaniem się w żadnym hotelu, bałam się też, że policja jest już na moim tropie. Nie odważyłam się odezwać do nikogo, bałam się głośniej odetchnąć. Tam właśnie poznałam mojego pierwszego męża – w ostatnim rzędzie kina. Tak więc widzicie, że moje dalsze losy trudno nazwać drogą usłaną różami, uważam jednak, że zaczęłam wychodzić na prostą, choć nie obeszło się bez potknięć i upadków.

W ciszy i mroku wczesnych godzin mroźnego świątecznego poranka w X-ville zaparkowałam dodge'a na podjeździe domu. Zostawiłam na przednim siedzeniu bezwładną panią Polk, wbiegłam przez zaspy na ganek i weszłam do środka. Zrezygnowałam z pakowania walizki, choć zdawałam sobie sprawę, że to moje ostatnie chwile w tym domu. Ojciec obudził się, kiedy schodziłam ze strychu, upychając do torebki broń i życiowe oszczędności. Nigdy nie wyczyściłam konta ojca ani nie odebrałam ostatniej wypłaty

z Moorehead. Przez długie lata zastanawiałam się, czy po śmierci ojca jestem spadkobierczynią domu, ale po dziesięciu, dwudziestu latach, kiedy mogłam z dużym prawdopodobieństwem założyć, że ojciec nie żyje, uznałam, że nie warto sobie tym zawracać głowy. Nie było w tamtym domu niczego, żadnej rzeczy, na której by mi zależało na tyle, żeby wracać i próbować to odzyskać. Tym samym umarłam dla X-ville. Jestem widmem przeszłości, zagubioną duszą, zamkniętą sprawą. Kiedy nad ranem zderzyłam się z ojcem na schodach na strych, był już pijany. Na głowie miał czapkę, a na ramionach płaszcz narzucony na swój codzienny strój: szlafrok i bokserki. Był przerażony.

– Coś się czai za naszym domem – wybełkotał. – Przez całą noc dyszało i ryło w śniegu. Nie gangster, tylko jakieś dzikie zwierzę. – Pokręcił głową. – Może wilk?

– Idź do łóżka, tato. – Widząc na podłodze butelkę, podniosłam ją.

– Widziałaś go? – Stękając, usiadł na górnym stopniu schodów; zgrzybiały król na swoim spróchniałym tronie.

Usiadłam przy nim, wręczyłam butelkę i patrzyłam, jak pije, trzymając ją drżącymi rękami, a oczy zachodzą mu mgłą.

– To nie wilki, to myszy – uspokoiłam go.

Osuszenie butelki do dna nie zajęło mu więcej niż minutę, dwie. Pamiętam, jak zrobił się senny – wstąpił w niego duch dżinu – głowa zaczęła mu się kiwać jak dziecku, usta się ściągnęły, a powieki zatrzepotały jak konające ćmy. Wzięłam go pod łokieć i pomogłam wstać, a on zatoczył się i poleciał na mnie, ocierając się o mój policzek lepką szyją.

– Myszy? – wymamrotał.

Zaprowadziłam go do pokoju mamy, położyłam do łóżka i pocałowałam w pokrytą plamami wątrobowymi obrzękłą dłoń.

– Dobranoc, tato.

Tak właśnie się z nim pożegnałam. Po czym stałam przez chwilę, przyglądając się, jak zezuje w stronę butelki na nocnym stoliku, sięga po nią niezdarnie, strącając na zakurzony dywan, wzdycha, zamyka oczy i odpływa. Zamknęłam drzwi za sobą.

I już, po wszystkim. Żadnych rozdzierających serce scen. Był moim ojcem, a poza tym nikim. Powinnam teraz usiąść i godzinami czekać na Rebeccę, ale to nie miało sensu. Wiedziałam, że się nie zjawi. Ostatecznie jednak stchórzyła. Idealizm bez troski o konsekwencje swych działań to pożywka duchowa rozpieszczonych paniczyków. Czy noszę do niej w sercu urazę? Nie. Rebecca była dziwną dziewczyną, która zjawiła się w przełomowym

momencie mojego dotychczasowego życia, gdy byłam wreszcie gotowa je porzucić. Na jej temat mogłabym się długo rozwodzić, ale to nie jest historia o niej, tylko o mnie. Przed wyjściem zaszłam jeszcze do łazienki, żeby włożyć zlodowaciałe dłonie pod strumień ciepłej wody. Z lustra patrzyła na mnie obca osoba; trudno nawet opisać zdecydowanie, jakie malowało się na mojej twarzy. Oczy i usta miały całkiem nowy wyraz. I właśnie przy tamtej umywalce pożegnałam się z domem. Pamiętam, że ogarnął mnie dziwny spokój. Ciężar broni i banknotów w torebce mówił mi, że nadszedł czas. Ostatnie chwile przed lustrem spędziłam z zamkniętymi oczami. Było mi smutno. Ostatecznie to był mój dom, który coś dla mnie znaczył, każdy pokój, każde krzesło, półka, lampa, ściany, skrzypiące deski podłóg, wytarta poręcz schodów. Wypłakiwałam oczy z żalu za nim przez następne tygodnie i miesiące, ale tamtego dnia po prostu uroczyście go żegnałam. Po raz pierwszy ujrzałam moją prawdziwą twarz, twarz drobnego stworzenia, przechodzącą transformację wskutek śmiertelnych tortur życia. Miałam straszliwą ochotę pooglądać moje fotografie z dzieciństwa, pogładzić i pocałować tamte dziecinne buzie. Pocałowałam się w lustrze – coś, co zwykłam robić w dzieciństwie – i po raz ostatni zeszłam po schodach. Najchętniej udałabym się do samochodu, wyjęła z bagażnika naręcz butów i wrzuciła do sieni jako ostatni podarunek przedśmiertny dla ojca, żeby przeleciał w nich przez X-ville jak tornado, robiąc tyle zadymy, na ile pozwoli mu chore serce. Ale nie zrobiłam tego, nie mogłam. Przypomniałam sobie, jak poprzedniego dnia truchtał po śniegu w za dużym płaszczu, podniecony jak dziecko, niechlujne przy tym i posępne. Kiedy jechaliśmy do monopolowego, w jego oczach nie było dziecięcej radości, tylko panika. Stracił rozum, a teraz miał stracić córkę.

Nie wiem, w czym moja rodzina pobłądziła. Nie byliśmy jacyś szczególnie źli – ani lepsi, ani gorsi od was. Obawiam się, że to, co każdy dostaje od losu, to, jak kończy, to w znacznej mierze ślepy traf. Zamknęłam za sobą drzwi domu po raz ostatni, a kiedy odwracałam się w stronę ulicy, nagle, jakby niebiosa chciały mnie pokarać, jeden z sopli pękł i spadł mi na policzek, rozcinając go gładko od oka do szczęki. Nie bolało, trochę tylko zapiekło. Czułam, że krew płynie mi po twarzy, a mróz podstępnie wsącza się w ranę. Mężczyźni mówili później, że ta blizna dodaje mi wyrazu. Jeden twierdził, że pionowa rysa na twarzy kojarzy mu się z pustym grobem. Inny nazwał ją ścieżką łez. Dla mnie jest po prostu pamiątką, że kiedyś byłam kim innym, tamtą dziewczyną, Eileen, która uciekła z domu.

Miło wspominam pożegnalną jazdę dodge'em przez X-ville tuż przed

wschodem słońca. Miałam ze sobą tylko rewolwer i pieniądze w torebce, a w kieszeni mapę. Setki razy obmyślałam przejazd z X-ville do Rutland i nic już nie stało na przeszkodzie, żeby wcielić w czyn tamte plany. Co prawda wyobrażałam sobie, że zniknę w sylwestra, niepostrzeżenie, pośród hucznych pożegnań starego i powitań nowego. Ale pierwszy dzień świąt, jak się okazało, też był dobrym dniem, żeby się ulotnić. Niewykluczone, że pociągi w ogóle nie kursowały. Nigdy się tego nie dowiem, bo nigdy nie dotarłam do Rutland.

Zastanawiam się czasem, jak przebiegałaby rozmowa Rebekki z moim ojcem, gdyby jakimś cudem udało mu się zejść po schodach do naszej piwnicy i znalazł ją związaną i przerażoną, tak jak ja znalazłam panią Polk. Może po prostu rozwiązałby ją i spytał, czy ma jakąś gorzałkę, a potem wrócił na górę, żeby go nie dopadły złe duchy. A może wysłuchałby jej opowieści i wykładu filozofii życiowej, a potem zostawił ją o chłodzie i głodzie na kilka dni albo i na zawsze. Może wezwałby policję, napuścił na mnie psy, na swoją zranioną córkę, a psy, idąc tropem melanżu mojego potu z brudem ubrań po mamie, ścigałyby mnie po ośnieżonych wzgórzach. Wymyślałam najróżniejsze scenariusze. Nikt nigdy nie zjawił się po mnie, więc albo nikt mnie nie szukał, albo ukryłam się tak dobrze, że nie udało się mnie znaleźć. Przedstawiałam się wszystkim jako Lena. Nazwisko zmieniłam, wychodząc na wiosnę za mąż. To jeden z plusów, jakie daje małżeństwo kobietom – stają się kim innym.

Jeszcze w poprzednim tygodniu może tęskniłabym do normalnych świąt, marzyła o tym, żeby zastukać do czyichś drzwi, usiąść przy suto zastawionym stole – pan domu w sile wieku z uśmiechem kroi indyka, szynkę, baraninę, ewentualnie pieczoną kaczkę. Może tęskniłabym za kochającą matką w perłowych kolczykach, dobrym dziaduniem w swetrze z włóczki, za kłapouchym spanielem i buzującym kominkiem. Może gdybym nigdy nie poznała Rebekki, wyjeżdżałabym z X-ville z bólem w sercu. Opłakiwałabym swoją nicość i ślubowałabym Bogu, że się zmienię, zostanę prawdziwą damą, będę jeść trzy posiłki dziennie, siedzieć cicho jak trusia, prowadzić pamiętnik, chodzić do kościoła, modlić się, nosić czyste ciuchy, przyjaźnić się z przyzwoitymi dziewczynami, chodzić na randki z chłopcami, mieć stałego chłopaka, robić często przepierki i tak dalej – wszystko po to, żeby nie zostać kowalem własnego losu, nie zostać sierotą wyruszającą w nieznane w mroźny świąteczny poranek.

Tymczasem okazało się, że wyjeżdżałam z X-ville bez żalu, w dodatku nie sama. Obok mnie w dodge'u siedziała bezwładnie Rita Polk, a jej głębokie

milczenie tchnęło, nie waham się użyć tego słowa, pewnym dostojeństwem. Kiedy brałam zakręt, jej ręce o grubych, zsiniałych z zimna dłoniach spadły na środkowe siedzenie dodge'a. Podniosłam je i starannie złożyłam na podołku Rity.

Jechałam bez pośpiechu przez wyludnione ulice, obok szkoły podstawowej, liceum w X-ville, ratusza. Wybrałam drogę obok komisariatu policji, żeby pożegnać zaśniedziały dach i wielkie okna, a w środku jarzeniówki i brudne linoleum. Jechałam główną ulicą, mroczną i pustą w porannej szarówce. Ostre promienie cytrynowego światła wystrzeliły nad niskimi domkami, rozświetlając wnętrze salonu fryzjerskiego i złote litery na witrynie piekarni. Światło droczyło się ze mną, pojawiając się i znikając, jakby czuło, że nie potrafię się rozstać z miastem za jednym zamachem, tylko po kawałeczku, detal po detalu, a przeciąg owiewał mi twarz, jakby chciał, żebym zapamiętała X-ville właśnie tak, w porywach wiatru i rozbłyskach światła, jako zwykłe miejsce na Ziemi, miasto jak wiele innych, mury i okna, nic, co trzeba by kochać albo za czym należałoby tęsknić. Próbowałam słuchać radia, ale na każdej fali leciały kolędy, więc je zgasiłam.

Chętnie poczułabym znowu tamten wewnętrzny spokój, który ogarnął mnie, kiedy jechałam na północ. Nie myślałam o niczym, chłonęłam tylko wzrokiem ośnieżone pastwiska. Zorza raziła mnie spomiędzy drzew, a na którymś zakręcie całkiem mnie oślepiło. Kiedy odzyskałam wzrok, przede mną stał jeleń, zagradzając drogę. Zwolniłam, przypatrując się zastygłemu w bezruchu zwierzęciu, które patrzyło na mnie bykiem, jakby przeze mnie nie mogło biec dalej. Zjechałam na bok i zasunęłam szyby w samochodzie.

Pani Polk spała jak zabita, kiedy ją porzuciłam na poboczu w aucie z pracującym silnikiem. W baku było benzyny na wiele godzin. Mam nadzieję, że chociaż raz otwarła oczy i doceniła miejsce, w jakim ją zostawiłam. Bujny, zakrzepły na mrozie las, spowity poranną bielą opalizującą błękitem, wydał mi się miejscem, w którym sama umarłabym z przyjemnością. Pożegnałam się z dodge'em i ruszyłam w stronę jelenia, który stał nadal nieruchomo, a para z jego nozdrzy unosiła się między nami, dołączając do zastępu duchów. Uniosłam dłoń, jakbym chciała go pozdrowić. Stał nadal, wbijając we mnie czarne wielkie oczy, płochliwy, ale spokojny, z oszronionym pyskiem i koroną poroża nad głową. I wtedy coś we mnie pękło, wskutek bliskości tego wielkiego, drżącego zwierzęcego ciała. Wreszcie łzy napłynęły mi do oczu. Otwarłam usta, żeby coś powiedzieć, ale jeleń oddalił się truchtem i zbiegł po skarpie, znikając w leśnym gąszczu. I to już wszystko. Płakałam i rozmazywałam łzy, żeby zmyć krew z twarzy. Szłam

przed siebie, a moje kroki skrzypiały raźnie na zamarzniętym śniegu.

Kiedy parę kilometrów dalej, na rozstaju dróg, machnięciem ręki zatrzymałam jadący na południe samochód, powiedziałam kierowcy, że pobiłam się z matką, na co wręczył mi termos wypełniony po korek whisky. Piłam łapczywie, a potem znowu zaczęłam płakać.

– Już dobrze, dobrze. – Poklepał mnie po udzie topornym, poodmrażanym łapskiem.

Rozsiadłam się na przednim fotelu i piłam, gapiąc się przez zamgloną szybę. Patrzyłam, jak mój świat przemija za oknem, a potem oddala się coraz bardziej, maleje, kurczy się do zaniku, aż wreszcie przechodzi w niebyt – jak Eileen.

Przekład: Teresa Tyszowiecka-Tarkowska
Redakcja: Jan Koźbiel
Korekta: Małgorzata Kluska, Krystian Gaik

Ilustracja wykorzystana na I stronie okładki: © Jonathan Bartlett
Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rychter

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-3207-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.